

Nikita Pietrow • Hiroaki Kuromiya • Anna Zechenter • Borys Sokółow

cena 8 zł (w tym 5% VAT)
NR 7-8 (140-141)
lipiec-sierpień 2017

Płyta DVD z filmami – *Ojcu i Marchlewszczyzna*



BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

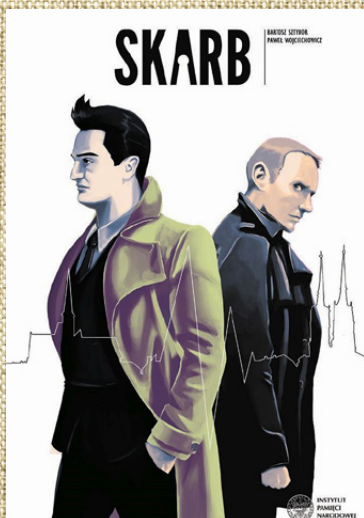
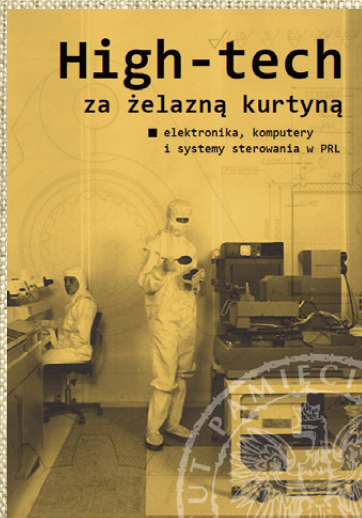


NKWD: **ZABIĆ POLAKÓW** **1937-1938**

111 TYSIĘCY ROZSTRZELANYCH

IPN proponuje na wakacje:

audiobooki,
książki
i komiksy



SPIS TREŚCI

Jarosław Szarek – „Nie mogę o tym pisać ani myśleć” 5

Operacja (anty)polska NKWD

Hiroaki Kuromiya – Wielki Terror w ZSRS 1937–1938 8



Od samego początku swojego panowania sowiecki reżim komunistyczny używał terroru jako nieodzownego narzędzia prowadzenia polityki. Dzisiaj trudno nam sobie wręcz uzmysłwić, jak ogromna była skala jego stosowania. A jednak Wielki Terror lat 1937–1938 nawet w historii tego reżimu wyróżnia się jako czas wyjątkowych prześladowań politycznych.

„Operacja polska” 1937–1938 na tle mechanizmów Wielkiego Terroru.

Z Nikitą Pietrowem rozmawia Henryk Głębocki 17

Stalin nie lubił Polaków, ponieważ odkrył, że przynależność narodowa jest dla nich ważniejsza niż przynależność klasowa. Przekonał się o tym w 1920 r., kiedy załamał się marsz bolszewików na Warszawę.



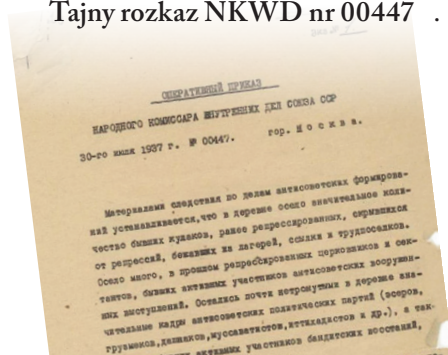
Marek Klecel – Ludobójstwo przed wojenną zagładą.

„Operacja polska” NKWD 36

W połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku rozpoczęły się deportacje ludności polskiej z terenów, które po traktacie ryskim z 1921 r. znalazły się w granicach Związku Sowieckiego. Wkrótce potem, w latach 1937–1938, nastąpiła „operacja polska”, nadzorowana przez władze NKWD, w której zamordowano za samo pochodzenie co najmniej 111 tys. Polaków, uznanych za szpiegów lub wrogów Związku Sowieckiego.

Marcin Majewski – „Operacja kułacka”.

Tajny rozkaz NKWD nr 00447 52



W latach 1937–1938 terror w ZSRS osiągnął niespotykane dotąd rozmiary. Jak wyliczył francuski historyk i sowietolog Nicolas Werth, „w ciągu niespełna szesnastu miesięcy, od sierpnia 1937 do listopada 1938, po paradii procesów przed doraźnymi sądami skazano na śmierć i rozstrzelano 750 tys. sowieckich obywateli. Daje to prawie 50 tys. egzekucji miesięcznie, 1600 dziennie”. Badacze są zgodni, uznając za dwie najważniejsze operacje NKWD w latach 1937–1938 „operację polską”, która stanowiła wzorzec dla działań przeciwko mniejszościom narodowym, oraz „operację kułacką”, czyli wymordowanie ludzi uważanych za wrogów klasowych.

Jurij Szapował – System więzienne-łagrowy

w czasie Wielkiego Terroru 62

W latach trzydziestych XX w. sowiecki reżim komunistyczny rozbudował do monstrualnych rozmiarów system obozów i więzień, planując przeprowadzenie na ogromną skalę akcji terrorystycznej w celu ostatecznego wyeliminowania domniemyanych wrogów.



Anna Zechenter – Skrwawiona winnicka ziemia 70



Latem 1943 r. do Winnicy na Ukrainie ciągnęli ludzie z całej okolicy. Wieść o odkopanych tam przez Niemców dotach śmierci z ciałami osób rozstrzelanych przez NKWD w latach 1937–1938 rozeszła się błyskawicznie i poruszyła wszystkich, którzy od lat szukali bliskich, aresztowanych na Podolu pod koniec lat trzydziestych.

Szukam prawdy o „podolskim Katyniu”. O pierwszym ujawnionym miejscu zbrodni „operacji polskiej” NKWD z Jerzym Wójcickim, redaktorem naczelnym „Słowa Polskiego” w Winnicy, rozmawia Anna Zechenter	84
Dawid Zagził – Polscy komuniści: cena zaprzaństwa	93
Henryk Stroński – Ukarana Marchlewszczyzna	102
Serhij Kokin – Zbrodniarze z NKWD przed sądem. Przypadek Żytomierza	114

Polskie rodziny

Anna Czocher – Najważniejszy jest człowiek. Chrzanowscy i Szlenkierowie	122
---	-----



Chrzanowscy – ziemianie z Podlasia, spowinowaceni z rodziną Joachima Lelewela i Henryka Sienkiewicza, katolicy. Szlenkierowie – spolonizowana rodzina przemysłowców i filantropów, ewangelicy. Rodziny połączył w 1899 r. ślub Wandy Szlenkierówny z Ignacym Chrzanowskim, późniejszym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Łączyły je również głęboki patriotyzm i idee społecznikowskie.

Komentarze historyczne

Marcin Jurek – Polskie podziemie niepodległościowe w kinematografii PRL	130
Borys Sokołow – Ludzie, wojna i matematyka. Sprawa bolszewickich jeńców 1920 roku	136



Ministerstwo Kultury Federacji Rosyjskiej w przededniu 77. rocznicy Zbrodni Katyńskiej oraz siódmej rocznicy katastrofy samolotu polskiego prezydenta Lecha Kaczyńskiego pod Smoleńskiem podjęło ewidentnie prowokacyjną akcję. W katyńskim miejscu pamięci, w którym znajduje się polski cmentarz wojskowy, otwarto wystawę poświęconą sowieckim jeńcom w Polsce w latach 1919–1921.

Arkadiusz Kutkowski	
– Śmierć ze znakiem zapytania	142
Łukasz Sołtysik – Polowanie na ludzi. Zbrodnia lubińska 31 sierpnia 1982 roku	152



Czy protesty z pierwszych dni stanu wojennego oraz prężna działalność struktur podziemnej Solidarności wpłynęły na decyzję władz wojewódzkich, aby w drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych użyć siły i broni palnej przeciwko pokojowej manifestacji?

Sylwetki

Adam Hlebowicz – Mohylewianka.

Zapiski Marii Jefimow (1912–2006)	171
---	-----

Ludzie wolności

Andrzej Grajewski

– Nie tylko dysydentka	180
----------------------------------	-----

Rozmowy

Zbrodnie nierozliczone.

Heinz Reinefarth i Powstanie Warszawskie.

Z dr. Philippem Martim,

autorem książki *Sprawa Reinefartha*,

rozmawiają Filip Gańczak i Maciej Foks . . .	186
--	-----

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
dr hab. Waldemar Grabowski,
dr Kazimierz Krajewski,
dr Mariusz Krzysztofiński,
dr Sebastian Ligarski, dr Agnieszka Łuczak,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr Wojciech Muszyński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz, Anna Zechenter

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
dr Filip Gańczak (filip.ganczak@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski
(jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko –
zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelný
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Andrzej Sujka (andrzej.sujka@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat: Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny: Sylwia Szafrńska
Projekt okładki i łamanie:
Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadrzyńiak-Saracyn

Adres redakcji:
ul. Wołoska 5, 02-675 Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Druk:
LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

W winiecie: oryginalny orzełek
z czapki powstańczej, fot. Jarosław Wróblewski

„Nie mogę o tym pisać ani myśleć”

„W strasznych latach jeźwoszczyzny spędziłam siedemnaście miesięcy w więziennych kolejkach Leningradu. Pewnego razu ktoś »rozpoznał« mnie. Wtedy stojąca za mną kobieta o sinych wargach, która oczywiście nigdy nie słyszała mojego nazwiska, ocknęła się z odrętwienia, w jakim trwaliśmy wszyscy, i zapytała mnie na ucho (wszyscy tam mówili szeptem): – A to może pani opisać? I powiedziałam – Mogę. Wtedy coś w rodzaju uśmiechu przemknęło przez to, co niegdyś było jej twarzą” – wspominała wybitna rosyjska poetka Anna Achmatowa, czekająca na wieści od syna Lwa Gumilowa, aresztowanego w czasach Wielkiego Terroru w Związku Sowieckim.

Pragnienie opisanego dramatu niewinnych ofiar systemu komunistycznego – niewyobrażalnego doświadczenia ich samych oraz cierpień rodzin więzionych i traconych – stawało się jedyną pociechą w tych trudnych chwilach. Niosło nadzieję, że ich tragedia nie zostanie zapomniana, że „opisanie” i tym samym zachowanie pamięci nie tylko nada sens ich kaźni, ale również będzie wymiarem sprawiedliwości. Wielki Terror 1937–1938 został zarówno opisany przez historyków, jak i stał się tematem wielu dzieł literackich. Dzięki temu przetrwał w świadomości Rosjan i innych narodów Związku Sowieckiego. Tymczasem wiedza o jego ofiarach, naszych rodakach – tak licznie zgładzonych na mocy rozkazu nr 00485 szefa NKWD Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. – jest znikoma. Jak się ocenia, w ramach „operacji polskiej” zginęło co najmniej 111 tys. Polaków, a szacunkowe dane sięgają nawet 200 tys. ofiar. Zbrodnia ta nie funkcjonuje w naszej świadomości. Jej przypomnienia podjął się Instytut Pamięi Narodowej. Uczynił to m.in. edycjami źródeł z archiwów ukraińskich *Wielki Terror: operacja polska 1937–1938* (2010) i gruzińskich *Wielki Terror w sowieckiej Gruzji 1937–1938. Represje wobec Polaków* (2016); wydał też broszurę *Operacja polska NKWD 1937–1938* (2017) zawierającą teksty Nikołaja Iwanowa, Nikity Pietrowa i Tomasza Sommera.

Kim były ofiary „operacji polskiej” i dlaczego o nich zapomnieliśmy? W wyniku kończącego wojnę polsko-bolszewicką traktatu ryskiego – podpisanego w 1921 r. między II Rzeczpospolitą a Rosją bolszewicką – za naszą wschodnią granicą znalazło się ponad milion Polaków, zamieszkujących głównie terytorium dwóch sowieckich republik: ukraińskiej i białoruskiej. Początkowo władze sowieckie

zdecydowały się na poddanie ludności polskiej specyficznemu procesowi społecznemu, tzw. autochtonizacji (*korienizacji*), w ramach polityki narodowościowej.

W 1925 r. powołano Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego na Ukrainie, a w 1932 r. – Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego na Białorusi. Nazywane potocznie Marchlewszczyzną i Dzierżyńszczyzną, miały być wzorcowymi okręgami – kuźnią nowych kadr przyszłej komunistycznej Polski. Oparte na kolektywizacji i indoktrynacji eksperymenty zostały odrzucone przez Polaków, którzy nie tylko nie chcieli żyć w odmiennych od dotychczasowych warunkach kulturowo-ekonomicznych, lecz także okazywali niechęć do nakazów i zaleceń sowieckiej władzy, co przejawiało się m.in. w przywiązaniu do praktyk religijnych. Gdy dla Kremla stało się jasne, że Polacy zupełnie nie ulegają komunistycznym hasłom, zapadła decyzja o zakończeniu eksperymentu i likwidacji rejonów. W tym samym czasie przystąpiono do masowych wywózek naszych rodaków na Syberię i do Kazachstanu, które początkowo objęły ok. 50 tys. Polaków.

Eksterminacja Polaków rozpoczęła się na mocy rozkazu Jeżowa z sierpnia 1937 r. Szef NKWD zadecydował o masowych aresztowaniach ludności polskiej, którą podzielił na dwie grupy. Do pierwszej miały należeć osoby do natychmiastowego rozstrzelania, a do drugiej ci, których czekało od pięciu do dziesięciu lat w łagrach. Przynależność do kategorii miała być określana „w miarę ujawnienia stopnia ich przewinienia w procesie śledztwa”. NKWD przeprowadzało aresztowania według specjalnych list, przygotowanych przez lokalne organa. Cień podejrzania – jakkolwiek związek z Polską, najdrobniejszy przejaw przywiązania do polskości czy religii – w zupełności wystarczały do tego, aby ktoś został uznany za winnego. Listy były zatwierdzane przez Jeżowa i głównego prokuratora Związku Sowieckiego Andrieja Wyszyńskiego. Była to jednak tylko formalność, wiemy bowiem z zachowanej dokumentacji, że takich zatwierdzeń wydawano i 2 tys. dziennie. O przebiegu akcji Jeżow na bieżąco informował Józefa Stalina, który na przekazane wieści zareagował słowami: „Bardzo dobrze! Wykopujcie dalej i usuwajcie ten polski brud”. Opisy aresztowań niczym się nie różnią od relacji z przebiegu niemieckich pacyfikacji wsi w okupowanej Polsce.

ZSRS pod rządami Stalina to państwo, w którym człowiek był totalnie kontrolowany – w sposób, który dziś wydaje się niepojęty. Bez pisemnej zgody władz nie można było swobodnie podróżować. Za niestosowny żart groziły kara śmierci lub wiele lat łagrów. Symbolem „nowego człowieka” i wzorem dla komunistów był Pawlik Morozow – chłopiec, który złożył donos na własnego ojca. Te uwarunkowania powodowały,

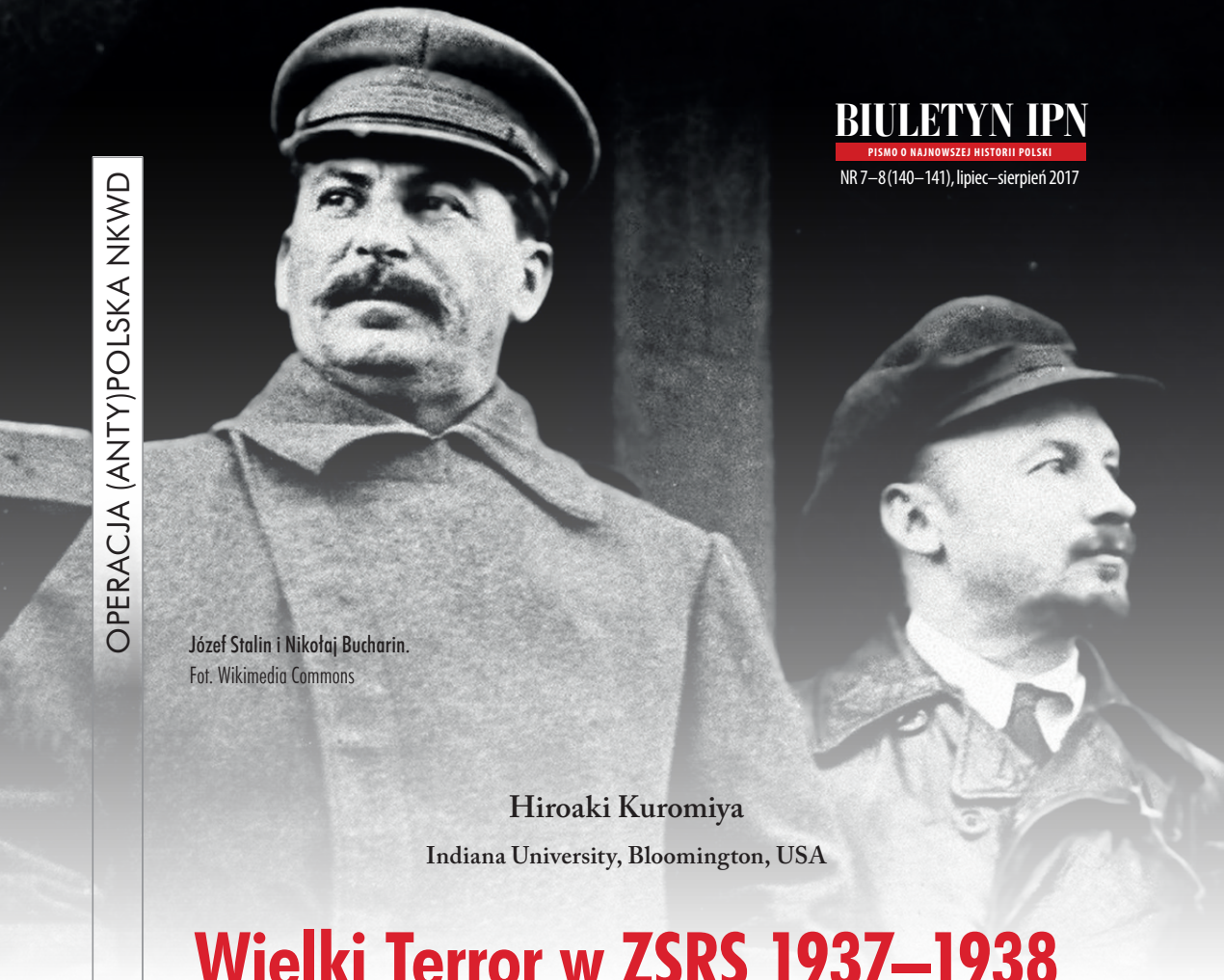
że informacje o masowych mordach popełnianych przez NKWD nie przedostawały się do szerszej świadomości. Skala zbrodni była jednak tak ogromna, że szczątkowe informacje na temat „operacji polskiej” trafiły do polskiego ambasadora w Moskwie, Wacława Grzybowskiego, którego interwencje w tej sprawie spotkały się z pokrętnymi odpowiedziami połączonymi z zaprzeczeniami Kremla. Informacje dotyczące „operacji polskiej”, docierające stopniowo do kraju, były na tyle niepewne i niejasne, że polski rząd nie zdecydował się na otwarte przedstawienie zarzutów. Nie bez znaczenia jest fakt, że skala zbrodni wydawała się nieprawdopodobna.

Florian Czarnyszewicz – autor epopei *Nadberezyńcy*, opisującej losy polskiej drobnej, często spauperyzowanej szlachty między Dnieprem a Berezyną, która przetrwała zabory dzięki sile ducha, wierności religii ojców i przekonaniu, że „Polska niesie swobodę nie tylko dla nas, Polaków, lecz dla wszystkich narodów w Jej granicach zamieszkałych” – po latach w korespondencji z Marią Czapską wspominał: „Najbardziej tragiczny list otrzymałem od siostry w roku 1937, zamężnej już za Uścińowiczem. Przysłała mi rejestr deportowanych na Sybir, w którym znalazł się jej mąż, brat i kilku moich kolegów z Wojska Polskiego”.

Kolejny list przyszedł dopiero po wojnie, prawie dziesięć lat później... A wojna przyniosła falę kolejnego męczeństwa na Wschodzie, którego symbolem były zsyłki, Katyń, niezliczone ofiary pozostałe na nieludzkiej ziemi. Jeżeli dodamy do tego przerażający do dzisiaj ogrom niemieckich zbrodni, które dotknęły niemal każdą polską rodzinę, to trudno się dziwić, że w tym morzu nieszczęścia zabrakło miejsca na sowieckie ludobójstwo z lat 1937–1938. A jego skala była porażająca. Autor *Nadberezyńców* w liście do Czapskiej notował: „Droga Pani, nie mogę o tym pisać ani myśleć. Serce boli”.

Dzisiaj musimy ten ból przezwyciężyć. Jesteśmy winni to naszym przodkom, którzy stali się ofiarami sowieckiego ludobójstwa w końcu lat trzydziestych XX w. Nie mają nawet grobów, a jedynym śladem po nich są ciągle odkrywane dokumenty, w beznamiętny sposób odnotowujące wyroki, które zapadały w kilka minut: „rozstrzelać, osobisty majątek skonfiskować”. Instytut Pamięci Narodowej uczyni wszystko, aby te ofiary znalazły swoje miejsce na polskiej Golgocie XX w. Cieszymy się, że w tym dziele są z nami także nasi rosyjscy i ukraińscy przyjaciele. Gdy wiedza o „operacji polskiej” trafi do szkolnych podręczników i stanie się elementem polskiej pamięci, pozostanie nam jeszcze obowiązek upamiętnienia pomnikiem jej ofiar.

Jarosław Szarek



Józef Stalin i Nikołaj Bucharin.

Fot. Wikimedia Commons

Hiroaki Kuromiya

Indiana University, Bloomington, USA

Wielki Terror w ZSRS 1937–1938

Od samego początku swojego panowania sowiecki reżim komunistyczny używał terroru jako nieodzownego narzędzia prowadzenia polityki. Dzisiaj trudno nam sobie wręcz uzmysłwić, jak ogromna była skala jego stosowania. A jednak Wielki Terror lat 1937–1938 nawet w historii tego reżimu wyróżnia się jako czas wyjątkowych prześladowań politycznych.

W okresie „pokoju” od 1921 do 1939 r., według oficjalnych statystyk sowieckich, za przestępstwa polityczne skazano 3 008 768 osób, z czego 747 772 osoby zostało skazanych na karę śmierci. Na dwa lata terroru 1937–1938 przypadły 1 344 923 wyroki skazujące (czyli 44,7 proc.) i 681 692 wyroki śmierci (czyli 91,2 proc.). Nie trzeba dodawać, że dane te są niepełne i niedo-

kładne¹. Na przykład nie obejmują niemal z całą pewnością wielu osób, które zakatowano na śmierć w więzieniach lub podczas przesłuchań. Zatem faktyczna liczba zamordowanych w okresie tych dwóch lat jest na pewno wyższa od danych oficjalnych i prawdopodobnie zbliża się do miliona. Jednak nawet te dane pokazują skalę terroru: ponad 90 proc. egzekucji politycznych w Związku Sowieckim przed II wojną światową miało miejsce w 1937 i 1938 r. Te dwa lata były pod jakimś względem odmienne. Warto zapytać pod jakim. Pojawiają się również inne pytania. Na przykład dlaczego pewne grupy ludzi (etniczni Polacy, kapłani i byli wywłaszczeni kułacy, by wymienić tylko kilka) ucierpiały podczas Wielkiego Terroru bardziej niż inne?

Eliminacja opozycji, czyli zdrajców

Sowiecki dyktator Józef Stalin postanowił, że poprzez sterroryzowanie i pełne podporządkowanie sowieckiego społeczeństwa swojej władzy przygotuje kraj do wojny. Mordując wszystkich, których podejrzewał o brak politycznej lojalności, Stalin starał się zabezpieczyć na wypadek wojny przed wewnętrznym nieposłuszeństwem lub opozycją, które mogły podważyć jego władzę. W jego pojęciu opozycja oznaczała zdradę. Zatem Wielki Terror był dla Stalina totalną operacją antyszpiegowską, ukierunkowaną na gruntowną eliminację potencjalnych źródeł nielojalności i zdrady².

W istocie Stalin rozmyślnie obrał pewne grupy za cel terroru. W pierwszej kolejności zorganizowano procesy i stracono byłych opozycjonistów i rywali do władzy jako osobników prowadzących działalność szpiegowską na rzecz obcych państw (w szczególności Polski, Japonii i Niemiec). Stalin zamierzał zniszczyć ich fizycznie, a oni wiedzieli o tym. Kilka lat wcześniej Karol Radek, były trockista pochodzący z Polski, i Nikołaj Bucharin, niegdyś polityczny sprzymierzeniec, a potem konkurent Stalina, powiedzieli Loyowi W. Hendersonowi, amerykańskiemu dyplomacie, że nie popełnią głupiego błędu rządu carskiego, który wielokrotnie

¹ Obliczenia na podstawie danych zawartych w pracy: W. Popow, *Gosudarstwennyj tierror w sowietskoy Rossii 1923–1953 gg. Istoczniki i ich intierprietacija*, „Otiestestwiennyje Archiwy” 1992, nr 2, s. 28.

² Zob. H. Kuromiya, A. Pepłoński, *Stalin und die Spionage*, „Transit. Europäische Revue” (Wiedeń), t. 38 (2009), s. 20–33.

aresztował bolszewickich rewolucjonistów, a potem wypuszczał ich na wolność. Gdyby zostali straceni, nie byłoby rewolucji październikowej. Według Radka i Bucharina bolszewicy nie są tacy głupi i będą po prostu rozstrzeliwać swoich wrogów. Radek i Bucharin doskonale przewidzieli, jaki los miał w końcu spotkać ich samych. Jak pewnego razu zauważył Michaił Borodin, stary bolszewik i bliski współpracownik Włodzimierza Lenina, bolszewikom obce jest pojęcie „przebaczenia”.

Stalin zdzięsił także szeregi dowódców wojskowych, którzy w jego pojęciu mogli potencjalnie zagrozić jego władzy. Działanie to sprawia wrażenie samobójczego, jeżeli przyjmiemy, że Stalin przygotowywał się do wojny, ale w istocie takim nie było. Stalin podejrzewał, że dowódcy wojskowi byli zawsze potencjalnym źródłem niesubordynacji, i chciał się przed tym zabezpieczyć.

Choć powszechnie wiadomo, że ofiarami Wielkiego Terroru Stalina padło wielu działaczy politycznych i dowódców wojskowych, w rzeczywistości większość masowych mordów w latach 1937–1938 dotknęła zwykłych sowieckich obywateli należących do dwóch kategorii. Celem tych działań byli dawni „kułacy” oraz „wrogie narodowości” (przedstawiciele narodów, których ojczyzna leżała poza granicami Związku Sowieckiego). Operacja przeciwko „kułakom” objęła w rzeczywistości szersze kręgi politycznie niepewnych osób (dawnych „kułaków”, kapłanów, repatriantów z zagranicy, „ludzi marginesu”, takich jak żebracy czy prostytutki). Ci ostatni, funkcjonując na obrzeżach sowieckiego społeczeństwa, stawali się tym samym podejrzani politycznie wobec groźby nadchodzącej wojny. Stalin uważał bowiem, że „tylko jeden krok” dzieli „chuligana” od „terrorysty”, a „chuliganizm” to „żywiol wiodący do powstawania grup dywersyjnych”³ – mordował więc ich masowo w celach prewencyjnych. Początkowo wyznaczano pewne limity dla liczby ludzi do wymordowania w ramach „operacji kułackiej” i do aresztowania w każdym z regionów kraju. Jednak lokalni urzędnicy zaczęli konkurować między sobą i domagali się podwyższenia tych limitów, na co Moskwa chętnie się godziła.

Stalin skupił się również na „wrogich narodowościach”. Etnicznych Polaków, Niemców, Greków, Łotyszy, Koreańczyków i innych mordowano, osadzano w więzieniach albo posyłano do gułagów. W przeciwieństwie do „operacji kułackiej” działania

³ W. Chaustow, *Diejatelnoś' organow gosudarstwiennoj biezopasnosti NKWD SSSR (1934–1942 gg.)*, praca habilitacyjna, Akademia Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Moskwa 1997, s. 334.

przeciwko obcym narodowościom nie miały ograniczeń liczbowych. Ludzie ci stawali się politycznie podejrzani wyłącznie z powodu swojego pochodzenia etnicznego. Mimo że ogromna większość ofiar tej operacji była obywatelami sowieckimi, Stalin nie ufał ich „ojczyznom” (krajom, takim jak Polska czy Niemcy) jako wrogom Związku Sowieckiego, a tym samym postrzegał tych obywateli Związku Sowieckiego jako politycznie podejrzanych. Na długo przed Wielkim Terrorem sowiecka tajna policja zaczęła zbierać informacje na ich temat i w 1937 r. posiadała precyzyjne dane o „wrogich narodowościach” w Związku Sowieckim. Najbardziej ze wszystkich grup narodowościowych ucierpieli Polacy oraz osoby powiązane z nimi lub z Polską. Możliwość ich zamordowania była od dwunastu do osiemnastu razy wyższa niż w przypadku przeciętnego sowieckiego obywatela. Podobnie, wśród wszystkich domniemyanych szpiegów aresztowanych w latach 1937–1938 „polscy szpiegowie” stanowili zdecydowanie najliczniejszą grupę, wyprzedzając pod tym względem, kolejno, „szpiegów” japońskich i niemieckich.

Nawet brutalne wymordowanie prawie miliona ludzi nie gwarantowało pełnego bezpieczeństwa w odczuciu głęboko podejrzliwego dyktatora. Aby mieć całkowitą pewność, Stalin musiałby wymordować wszystkich, ale w takim wypadku kto chroniłby jego i cały kraj? Dlatego też Stalin użył terroru w celu zmuszenia społeczeństwa do uległości. Trzeba pamiętać, że Stalin konsekwentnie bronił sztuki Michaiła Bułhakowa *Dni Turbinów* (scenicznej wersji powieści *Biała gwardia*), sympatycznego portretu antybolszewickiej rodziny Turbinów z Kijowa z czasów wojny domowej. Stalin lubił ten utwór, ponieważ jego zdaniem pokazywał on odbiorcy „miażdżącą potęgę bolszewizmu” i wpajał sowieckim obywatelom przekonanie o beznadziejności oporu wobec rządów bolszewickich⁴.

Stalin nie ograniczył swojego Wielkiego Terroru tylko do Związku Sowieckiego. Operacja ta objęła również Mongolię (Mongolską Republikę Ludową, pierwszy sowiecki kraj satelicki) i Xinjiang (chiński Turkiestan). Zainicjowany i nadzorowany przez sowieckich przedstawicieli Wielki Terror w Mongolii był znacznie surowszy niż w Związku Sowieckim. W jego wyniku zginęło ok. 3 proc. całej populacji tego kraju, podczas gdy w Związku Sowieckim wymordowano

⁴ J. Szapował, *Ukrajina XX stolittia. Osoby ta podiji w konteksti ważkoji istoriji*, Kyjiw 2001, s. 107, 108, 122. Por. też: J. Stalin, *Soczinienija*, t. 11, Moskwa 1952, s. 328.



Adolf Hitler...



...i Józef Stalin. Fot. Wikimedia Commons

w tym czasie mniej niż 1 proc. populacji. Większość ofiar w Mongolii mordowano jako japońskich szpiegów i agentów – Stalin nie dowierzał ich lojalności wobec Moskwy. Brutalne rządy Stalina w Mongolii dawały przedsmak tego, co miało się wydarzyć w zajętej przez niego wschodniej części Polski w latach 1939–1941 i generalnie w Europie Wschodniej po II wojnie światowej.

Stalin i Hitler

Popelnione przez Stalina masowe mordy na obywatelach własnego kraju są czymś tak monstrualnym, że niemal przekraczają ludzkie pojęcie. Czy było to „ostateczne rozwiązanie” porównywalne do Holocaustu Adolfa Hitlera? Całkiem możliwe. Trzeba jednak również pamiętać, że Stalin nie kontynuował tych masowych mordów: w końcu 1938 r. zakończył terror i zrzucił winę na swoich popleczników takich jak Nikołaj Jeżow. Dlaczego tak się stało? Czy Stalin był szalony? Hitler był niewątpliwie przekonany, że Stalin jest szaleńcem (*gehirnkrank*), skoro wymordował tak wielu ludzi (w tym najwyższe dowództwo wojskowe): „Jego krwawych rządów nie sposób inaczej wytłumaczyć”⁵. W istocie, wydawałoby się, że dyktator przy zdrowych zmysłach nie będzie mordował swoich dowódców wojskowych w obliczu nadchodzącej wojny. Hitler nie potrafił zrozumieć logiki działań Stalina, dopóki sam nie stanął w obliczu porażki z rąk tamtego. W końcu zrozumiał, ale było już za późno. Przed popełnieniem samobójstwa zwierzył się swoim zaufanym, że żałuje, iż nie stworzył własnych elit, tak jak zrobił to Stalin. Stworzenie własnych elit, ludzi ukształtowanych na modłę nazizmu, zajęłoby Hitlerowi dwadzieścia lat. Hitler skarżył się, że wojna wybuchła za wcześnie, zapominając wszakże, że on sam ją wywołał. Z perspektywy czasu Hitler żałował, że zabrakło mu cierpliwości i zbyt wcześnie zdecydował się na wojnę: „Nasi generałowie i dyplomaci, z nielicznymi rzadkimi wyjątkami, to ludzie innej epoki, i metody, jakimi prowadzą wojnę i uprawiają politykę zagraniczną, również należą do epoki, która już minęła”⁶. W tym świetle zdziśiatkowanie przez Stalina najwyższego dowództwa Armii Czerwonej miało pewien diaboliczny sens: Stalin obawiał się buntowniczych zapędów starej elity wojskowej, więc ją wymordował jako zagranicznych szpiegów, a w jej miejsce utworzył politycznie lojalną kadrę wojskowych.

⁵ Cyt. za: I. Kershaw, *Hitler 1936–45. Nemesis*, New York 2000, s. 44.

⁶ Cyt. za: A. Bullock, *Hitler and Stalin. Parallel Lives*, New York 1992, s. 881.

Dobrze wiedział, że przedstawiciele tej starej gwardii nie są tak naprawdę żadanymi zagranicznymi szpiegami. Byli po prostu zbyt niezależni, aby można im było ufać, i dlatego musieli zginąć. Tak samo, zdaniem Stalina, Bucharin, Radek i ci, którzy w przeszłości pobłądzili politycznie, musieli oddać „ostatnią przysługę rewolucji”, przyznając się do zbrodni zdrady kraju. Napiętnowanych jako „zagranicznych szpiegów” zmuszano ich do uznania, że ich powinnością jako rewolucjonistów jest pomóc socjalistycznej ojczyźnie w przygotowaniach do wojny z zagranicznymi wrogami, którzy chcą ją zaatakować. W tym sensie Arthur Koestler, były komunista, który był naocznym świadkiem komunistycznego eksperymentu w początku lat trzydziestych XX w., prawie na pewno miał rację w książce *Ciemność w południe* (1940), kiedy modelował swojego protagonistę Rubaszowa na podobieństwo Bucharina i kazał mu się przyznać do przestępstw, których tamten nie popełnił, i oddać w ten sposób ostatnią przysługę rewolucji. Jak już wspomnieliśmy wcześniej, Stalin nie mógł wymordować wszystkich, aby uzyskać w ten sposób całkowite bezpieczeństwo. Kiedy uznał, że społeczeństwo zostało stłamszone i jest wystarczająco uległe, zakończył Wielki Terror, choć z terroru politycznego nie zrezygnował nigdy.

Stalin wiedział też, że wojna z wrogiem zewnętrznym rozbroi wewnętrzną opozycję i zamknie usta sceptykom. Zatem świadomie przedstawiał swoje ofiary jako zagranicznych agentów, szpiegów i wrogów ludu w kraju stojącym wobec groźby wojny. Jednak Stalin był również przekonany, że wśród niektórych ludzi wojna może wywołać przeciwną reakcję. Trzeba było zatem uciszyć wszystkich, którzy marzyli o wojnie jako wyzwoleniu od rządów Stalina. Podejrzewał, że wielu ludzi – „kułacy”, duchowni, Polacy i im podobni – żywiło takie marzenia. Według Stalina te działania zabezpieczające na froncie krajowym trzeba było przeprowadzić *przed* wybuchem wojny. W logice rozumowania Stalina to tyły gwarantowały zwycięstwo na wojennym froncie. Tak więc zanim Stalin rozpoczął wojnę przeciwko Polsce, a potem Finlandii w 1939 r., w Związku Sowieckim życie straciło w latach 1937–1938 blisko milion ludzi.

Ofiary są winne

Nie znaleziono żadnych dowodów na to, że choćby jedna osoba spośród tego blisko miliona ofiar była faktycznie winna przestępstw, o które je oskarżano (szpiegostwo na rzecz obcych państw, działalność wywrotowa, antysowiecka agitacja itp.). Stalin

mordował niewinnych ludzi, aby umocnić i ochronić swoją władzę. Oznaczało to, że pod koniec istnienia Związku Sowieckiego i po jego upadku w 1991 r. Moskwa nie miała wyjścia i musiała uniewinnić wszystkie ofiary Wielkiego Terroru (wobec braku dowodów przestępstwa).

Uznanie tej potwornej zbrodni przeciwko ludzkości nie oznacza wszakże, że Moskwa przyjęła za nią odpowiedzialność. Rosja zrzuca raczej winę na inne kraje, takie jak Polska, Niemcy, Japonia i Finlandia. Według rosyjskich polityków i uczonych kraje te posyłały szpiegów do Związku Sowieckiego, zatem Stalin nie miał wyboru! W rzeczywistości nie znamy potwierdzonych przypadków dobrze usytuowanych zagranicznych szpiegów w Związku Sowieckim w czasach Wielkiego Terroru. Moskwa ma całkowitą słuszość, kiedy twierdzi, że wszystkie kraje prowadziły działalność szpiegowską i wywrotową, zapomina wszakże o sowieckich szpiegach rozmieszczanych w latach trzydziestych XX w. w sercu politycznego establishmentu wielu krajów, w tym Japonii, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i zapewne również Polski. Jednak w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego kraje te nie próbowały zaradzić tej sytuacji poprzez mordowanie milionów własnych obywateli jako sowieckich szpiegów i agentów w celu obrony własnej suwerenności. Jest to niezaprzeczalna i zasadnicza różnica pomiędzy Związkiem Sowieckim a innymi krajami, o której nie można zapominać.

Nawet dzisiaj Moskwa rozpowszechnia dezinformację, którą posługiwała się w latach trzydziestych XX w. do oskarżania i dyskredytowania innych krajów. Zgodnie z tą propagandą Polska na przykład spiskowała z Niemcami przeciwko Związkowi Sowieckiemu, zatem to Polska jest winna stalinowskiemu terrorowi wobec etnicznych Polaków z lat 1937–1938, a w końcu również zniszczeniu państwa polskiego w 1939 r.! Takie upórczywie powtarzane twierdzenia po raz kolejny krzywdzą niewinne ofiary stalinowskiego terroru.

Nasza rola powinna polegać na identyfikacji i upamiętnieniu każdej ofiary stalinowskiego terroru. ■

Tłumaczył z angielskiego Wacław Jan Popowski



Hiroaki Kuromiya (ur. 1953) – historyk amerykański pochodzenia japońskiego, profesor Indiana University w Bloomington. Autor książek: *Freedom and Terror in the Donbas. A Ukrainian-Russian Borderland, 1870s–1990s* (1998); *Stalin. Profiles in Power* (2005); *Głosy straconych* (2008); (z Andrzejem Peptońskim) *Między Warszawą a Tokio. Polska-japońska współpraca wywiadowcza* (2009) i in.

Kuropaty k. Mińska na Białorusi
– miejsce stalinowskich kaźni.
Fot. Maciej Foks

„Operacja polska” 1937–1938 na tle mechanizmów Wielkiego Terroru

Z Nikitą Pietrowem rozmawia Henryk Głębocki

Czym właściwie była tzw. operacja polska NKWD? Jak ją zdefiniować? Przecież wcześniej Polaków też rozstrzeliwano.

Jest taki okres w historii Rosji Sowieckiej, który jej badacz Robert Conquest nazwał Wielkim Terrorem. Historycy przyjęli tę nazwę, ponieważ od sierpnia 1937 r. do listopada 1938 r. aresztowano 1,5 mln ludzi, czyli po 100 tys. osób miesięcznie. Norma miesięczna wyniosła tyle, ile norma roczna w latach poprzednich. Był to czas niezwykle nasilonego terroru. Pojawia się pytanie: kto był ofiarą represji i egzekucji prowadzonych na wielką skalę i na terenie całego państwa? Do początków lat dziewięćdziesiątych nikt nie znał ich skali.

Niemal połowę życia przeżyłem w tzw. systemie komunistycznym. Jeśli w trakcie oficjalnej edukacji w PRL wspomniano o Wielkim Terrorze, to jego ofiarami mieli być głównie komuniści, współpracownicy Stalina. Nawet w podziemnej literaturze dominował zbliżony schemat, być może pod wpływem relacji ocalałych świadków tej masakry, reprezentujących wykształcone kręgi europejskiej i sowieckiej lewicy, które starały się ocalić pamięć o swych bliskich i towarzyszach politycznej drogi. Możemy tu wymienić wspomnienia Aleksandra Weissberga-Cybulskiego *Wielka czystka*, które ten termin spopularyzowały. Już przed 1991 r. poważni historycy jednak wiedzieli, że ginęli wówczas nie tylko komuniści. Za Chruszczowa funkcjonował nieprawdziwy obraz, że Stalin rozstrzelał bolszewicką gwardię. Owszem, zginęło wielu starych bolszewików i rewolucjonistów, ale w trybie Wielkiego Terroru wpadli też duchowni, ludzie literatury, artyści i chłopci. To zachowało się w pamięci narodu.

Nie wiedzieliśmy jednak, według jakiej logiki rozwijał się terror, ponieważ nie mieliśmy dostępu do dokumentów, które stały się jego prawną podstawą. Ludzie pamiętali, że wyroki wydawały jakies „trójki”, „dwójki”. Ale kto wchodził w ich skład, kiedy były powoływane, kto je tworzył, jakie były ich kompetencje – i jaki był mechanizm represji? Tego nie wiedzieliśmy. Było tak z jednej prostej przyczyny: dokumenty Politbiura i Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) były przechowywane w archiwach przy Staroj Płoszczadi [w siedzibie władz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego – red.], a raporty b. NKWD pozostały w archiwach KGB.

Dopiero po sierpniu 1991 r., gdy upadła władza komunistów w ZSRS, i to nie od razu, bo przecież w puczu uczestniczyło KGB [później zostało rozwiązane – red.], zarysowała się perspektywa dostępu do źródeł. Powołano komisję ds. archiwów, która miała zdecydować o tym, czy dokumenty KPZS i materiały KGB można przekazać do zasobu państwowego. Tak zaczęła pracować komisja, która systemowo zajęła się tym zagadnieniem – inwentaryzacją, oceną dokumentów. Celem było przekazanie ich do zasobów państwowych, a nie naukowe opracowanie w pełnym tego słowa znaczeniu. Przy okazji realizowano oba zadania równolegle.

W 1992 r. rozpoczęła się sprawa KPZS w Trybunale Konstytucyjnym Federacji Rosyjskiej. Zaistniała więc konieczność przestudiowania dokumentów, czy

» **Stalin nie lubił Polaków, ponieważ odkrył, że przynależność narodowa jest dla nich ważniejsza niż przynależność klasowa. Przekonał się o tym w 1920 r., kiedy załamał się marsz bolszewików na Warszawę.** »

KPZS działała zgodnie z prawem, czy nie naruszała konstytucji. Wtedy to właśnie ja i moi koledzy z „Memoriału” zajęliśmy się analizowaniem

źródeł i znaleźliśmy raporty NKWD o „operacji kułackiej”, o powołaniu „trójek”. Okazało się, że dokładnie ustalano limity osób, które miały zostać rozstrzelane, a także skład owych „trójek” oraz „kontyngenty podlegające represjom”.

Biurokratyczne określenie „kontyngenty podlegające represjom”, które pojawiało się w każdym rozkazy, nie wyjaśniało jednak dokładnie, kto miał się stać ofiarą. Szukając dalej, zauważyliśmy, że oprócz „operacji kułackiej” NKWD prowadziło „operacje narodowościowe”, w których kryteria podejmowanych represji były zupełnie inne. Także liczby osób podlegających aresztowaniu okazały się całkiem inne. Jednocześnie były realizowane represje według stalinowskiej listy osób przewidzianych do rozstrzelania. Listy te przedkładano samemu Stalinowi. Było ich 383, obejmowały łącznie kilkadziesiąt tysięcy osób. Dzielily represjonowanych na I i II kategorię. Stalin je podpisywał i rekomendował zakwalifikowanie tych ludzi do tzw. I kategorii, co oznaczało karę śmierci.

Analizując te dokumenty, zauważyliśmy, że wszystko układa się w jedną spójną całość: Wielki Terror 1937 i 1938 r. to cały ciąg operacji. Każda z nich była prowadzona według ściśle określonych zasad i skierowana przeciw konkretnej grupie osób. Terror nie miał wcale cech „żywołu naturalnego”, nie był ślepy, jak to próbowali przedstawiać niektórzy zachodni historycy, np. John Arch Getty. To nie było wariackie bicie na ślepo. Dokładnie określano, kto w danym momencie był wrogiem, którego Stalin oraz Biuro Polityczne uznali za konieczne rozstrzelać lub zesłać do łagru.

Kiedy ten obraz stał się w końcu wyraźny, nie mieliśmy już wątpliwości, że terror był zamierzonym przestępstwem władzy sowieckiej przeciwko społeczeństwu własnego kraju. I że rozpoczął się on po rozkazy wydany na Kremlu. Chodzi o specjalne pismo Stalina z 2 lipca 1937 r., zapoczątkowujące „operację kułacką”. Wtedy się zaczęło... Wydano więc najpierw dyrektywę rozpoczynającą „operację niemiecką”, później „rozkaz polski” nr 00485, którym Politbiuro uruchomiło „operację polską”. Po Polakach



Sandarmoch w Karelii (północna Rosja) – pomnik Niemców, ofiar represji 1937 r. Fot. Wikimedia Commons

byli tzw. harbińcy [rosyjscy emigranci z Harbinu w Mandżurii – przyp. red.], traktowani jako japońscy szpiecy. Następnie – 30 listopada 1937 r. – Łotysze. Wkrótce dołączyli do nich Irańczycy, Afgańczycy, Estończycy, jednym słowem, przedstawiciele narodów z różnych państw uznani przez Stalina za element wrogi politycznie.

Ale jakie były powody tak masowych represji i ich ludobójczego charakteru?

Każdy może zapytać: dlaczego wcześniej nie aresztowali, a nagle zaczęli aresztować? Nie da się na to pytanie odpowiedzieć w dwóch słowach.

Stalin uważał, że jesteśmy państwem, które wstąpiło na jedynie słuszną i wspinałą drogę socjalistycznego rozwoju, a cały świat jest przeciwko nam i zewsząd jesteśmy otoczeni wrogami. To po pierwsze.

Po drugie, rozpoczęło się wstępowanie państwa sowieckiego, kierującego się dotychczas internacjonalizmem, na pozycje w gruncie rzeczy nazistowskie. Jeśli wcześniej z otwartymi rękami przyjmowaliśmy wszystkich komunistów, którzy uciekali do nas z państw kapitalistycznych, to teraz zaczęli oni budzić wątpliwości. W istocie Stalin miał w głowie już inny schemat: on będzie służył swojemu

państwu narodowemu, a nie władzy proletariackiej jako takiej. Dlatego wcześniej, w ramach klasowej solidarności, nie można było o nic podejrzewać polskiego robotnika komunisty, który do nas uciekł, czy polskiego chłopca, który przeszedł w poszukiwaniu lepszego życia. Oni byli nam bliscy klasowo. Teraz już nie: byli przedstawicielami kapitalistycznej, burżuazyjnej Polski.

Jeśli zajrzemy do tekstu „polskiego rozkazu”, który został opublikowany w języku polskim w miesięczniku „Karta” w 1993 r., to zobaczymy jedną ważną sprawę: mowa jest nie o wszystkich Polakach, nie o narodowości jako takiej, lecz o tych, którzy zachowują kontakt z burżuazyjną Polską; także tych, którzy całkiem niedawno z niej przyjechali lub są podejrzewani o szpiegostwo na rzecz Polski. Myślę też, że Stalin dokonał już wcześniej odkrycia, że narodowości stanowią coś w rodzaju „silnej klasy”.

Sugeruje Pan, że w trakcie represji w istocie nie stosowano kryterium narodowościowego?

Wszystkie „rozkazy narodowościowe” zawierały uzasadnienie likwidacji ludzi niebezpiecznych, bo utrzymujących kontakt ze swoimi krewnymi i przyjaciółmi za granicą oraz z „państwami burżuazyjnymi”. To znaczy, że osoby te mogły być niebezpieczne jako potencjalna baza szpiegowska. Jeśli zajrzemy do dokumentów wewnętrznych NKWD, to wszystkie „operacje narodowościowe” można opisać właśnie jako likwidację bazy kadrowej dla wywiadów zagranicznych, czyli likwidację tych ludzi w sowieckiej Rosji, na których w razie konfliktu mogły owe wywiady liczyć.

Czy to oznacza, że Stalin zabijał z powodu przynależności narodowej, ponieważ widział w swych ofiarach awangardę państw (narodów), w których okrążeniu znajdował się Związek Sowiecki?

Tak, ale nie możemy zapominać, że do niektórych narodowości Stalin mógł mieć specjalny stosunek. W mniejszym stopniu dotyczyło to Niemców, w większym Polaków, a to dlatego że kierował się własnym doświadczeniem. Nie lubił Polaków, ponieważ odkrył, że właśnie dla nich przynależność narodowa jest ważniejsza niż przynależność klasowa. Przekonał się o tym w 1920 r., kiedy załamał się marsz bolszewików na Warszawę. Wtedy bowiem okazało się, że zamiast, zgodnie z bolszewicką doktryną, poprzeć „bratnią klasowo” Armię Czerwoną i szerzyć nienawiść do ustroju kapitalistycznego, Polacy powszechnie stanęli w obronie swojego państwa.

Także polscy chłopcy i robotnicy.

Tak. A z kogo przede wszystkim składała się każda armia? Z chłopów i robotników. Co więcej, doskonale wiemy, że spośród wszystkich partii komunistycznych działających w Moskwie Stalin rozwiązał tylko partię polską. Inne represjonował, „czyścił”, ale polską zlikwidował całkowicie. Członkowie Komunistycznej Partii Polski, w jego ocenie, byli najbardziej niebezpieczni, „zakażeni” kontaktami z obcymi służbami wywiadowczymi.

Stalin jest uważany za jednego z autorów polityki narodowościowej Rosji bolszewickiej i ZSRS. Nie tylko jako ludowy komisarz ds. narodowości. Młody Józef Dżugaszwili, przebywając w Krakowie i Wiedniu, przygotowywał przeciw z Leninem teoretyczne propozycje rozwiązania tak istotnych w Rosji kwestii narodowych. Dwa artykuły, które wówczas (1912–1913 r.) obaj przywódcy bolszewików prawdopodobnie wspólnie napisali i opublikowali, miały się stać teoretyczną podstawą sowieckiego „łże-federalizmu”. Stąd pytanie: Czy operacje NKWD nie były rezultatem przechodzenia od leninowskiej polityki tzw. korienizacji (czyli autonomii narodowościowej, jako etapu pośredniego sowietyzacji kultur etnicznych), podtrzymywanej do początku lat trzydziestych, do stalinowskiej polityki „karania narodów”?

Byłoby to zbyt dużym uproszczeniem, gdybyśmy operacje z lat 1937–1938 traktowali jako akcje karne. Operacje te w swych założeniach nie były skierowane przeciwko narodowościom Związku Sowieckiego jako takim. Zdawało się, że mówiono: sowieckie grupy narodowościowe mogą być spokojne – ty, sowiecki człowieku, możesz spać spokojnie.

Pokażmy to na konkretnych przykładach. Jak prowadzić „operację polską” w polskich rejonach, np. na Ukrainie? I jak prowadzić „operację niemiecką” w Republice Niemców Powołża? Kto powinien być aresztowany w „operacji niemieckiej”? Niemiec? Niekoniecznie. W „operacji niemieckiej” i „operacji polskiej” mogli być i byli aresztowani Polacy i Niemcy, Rosjanie i Żydzi. Dlaczego? Ponieważ tutaj ważny był kontakt z „państwem burżuazyjnym”.

W przypadku Niemców kluczowy był fakt, że oskarżeni otrzymywali pomoc od państwa hitlerowskiego, ponieważ ambasada niemiecka wspierała „braci w potrzebie”. Ci zaś, z punktu widzenia Stalina, stawali się swego rodzaju sługusami, oparciem

» Przytłaczająca większość aresztowanych z »rozkazu polskiego« została zamordowana. »

zagranicznych misji i ambasad, które im pomaga-

ły. Oto prawdziwy cel operacji, a nie zwykły, rzetelnie pracujący Niemiec. Ale jeśli lojalnie pracujący Niemiec był zatrudniony w fabryce wojskowej, to też wywoływało podejrzenie, ponieważ normalny Niemiec powinien siedzieć w republice Powołża i tyrać w swoim kołchozie. Dodatkowo nie mógł on być człowiekiem mającym ani byłym pastorem czy byłym „kułakiem”. Wymieniam przykładowe kategorie, które należało aresztować...

Tymczasem „operacja kułacka”, na mocy rozkazu 00447 z 30 lipca 1937 r., wydanego także na polecenie Politbiura, była prowadzona według kryterium społeczno-klasowego. Zostali nią objęci wszyscy należący do „klas posiadających”, duchowieństwo oraz osoby uprawiające agitację i propagandę antysowiecką. Miała więc kontekst klasowy i ideologiczny. Wskazałbym jeszcze na „kontekst kryminalny”, ponieważ w wielu przypadkach represjom podlegali ci, którzy mieli status „elementów społecznych”.

W takim razie, czy według Pana „operacja polska” NKWD nie była realizowana według kryteriów etnicznych? To wyraźnie odmienna interpretacja od poglądów badaczy z Polski, takich jak Tomasz Sommer czy Nikołaj Iwanow. Inaczej też postrzegają to inni historycy, jak np. Terry Martin, który pisze o „czystkach etnicznych” w latach trzydziestych, lub Timothy Snyder, określający je mianem „terroru narodowego”.

Można powiedzieć, że represje w latach 1937–1938 to *de facto* „globalna czystka”, zmiany jakościowe w składzie społeczeństwa Związku Sowieckiego, w tym także czystka obejmująca przedstawicieli poszczególnych narodowości. Narody sowieckie, z punktu widzenia Stalina, powinny jednak dalej istnieć.

Przyjrzyjmy się, jak prowadzono tę operację w polskich rejonach Ukrainy przeciwko ludności wiejskiej, w ogóle niezwiązanej z „pańską Polską”. W trakcie „operacji polskiej” lokalni funkcjonariusze NKWD często podejmowali działania wyłącznie, powiedziałbym, wiodące do ludobójstwa. Szli jakby własną drogą. Zastanawiali się, kogo mają aresztować w ramach „operacji polskiej”. Ano tych, co mieli polskie nazwiska i korzenie. A zarzuty wobec nich były po prostu wymyślone. Czy ktoś był związany z Polską, czy nie, wszystko jedno – był Polakiem.

Dlatego oficjalne plany operacji to jedno, natomiast jej realizacja w praktyce doprowadziła cały kraj do takiego stanu, że mieliśmy do czynienia z ludobójstwem. Jedną z cech charakterystycznych tej operacji w wielu polskich rejonach Ukrainy było to, że aresztowania Polaków stały się powszechne. Dlatego Ukraina powinna rozliczyć się z „operacji polskiej”, prowadzonej na terenie dawnej USRS. Tak samo było na Białorusi, Uralu i Syberii, czyli wszędzie, gdzie mieszkali Polacy.

A jak się do tej praktyki miało teoretyczne uzasadnienie terrorku i sam Stalin?

Wyjaśnia to bardzo interesująca historia z 1938 r., kiedy Nikita Chruszczow relacjonował Stalinowi sprawę polskiej gazety wydawanej dla Polaków mieszkających na Ukrainie. Nie było już komu jej redagować, ponieważ aresztowano cały skład redakcji – redaktorzy okazali się „wrogami ludu”. Co robić? – pytał Chruszczow. – Czy należy ją jeszcze wydawać, skoro praktycznie nikt jej nie kupuje? Co mu odpowiedział Stalin? – Jeśli wam się uda znaleźć chociaż jednego profesora, Polaka, który robi to dobrze, to gazetę należy wydawać dalej.

Pozory przyjaźni między narodami sowieckimi, włączając w to narody nie całkiem sowieckie, jak np. polski, były ważniejsze od istoty sprawy. I teza Stalina, że te odrębne wspólnoty stworzą nową społeczność – naród sowiecki – była dla niego najważniejsza. Gazetę należało więc wydawać, dlatego że sama idea przyjaźni narodów sowieckich, budowy szczęśliwego życia na nowym terytorium sowieckim była dla niego najważniejsza. Na pierwsze miejsce wychodziła u niego sowieckość, a nie oryginalne korzenie narodowe.

To klasowe podejście do Polaków, do polskiego narodu dominuje też w 1939 r., kiedy już nie ma polskiego wywiadu ani państwa, ale zaczynają się prześladowania – właśnie według kryterium klasowego. Dlatego polscy żołnierze nie byli rozstrzelani, a oficerowie tak. Tutaj całkiem inne kryterium wychodziło na pierwszy plan: to, które obowiązywało w stosunku do narodu sowieckiego, bez różnicowania narodowego, co widać w „operacji kułackiej”. Ucierpieli w niej i Polacy, i Niemcy, i Rosjanie, i inne narodowości, ale został zastosowany czynnik klasowy, społeczny.

W jaki sposób były organizowane „operacje narodowościowe”?

Można dokładnie opisać, jak wyglądał system represji podczas nieco wcześniejszej „operacji kułackiej”. Wtedy wykonywanie działań represyjnych zostało przekazane



Sandarmoch w Karelii (północna Rosja).
Pomnik ofiar NKWD. Fot. Wikimedia Commons

organom miejscowym. Sprawy przeciwko oskarżonym, przygotowywane zgodnie z tzw. rozkazem kułackim nr 00447, były rozpatrywane przez „trójki” w terenie. Skład personalny owych „trójek” był zatwierdzany na Kremlu. Widzimy, że na poziomie lokalnym o losie ludzi decydowali naczelnik NKWD oraz przedstawiciele partii komunistycznej. Oni otrzymywali odgórnie wyznaczone limity, ile osób muszą rozstrzelać, a ile zesłać do łagrow. Jeśli chcieli „przekroczyć plan”, musieli prosić o pozwolenie

Moskwę, a ta mogła wydać uzupełniające dyrektywy, tj. podwyższyć limity, z tym że lokalni funkcjonariusze musieli to wcześniej uzasadnić.

Tymczasem w „operacjach narodowościowych” nie było konieczności ustalania żadnych limitów liczbowych, ponieważ nie zostały dokładnie określone kategorie podlegające aresztowaniu. Mogły to być osoby wymienione w ramach prześladowań politycznych, uciekinierzy polityczni z Polski, ludzie podtrzymujący kontakty konsularne z przedstawicielami dyplomacji II RP czy prowadzący korespondencję z zagranicą itd.

W ramach „operacji polskiej” propozycje wyroków były przekazywane w formie „albumów” centralnej „dwójce” w Moskwie. Otrzymywali je prokurator generalny ZSRS Andriej Wyszynski i szef NKWD Nikołaj Jeżow albo ich zastępcy. To znaczy, że obwód, w którym aresztowano ludzi w ramach „operacji narodowościowych”, posyłał te „albumy” do Moskwy, tam przyjmowano proponowany



Wołodmyr Krawczuk
— *Tragiczne okno.*
Praca na konkurs
w Dolbyszu
„Maluję, aby
przypomnieć...”

wymiar kary: „rozstrzelać” albo „dać 10 lat łagru”, i „albumy” odsyłano z powrotem, a następnie wykonywano wyrok.

Tu był wyższy poziom kontroli. Moskwa wszystko nadzorowała, tak aby operacja przebiegała we właściwym kierunku. Znamy przypadki, że Moskwa zarzucała władzom lokalnym, iż pod pozorem np. „operacji polskiej” i „operacji niemieckiej” prowadzą faktycznie „operację kułacką”. To wynikało z „albumów”, w których jako powód aresztowania niektórych osób podano np. zamożność albo coś jeszcze, lecz nie narodowość. To też wyjaśnia, dlaczego w ramach „operacji polskiej” i „operacji niemieckiej” aresztowano Polaków i Niemców, ale także bardzo wielu Rosjan.

Kolejny poziom kontroli to listy osób wytypowanych przez Stalina do rozstrzelania, czyli czystka wśród sowieckiej elity partyjno-państwowej. Tutaj decyzję podejmował sam Stalin: rozstrzelać czy też nie rozstrzelać. Mamy tu więc trzy poziomy, w zależności od wagi tych wszystkich operacji, które składają się na Wielki Terror.

Kiedy mówimy o „operacjach narodowościowych”, to zwróćmy uwagę, że o ile w ramach „operacji kułackiej” prawie połowa aresztowanych została rozstrzelana, może trochę mniej, o tyle w „operacjach narodowościowych” ten odsetek był dużo wyższy. W „operacji polskiej” najwyższy – ok. 80 proc.

Od razu można zauważyć, że założenia formułowane na Kremlu w sprawie liczby ofiar w ramach „operacji narodowościowych” były zupełnie inne. Tutaj nie było miejsca na litość. Ci ludzie, z punktu widzenia Kremla, nie mogli żyć, ponieważ byli szpiegami lub potencjalnymi szpiegami. Zresztą Stalin nie dostrzegał dużej różnicy między tymi kategoriami.

Jak należy tłumaczyć tak wielką liczbę wykonanych wyroków śmierci?

Skala wykonanych wyroków śmierci była wysoka tylko dlatego, że „patos” walki z tzw. szpiegami przewyższał „patos” „czystki społecznej”, np. w ramach „operacji kułackiej”.

Wcześniej niektórzy naiwnie sądzili, że terror wywołano tylko po to, by zapełnić łagry i zmusić do bezpłatnej pracy, i że to była świetna pomoc dla gospodarki sowieckiej. Ale to nie tak. Analizując dokumenty, widzimy, że z „rozkazu kułackiego” i „rozkazów narodowościowych” ludzi rozstrzelowano masowo. Był tu więc jeden cel: rozstrzelać, a nie zmusić ludzi do pracy w warunkach niewolniczych. Wychodzi na to, że były to działania nieracjonalne, wręcz maniackalne i paranoidalne – zamiast

wysłać tych ludzi na przymusowe roboty, nawet w warunkach Kołymy, tak by mogli choćby pół roku przepracować i wyplukać jakąkolwiek ilość złota. Przecież było wiadomo, że człowiek i tak tam umrze, bo rzeczywiście „wymiana” osadzonych w łagrach była dość duża. Ale „operacje narodowościowe” nie opierały się na racjonalnych przesłankach. Miały one tylko jeden cel – zabijać. Inspirował je maniackalnym strachem przed ludźmi, którzy – według Stalina – stanowili zagrożenie dla jego reżimu.

Czy miała na to wpływ psychika Stalina? Paranoja? Strach? A może przeświadczenie o tym, że polski wywiad jest wszechmocny?

Gdy uwzględnimy liczbę ofiar „operacji polskiej”, tzn. ok. 140 tys. skazanych, a z nich ok. 111 tys. wysłanych na śmierć, to wiadomo, że nie da się tego wytłumaczyć racjonalnie. Z drugiej strony Stalin sam siebie utwierdzał w przekonaniu, że cała zagranica to zwarta siła, która – jeśli nie dzisiaj, to jutro – zjednoczy się, by rzucić się na ZSRS i go rozszarpać.

Być może wyobraźnia Stalina została uformowana pod wpływem kulturowych i historycznych mitów mówiących o „wrogim okrążeniu”, które miały głębokie korzenie w rosyjskiej tradycji, począwszy od „wielkiej smuty” i wojny ojczyźnianej w 1812 r.

Mogę się zgodzić, ale z pewną korektą. Lęki są wieczne i bez przerwy człowiekowi towarzyszy niezmiennie pewien ich zestaw. Ale powstaje pytanie, jak jest realizowane takie odczucie. Żadnemu z carów, którzy przecież wiedzieli, że Polacy są niespokojni, nie przyszło do głowy, by ich na masową skalę wysiedlać czy rozstrzeliwać. Owszem, represjonowano i zabijano uczestników polskich powstań. Ale miało to charakter sytuacyjny. Nie wychodzono z założenia, że całe narody mogą być podejrzane o szpiegostwo i trzeba z nimi „zrobić porządek”.

A więc w latach trzydziestych XX w. chciano się jednak rozprawić z narodami...

Raczej z państwami niż narodami. W każdej z operacji narodowościowych NKWD nie chodziło głównie o naród, lecz o państwo.

No, ale Stalin miał swoje porachunki np. z Polakami. Wyobraźmy sobie, że zamiast Polski, zamiast tej władzy, która tam była, zamiast Józefa Piłsudskiego, panowałby tam od 1926 r. do 1935 r. „spokojny”, „burżuazyjno-chłopski” system

»Operacje narodowościowe«
miały tylko jeden cel – zabijać.
Inspirował je maniackalny strach
przed ludźmi, którzy – według
Stalina – stanowili zagrożenie
dla jego reżimu.

typu czechosłowackiego. Oczywiście, wówczas Stalin miałby pretensje o wiele mniejsze... Mimo takiego przeciwstawienia Polski i Czechosłowacji, zauważamy, że w 1937 r. była przecież również „operacja czeska”. Ona nie została przeprowadzona na podstawie specjalnego

rozkazu. Nie było dla niej nawet oddzielnej dyrektywy. Przebiegała w ramach „operacji polskiej” – na Ukrainie, gdzie mieszkali Czesi.

W jakim kierunku powinny być prowadzone dalsze badania archiwalne dotyczące „operacji polskiej” i innych „operacji narodowościowych” NKWD?

Najważniejszą sprawą jest stworzenie pełnej listy ofiar. Potrzebne są zbiorcze listy z danymi o charakterze biograficznym i informacjami na temat losów każdej ofiary: rozstrzelany czy nierozstrzelany. Wiemy, czego chcieli Stalin i Jeżow, kiedy podjęli decyzję o wydaniu „rozkazu polskiego” nr 00485, nie wiemy jednak do końca, w jaki sposób był on realizowany. Z prostej przyczyny: jedno to umieścić daną kategorię w rozkazie, a drugie to ustalić, jak rozkaz został zrozumiany przez szeregowych funkcjonariuszy NKWD. Nie można zakładać, że pracownicy lokalnych struktur NKWD reprezentowali poziom profesorów uniwersyteckich i umieli analizować oraz właściwie zrozumieć głębszy sens przesłanych dokumentów. Zazwyczaj to nie byli ludzie zbyt wykształceni. Zwykle rozumowali tak, że „rozkaz polski” był skierowany przeciwko Polakom, nikomu innemu. To oczywiste, że w rozkazie były wymienione kategorie, które dotyczyły nie tylko Polaków. I rzeczywiście zaczęto represjonować nie tylko Polaków, ale i inne narodowości, które można było ewentualnie zakwalifikować jako polskich szpiegów lub jako osoby podejrzane o szpiegostwo. Rodzi się pytanie, jaki był sposób wykonania rozkazu na poziomie lokalnym. Niezbędne są więc dane z „albumów”, w których krótko zostały sformułowane zarzuty, by zrozumieć, przeciwko komu je wysunięto i jakiej narodowości były ofiary. Kto był Polakiem, kto Żydem, kto Rosjaninem.

Kiedy to zostanie zbadane na pewnym poziomie, np. niewielkiego obwodu, powiedzmy wołogodzkiego, wtedy dowiemy się, w jaki sposób przebiegała tam operacja. Ale to nie znaczy, że w obwodzie wołogodzkiem przebiegała ona tak samo

jak w Gruzji. W każdym regionie wyglądało to inaczej. Jednym słowem, trzeba zrozumieć, że „polski rozkaz” objął w istocie całą „międzynarodówkę” ludzi zamieszkujących ZSRS, chociaż na pierwszym miejscu niezaprzeczalnie byli Polacy.

Mamy dziś dostęp do aktów normatywnych dotyczących „operacji polskiej”, znamy liczby ofiar, poszczególnych ludzi, którzy ją realizowali, ale wciąż nie możemy odtworzyć, jak wyglądały regularne kontakty między Moskwą a peryferiami państwa: kto co meldował, jakie notatki nadsyłał, jakie pytania były stawiane – to nadal nie zostało zbadane i nie ma dostępu do materiałów na ten temat. Aby uzyskać pełną wiedzę na temat „operacji polskiej”, archiwa powinny być w pełni otwarte i nie mogą pozostać jakiegokolwiek sprawy niewyjaśnione. Dopiero pełny rejestr, indeks osób represjonowanych, da nam odpowiedź.

„Operacja polska” powinna trafić do podręczników jako jeden z przykładów prześladowania Polaków ze względu na narodowość. Chociaż Polacy formalnie byli szykanowani nie z tego powodu, wychodzi na to, że podczas wykonywania rozkazów wydanych przez centralę podstawą do represji była jednak sama narodowość polska.

W pracach części polskich historyków i publicystów pojawia się teza, że państwo polskie nic nie zrobiło dla Polaków, którzy byli rozstrzelani, że II Rzeczpospolita właściwie – w obliczu najpierw Wielkiego Głodu, następnie Wielkiego Terroru i „operacji polskiej” – porzuciła swoich rodaków...

Nie, nie można tak mówić. Państwo polskie nie było wystarczająco informowane, co się dzieje w Związku Sowieckim. By zostać poinformowanym w pełni, trzeba mieć potężny, dobrze zorganizowany aparat wywiadowczy. Ale jeśli takiego nie było? Teza o rozległej konspiracji Polskiej Organizacji Wojskowej została wymyślona przez Stalina po to, żeby przeprowadzić „operację polską”.

Jakie główne mechanizmy Wielkiego Terroru może Pan wyodrębnić na podstawie badań archiwalnych dotyczących „operacji narodowościowych” i „operacji polskiej”?

W tym, co zaszło, widać wyraźny ciąg wydarzeń. Jeśli weźmiemy pod uwagę wspomniane trzy poziomy działań centrali, to najważniejsze okażą się stalinowskie listy rozstrzelanych: to jest czystka w partyjnym aparacie państwowym – likwidacja tych, którzy mogli się nie zgadzać ze Stalinem. Widzimy, że jej skala



Na górze: Władysław Ługowski – *Zesłanie*;
po prawej: Lilia Gubert – *Pociąg – widmo*.
Prace na konkurs w Dolbyszu
„Maluję, aby przypomnieć...”



nie była tak wielka. W ramach tej czystki na stalinowskie listy wytypowanych do rozstrzelania trafiło od 35 do 39 tys. osób. Znaleźli się tam nie tylko ludzie będący w opozycji, lecz także członkowie Komitetu Centralnego, elity partyjnej i państwowej. Listy zostały podpisane przez samego Stalina. To był dla niego najważniejszy poziom represji. Takie wykazy powstawały regularnie od 27 lutego 1937 r. Ten kierunek represji rozpoczęto jako pierwszy.

Po nim nastąpiła, z socjologicznego punktu widzenia klasowa i oczywiście ideologiczna, czystka z „rozkazu kułackiego” nr 00447. Sam rozkaz wydano 30 lipca 1937 r., ale „operacja kułacka” rozpoczęła się 5 sierpnia tegoż roku. I tutaj również ważne było to, że czystka ta miała charakter masowy i była ważniejsza od działań przeciwko narodom. A w ślad za tym poszły „operacje narodowościowe”, poczynając od „niemieckiej”, do której przystąpiono na mocy rozkazu z 25 lipca 1937 r., choć początkowo dotyczyła ona obywateli niemieckich, a nie tych, których nazywamy „sowieckimi Niemcami”. Potem jednak przekształciła się w formę działań przypominających operację prowadzoną na mocy „rozkazu polskiego”, który

wydano 11 sierpnia 1937 r. I ten właśnie rozkaz stał się wzorcem dla wszystkich pozostałych akcji. „Operacja polska” pochłonęła też najwięcej ofiar. Dlatego wśród „operacji narodowościowych” zajmuje ona pierwsze miejsce, zarówno co do liczby ofiar, jak i pod względem surowości wyroków.

Ale nie możemy specjalnie traktować „operacji narodowościowych” i uznać, że one są ważniejsze od „operacji kułackiej” czy też od czystki w aparacie partyjno-państwowym. Tutaj wszystko było w komplecie. Stalin miał na te sprawy jednakowy pogląd, zgodnie z którym, jeśli zaczęto kampanię masowych aresztowań i rozstrzeliwań, to musiała ona objąć wszystkie kategorie, nie tylko poszczególne narodowości, ale także byłych „kułaków”, „element antysowiecki” czy przestępców kryminalnych. To jest to, co Nikołaj Bucharin, pisząc z więzienia, nazwał ideą powszechnej, „globalnej czystki”. To przebudowa społeczeństwa – na nowych zasadach. To był krok, po którym ten kraj stał się inny, a człowiek sowiecki stał się innym człowiekiem. Po tej operacji ludzie bali się już otwarcie wypowiadać. O ile wcześniej byli mniej lub bardziej odważni, o tyle doświadczenie masowego terroru ich złamało. Wszystko stało się jasne: władza zabija. Oto co złamało ducha ludzi, którzy mieszkali w Związku Sowieckim.

Jak Pan ocenia walkę o pamięć, o prawdę o tych strasznych czasach w dzisiejszej Rosji? Mogłoby się wydawać, że nie jest aż tak źle, wszak istnieje Muzeum Historii GUŁagu, finansowane zresztą przez mera Moskwy, a najwyższe władze państwowe biorą udział w oficjalnych obchodach rocznicy Wielkiego Terroru. Co Pan sądzi o podejściu instytucji państwowych i podległego im systemu oświaty, bez którego trudno dbać o pamięć o przeszłości?

Sprawa jest złożona. Jeśli popatrzymy na to, co mówi obecny prezydent Federacji Rosyjskiej, na to, co robią osoby zajmujące stanowiska we władzach, to oni zawsze z zadowoleniem powiedzą, że potrzebny jest pomnik, że powinniśmy uczcić pamięć ofiar represji, że to wszystko stało się kamieniem milowym w życiu społecznym Rosji. I nawet w podręcznikach szkolnych będą informacje o represjach. Należy jednak postawić pytanie: jak my to dzisiaj rozumiemy? Składamy hołd, ale państwo nie ma interesu, by zgłębiać ten temat. I państwo w ogóle nie jest zainteresowane tym, żeby ten problem stał się przedmiotem poważnej oceny z punktu widzenia prawa. Oficjalne władze państwowe chcą rozpatrywać te wszystkie sprawy nie

»Operacja polska« powinna trafić do podręczników jako jeden z przykładów prześladowania Polaków ze względu na narodowość.

tyle jako błędy Stalina, ile jako wydarzenia o charakterze żywiołów naturalnych: „To jest katastrofa społeczna, która się nam przydarzyła”. Państwo ucieka od

odpowiedzi na pytanie, czyja to zła wola umożliwiła tak masowy terror. Nie ma tu miejsca na personalną odpowiedzialność.

Jeśli popatrzymy na przestępców, to każdy ma określone imię i nazwisko. A tego właśnie nasze państwo nie chce. Nie pojawi się najważniejsze: jasno wyrażony wniosek, że państwo sowieckie było zbrodnicze. To dlatego, że współczesne państwo rosyjskie naśladuje tamto totalitarne państwo, chce wyprowadzić z niego pewnego rodzaju legitymizację. Ale odmawiając zajęcia się oceną prawną przeszłości, przejmując w istocie ciężar odpowiedzialności. Dlatego też samo nie ma przyszłości.

Co dzisiaj, po osiemdziesięciu latach od zbrodni Wielkiego Terroru i „operacji polskiej”, możemy zrobić z tą straszną spuścizną, my wszyscy: Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Czeczeni i inne narody – byli poddani byłego imperium sowieckiego? Sposób jest bardzo prosty. Być może wyda się Panu naiwny i prymitywny, ale polega na tym, że my, jako różne narodowości, potomkowie tych, którzy ponieśli ofiary, i potomkowie tych, którzy ofiar nie ponieśli, powinniśmy dzisiaj zbierać materiały o sowieckich represjach i domagać się, by sowiecki reżim komunistyczny został uznany za przestępczy. I to jest samo sedno. To obowiązek wobec tych, którzy zginęli, i obowiązek docierania do prawdy. Powinniśmy powiedzieć prawdę. Ten reżim w swojej istocie był zbrodniczy. Łamał własne przepisy prawa, konstytucję, która oficjalnie gwarantowała naszym obywatelom wolność i która w żaden sposób nie odpowiadała temu, co w rzeczywistości działo się na terenie Związku Sowieckiego. To była zasłona, za którą kryły się „kolegia specjalne”, „dwójki”, „trójki”, „albumy” skazanych.

Niektórzy próbują mówić: „inne państwa też czasami łamią prawo”. I to jest prawda, nie ma idealnych państw. Ale w odróżnieniu od tzw. państw burżuazyjno-demokratycznych system sowiecki był zbrodniczy, wprowadził jako normę łamanie prawa wobec własnego społeczeństwa. Jeśli chodzi o metody, stopień kontroli nad społeczeństwem i skalę przestępstw wobec własnych obywateli,



Bykownia pod Kijowem – pomnik ofiar 1937 r. Fot. Piotr Życieński

w pewnym stopniu przerastał on nazistowskie Niemcy, które były w swojej istocie państwem totalitarnym, represyjnym i przestępczym. Tam jednak oddzielano rzeczy zgodne z prawem od bezprawnych. I jeśli zamierzano postąpić z kimś niezgodnie z prawem i w ogóle nieludzko, to najczęściej wywożono go poza granice tzw. Starej Rzeszy i robiono to gdzieś w Auschwitz albo w innych obozach śmierci. To inna psychologia. Tam zbrodnie były skierowane głównie „na zewnątrz”, podczas gdy zbrodnicze działania reżimu sowieckiego były realizowane nie tylko w podbitych krajach, lecz także w samym Związku Sowieckim. Oczywiście to nie oznacza, że przywódcy sowieccy nie byli przestępcami. Byli zbrodniarzami, ponieważ organizowali masowe zbrodnie. W tym względzie Związek Sowiecki niczym się nie różni od Niemiec nazistowskich. U nas dokonano tego, co możemy nazwać „ludobójstwem społecznym”.

Szukam jednak na zakończenie jakiegoś budzącego nadzieję przykładu. Mówiono mi, że pojawił się szeroki odzew na akcję społeczną „ostatni adres”. Czyj to pomysł?

To taka inicjatywa moskiewskich entuzjastów, którzy powielili przykład pochodzący z Berlina. Tam na ulicach i domach, z których wywieziono ludzi do obozów koncentracyjnych, Żydów zabranych na śmierć oraz wszystkich, których wysiedlono i już więcej nie wrócili – umieszczono tabliczki. Przestrzeń miejska otrzymuje znaki pamięci, które przypominają o osobach straconych i mają charakter edukacyjny, mówiący o tym, co się dzieje, jeśli w społeczeństwie łamane są normy i pojawia się bezprawie.

Tę ideę Memoriał także podtrzymał i rozwija ją. Wydaje mi się, że jest ważna. Mimo to spotyka się ze sprzeciwem. Niektórzy mówią: po co to wszystko wspominać? Podobnie jak wyczytywanie co roku w dniu pamięci represjonowanych za przekonania polityczne, w końcu października na pl. Łubianki, nazwisk ludzi, których odprawiono w niebyt, którzy myśleli, że nikt o nich już nie wspomni, ponieważ – jak mówiono – już nie są ludźmi. Ich imiona są znowu przywoływane i w tym jest głęboki, chrześcijański sens: współczucie, wspomnianie, współprzeżywanie i solidaryzowanie się z ofiarami. ■



Nikita Pietrow (ur. 1957) – historyk rosyjski, dr, wiceprzewodniczący Rady Centrum Naukowo-Informacyjnego i Edukacyjnego Stowarzyszenia „Memorial”. Autor książek: (z Aleksandrem Kokurinem) *Łubianka. Organy WChK-OGPU-NKWD-NKGB-MGB-KGB 1917–1991. Sprawozdanie* (2003); *Kto rządził organami Gosbezopasnosti 1941–1954 gg. Sprawozdanie* (2010); *Psy Stalina* (2012); *Iwan Sierow – stalinowski kat Polski* (2013); *Nowy ład Stalina. Sowietyzacja Europy 1945–1953* (2015) i in.



Henryk Głębocki (ur. 1967) – historyk, dr hab., pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego i Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie. Autor książek: *Fatalna sprawa. Kwestia polska w rosyjskiej myśli politycznej 1856–1866* (2000); *Policja tajna przy robocie. Z dziejów państwa policyjnego w PRL* (2005); *Kresy Imperium. Szkice i materiały do dziejów polityki Rosji wobec jej peryferii (XVIII–XXI wiek)* (2006) i in.

WOLNOŚĆ BOLSZEWICKA



Lew Trocki na polskim plakacie. Fot. Wikimedia Commons

Marek Klecel

„W Sieci Historii”

Ludobójstwo przed wojenną zagładą „Operacja polska” NKWD

W połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku rozpoczęły się deportacje ludności polskiej z terenów, które po traktacie ryskim z 1921 r. znalazły się w granicach Związku Sowieckiego. Wkrótce potem, w latach 1937–1938, nastąpiła „operacja polska”, nadzorowana przez władze NKWD, w której zamordowano za samo pochodzenie co najmniej 111 tys. Polaków, uznanych za szpiegów lub wrogów Związku Sowieckiego.

Zanim w 1939 r. Adolf Hitler rozpoczął wojnę, Józef Stalin zgładził już lub skazał na powolną eksterminację w łagrach kilka milionów własnych obywateli. Zanim w końcu 1938 r. w Niemczech nastąpił pogrom „kryształowej nocy”, w którym zginęło kilkuset Żydów (według oficjalnej wersji – ok. 90), Stalin unicestwił już setki tysięcy swoich obywateli, w tym wielu Żydów. Po Wielkim Głodzie na Ukrainie, który na początku lat trzydziestych pochłonął kilka milionów istnień ludzkich, nastąpił Wielki Terror czystek stalinowskich w latach 1937–1938, a wśród nich „operacja polska”. W czasach pokoju rozstrzelano w niej

ponad 111 tys. obywateli narodowości polskiej z ponad 200 tys. aresztowanych, którzy zamieszkiwali głównie tereny Ukrainy i Białorusi. Zbrodni dokonywano tylko z powodu ich polskiego pochodzenia. Wcześniej deportowano z tych terenów na Wschód ok. 70 tys. Polaków, przeważnie kobiet i dzieci, głównie do Kazachstanu, gdzie duża ich część zginęła.

„Najbardziej prześladowaną mniejszością w Europie w drugiej połowie lat 30. – napisał amerykański historyk Timothy Snyder w książce *Skrwawione ziemie* – nie było około czterystu tysięcy niemieckich Żydów (których liczba zmniejszyła się wskutek emigracji), lecz sześćsettyśięcna w przybliżeniu grupa sowieckich Polaków (których liczba spadła wskutek egzekucji). Stalin okazał się pionierem masowego mordu na podstawie kryteriów narodowych, a Polacy stali się najważniejszymi ofiarami wśród narodowości sowieckich”¹. To był początek eksterminacji Polaków w ZSRS, kontynuowanej po likwidacji państwa polskiego w 1939 r. w takich zbrodniach wojennych jak Katyń i w masowych deportacjach do łagrów i więzień – proces zakończony stopniową sowietyzacją Polski po zakończeniu wojny.

Dzierżyńszczyzna i Marchlewszczyzna

Sowiecka klęska pod Warszawą w 1920 r. i upadek ambitnego planu rozniecenia rewolucji komunistycznej w całej Europie. Konieczność rezygnacji z ideowego internacjonalizmu na rzecz mozolnej budowy „komunizmu w jednym kraju” – wszystko to nastawiało Sowietów wrogo do Polski i Polaków, których ponad 2 mln znalazło się po traktacie ryskim w 1921 r. w granicach ZSRS. Początkowo, gdy powstawały leninowskie zręby systemu sowieckiego, mniejszościom narodowym dano pewną swobodę, pozwolono na zachowanie języka, oświatę i edukację narodową. Dla Polaków, podobnie jak dla innych narodowości, zaczęto tworzyć okręgi autonomiczne, które miały skupiać daną ludność z większych obszarów ZSRS. Na Ukrainie i Białorusi powstały w ten sposób Dzierżyńszczyzna i Marchlewszczyzna – okręgi nazwane tak od nazwisk znanych przywódców komunistycznych. Wkrótce okazało się jednak, że chodziło o szybką i kontrolowaną sowietyzację innych narodowości, a także o gruntowną kolektywizację wsi. Gdy ludność polska okazała się oporna wobec tych zabiegów – albo masowo kolektywizowała się, by zarządzać się samdziel-

¹ T. Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, Warszawa 2011, s. 111.



Wsiewołod Balicki. Fot. Wikimedia Commons

nie, co też było podejrzane – wkrótce rozwiązano autonomiczne okręgi, a ich mieszkańców rozproszono, nastąpiły dalsze represje i deportacje na Wschód.

Wielki Głód na Ukrainie w latach 1932–1933 nie był klęską naturalną, lecz wynikiem rabunkowej gospodarki ZSRS, zorganizowanego zaboru wszystkich płodów rolnych, łącznie z zapasami do siewu na następny rok. W ciągu trzech lat doprowadzono do całkowitej ruiny ukraińską republikę mającą najżyźniejszą glebę i takiej klęski głodu, że dochodziło nawet do nierzadkich wypadków ludożerstwa. W utrwalającym się za Stalina sowieckim systemie policyjnym i ideologicznym klęska ta została wykorzystana

niejako podwójnie i w zaskakujący sposób. Posłużyła do eksterminacji opornego chłopstwa, „kułaków”, „wrogów klasowych”, duchownych, kontrrewolucjonistów i wszelkiego rodzaju – coraz mniej realnych, a coraz bardziej wymaginowanych – przeciwników, nazwanych zbiorczo „wrogami ludu”, do których można było z czasem zaliczyć każdego. Po eksterminacji Wielkiego Głodu Stalin, obawiając się zapewne reakcji i krytyki w kręgach partii, NKWD czy wojska, rozpoczął walkę z wszystkimi. Po zniszczeniu „wrogów klasowych”, czyli wymaginowanych już wtedy kontrrewolucjonistów, „szkodników” i „sabotażystów”, wziął się za mniejszości narodowe, w których widział zagrożenie spiskami i wpływami obcych państw. W końcu przystąpił do likwidacji potencjalnych konkurentów do władzy, których, jak się okazało, wcale nie było. Doprowadził do egzekucji, po procesach pokazowych, starych leninowskich bolszewików i czekistów Feliksa Dzierżyńskiego, najbliższych funkcjonariuszy partyjnych, służb NKWD i niemal całego przywództwa wojskowego. W latach 1937–1938 zginęło w ten sposób ponad 40 tys. współpracowników Stalina. Jak ktoś trafnie zauważył, nikt nie zlikwidował tyłu komunistów co Stalin.

Obłądny system stalinowski objawił się najwcześniej w „operacji polskiej” i aferze POW, czyli Polskiej Organizacji Wojskowej. Jeszcze w czasie Wielkiego Głodu w 1933 r. główny komisarz NKWD na Ukrainie Wsiewołod Balicki „odkrył”, że przyczyną klęsk i niepowodzeń młodego państwa sowieckiego jest działalność polskiej siatki szpiegowskiej, funkcjonującej na terenach Ukrainy w ramach Polskiej Organizacji Wojskowej.

Organizacja ta rzeczywiście istniała. Założona przez Józefa Piłsudskiego jeszcze w czasie I wojny światowej, wykazała się szczególnie w 1920 r., ale w następnym roku została rozwiązana. Na terenach sowieckiej Ukrainy rozbito POW, w czym brał udział Balicki. Nie przeszkodziło mu to w stworzeniu w latach trzydziestych teorii spiskowej o zagrożeniu polskim szpiegostwem i dalszym niebezpieczeństwie ze strony POW, choć doskonale wiedział, że takie zagrożenie nie istnieje, zwłaszcza po pakcie o nieagresji między Polską a ZSRS, zawartym w 1932 r.

Teoria spiskowa nie pozostała teorią, wprowadzono ją w czyn, a praktyka spiskowa okazała się z czasem nieobliczalna również dla jej autorów. Tymczasem komisarz Balicki, rozpracowując pozostałości po POW, „odkrył” rzekomo dalej działającą siatkę POW w Kijowie, skupioną wokół tamtejszego Polskiego Instytutu Pedagogicznego, Instytutu Kultury Polskiej, gazety „Sierp”. Tyle że tymi szpiegami, którzy organizowali polski spisek, mieli się okazać kapecownicy, należący niegdyś do Polskiej Partii Socjalistycznej i POW, ale w latach trzydziestych gorliwi działacze komunistyczni, członkowie ukraińskiej partii komunistycznej, Komsomołu, nierzadko emigrujący z Polski do „ojczyzny proletariatu”. W ten sposób aresztowano ponad 120 Polaków oskarżonych o szpiegostwo, wśród których znalazło się wielu oddanych Ukrainie komunistów, takich jak Bolesław Skarbak-Szacki, Henryk Politur-Radzikowki, Józef Teodor, Eugeniusz Ołdakowski, Jerzy Zadrużny-Fidyk, Leon Rozin vel Józef Koniecki, Wiktor Berman-Stasiak, Janusz Sosnowicz, Nikołaj Karski-Kulik, Oskar Berkowicz. Większość z nich została rozstrzelana w 1937 r., innych skazano na łagry.

Poczucie zagrożenia i okrażenia przez wrogów, szpiegomania, walka z wciąż nowymi przeciwnikami narastały stopniowo i opanowywały główne władze sowieckie w Moskwie. Trudno rozstrzygnąć, na ile poddawano się im, na ile były konstruowane i stymulowane w labiryntach tej władzy, zwłaszcza wśród jej najwyż-

szych czynników. Polski ślad szpiegowski dotknął tam najpierw również polskich komunistów, którzy w najlepszej wierze przybywali do Moskwy. Aresztowano ich w 1933 r. jako szpiegów POW. Jak wiadomo, życiem przypłacił nową wiarę poeta Witold Wandurski, na którym wymuszono przyznanie się do członkostwa w POW; później został zamordowany Bruno Jasiński. Znaczący komunista Tomasz Dąbał „przyznał się” w śledztwie do kierowania całą siatką szpiegową POW. Inny znany działacz KPP Jerzy Czeszejko-Sochacki wyskoczył przez okno moskiewskiego więzienia, pozostawiając list o treści: „Do końca pozostaję wierny partii”². Za nimi poszli Tadeusz Żarski, Julian Leszczyński-Leński, Witold Matyjewski, Edward Kranc-Zima. Stracono trzy czwarte Komitetu Centralnego KPP, a partię wkrótce rozwiązano jako niebezpieczną, bo zinfiltrowaną przez „polskich szpiegów”. Był to „polski” wstęp zarówno do „operacji polskiej”, jak i do czystki w szeregach bolszewickiej partii, NKWD i armii. Stopniowo rozszerzano kategorię tego przeciwnika, którego rewolucyjne państwo sowieckie wszędzie wietrzyło i zawsze ścigało: kontrrewolucjonisty, wroga klasowego, dywersanta, wykuwając w tej walce jeszcze szerszą kategorię „wroga ludu”, którym mógł być każdy bez względu na poglądy, przynależność czy pochodzenie, antykomunista, ale i komunista, zwykły obywatel, ale i wyższy funkcjonariusz. Działo się to jednak według pewnego klucza, hasła, dyrektywy sformułowanej na szczytach sowieckiej władzy, czyli na Kremlu. W ten sposób po walce z kontrrewolucją i „wrogami klasowymi” nastąpił etap walki z nacjonalizmem, bo tak można nazwać stopniową likwidację mniejszości narodowych, co najbardziej dotknęło wtedy około miliona Polaków zamieszkujących ZSRS.

„Zniszczyć Polaków”

Balicki, który przyczynił się do sfabrykowania mitu polskiej siatki szpiegowskiej, tak podstępnie działającej, że już mogącej opanować państwo radzieckie, wpadł we własną pułapkę. Nie przewidział, że sam uwikła się w sieć misternie utkaną z podejrzeń i donosów, z zeznań wymuszonych w śledztwach. Szef NKWD Nikołaj Jeżow wykorzystał jego spiskową inwencję, metodę i rezultaty i rozwinął ją jako teorię spisku ogólnosowieckiego, przedstawiając ją niezwłocznie

² *Ibidem...*, s. 112.

Stalinowi na początku 1937 r. Zarzucił zarazem Balickiemu nieudolność, skoro nie potrafił zlikwidować polskiego spisku. Ukraińiec Balicki został wkrótce oskarżony o szpiegostwo na rzecz Polski i stracony w listopadzie 1937 r., a z nim I sekretarz partii na Ukrainie Stanisław Kosior, Polak pochodzący z Podlasia. Podobny los spotkał następców Balickiego, Izraila Leplewskiego, Aleksandra Uspienskiego i Lwa Rejchmana, gdy wykonali już swe zadania. Na Białorusi komisarz NKWD Borys Berman przeprowadził jeszcze szerszą akcję, dokonując zarazem czystek partyjnych i likwidacji polskiej mniejszości, ścigając jednocześnie „polskich szpiegów” i „białoruskich faszystów narodowych”. W złowrogo później brzmiącej miejscowości Kuropaty k. Mińska pogrzebał, na długo przed wojną, tysiące Polaków, ale także Białorusinów i Żydów.

Obowiązywał już wtedy rozkaz numer 00485 Jeżowa z sierpnia 1937 r. o rozpoczęciu „operacji polskiej”, dotyczący „faszystowsko-powstańczej, szpiegowskiej, dywersyjnej, defetystycznej i terrorystycznej działalności polskiego wywiadu w ZSRS”. Był to przełomowy moment w polityce represyjnej ZSRS, bo złamano wówczas ideologiczne zasady internacjonalizmu, rozpoczynając eksterminację ludności ze względu na pochodzenie narodowe. Rozkaz obejmował nie tylko podejrzanych o wrogą działalność i przynależność do POW, „przede wszystkim jej dywersyjno-szpiegowskich i powstańczych kadr w przemyśle, transporcie, sowchozach i kołchozach”, lecz wszystkich Polaków w ZSRS, którzy nie byli żadnymi przestępcami. Temu rozkazowi podlegali bowiem „wszyscy pozostali w ZSRS jeńcy wojenni z Wojska Polskiego; zbiegowie z Polski, niezależnie od czasu ich przejścia do ZSRS; przybyli z Polski emigranci polityczni [...]”; byli członkowie PPS i innych



Izrail Leplewski. Fot. Wikimedia Commons

polskich antysowieckich partii politycznych; najaktywniejsza część lokalnego antysowieckiego elementu nacjonalistycznego z polskich rejonów narodowych”³. Aresztowaniom, które rozpoczęły się w połowie 1937 r., podlegali więc wszyscy Polacy bez względu na rolę i dotychczasowe zasługi w państwie sowieckim. Na początku było to pewne zaskoczenie nawet dla niektórych służb sowieckich. Kiedy jeden z naczelników NKWD w Moskwie „odczytał rozkaz o aresztowaniu polskich emigrantów politycznych, byłych jeńców wojennych, uciekinierów, członków Komunistycznej Partii Polski, wywołał zdziwienie u swych podwładnych. Czekistom wyjaśniono jednak, że rozporządzenie uzgodnione jest ze Stalinem i Biurem Politycznym i że »trzeba Polaków bić, ile wlezie«”⁴.

Operacja była prosta i szybka. Wyznaczono specjalne grupy, które miały „wykrywać Polaków”, czyli ścigać ich i wyłapywać głównie na Ukrainie i Białorusi, a także w wielkich miastach; powiadano, że głównie według nazwisk z książek telefonicznych. Aresztowanych dzielono na dwie kategorie, groźniejsza – „wszystkie szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry” – podlegała od razu rozstrzelaniu, druga, czyli pozostali, karze więzienia i łagru od pięciu do dziesięciu lat. Wyroki wydawały najpierw „trójki” złożone z miejscowego komisarza NKWD i prokuratorów, którzy sporządzali listy skazanych, zatwierdzane w Moskwie przez Jeżowa i prokuratora generalnego Andrieja Wyszynskiego. Później dla uproszczenia i przyspieszenia procedury wyroki wydawały już tylko lokalne „dwójki”: komisarz i prokurator bez żadnego śledztwa i sądów, na podstawie raportów i donosów.

„Operacja polska” zmierzała do eksterminacji całej mniejszości polskiej, do eliminacji wszystkich śladów polskości w ZSRS. Po aresztowaniu prawie 150 tys. Polaków rozpoczęto represje wobec ich rodzin, „wobec żon zdrajców ojczyzny, członków prawicowo-trockistowskich organizacji, skazanych przez sąd wojskowy i wojskowe trybunały”, jak podawano w uzupełnieniu rozkazu Jeżowa z jesieni 1937 r. Za urojone winy mężów żony i matki, a także starsze dzieci skazywano na łagry, młodsze dzieci odbierano rodzinom i wysyłano do specjalnych dziecięcych kolonii i domów dziecka. Skazywano nawet kobiety rozwiedzione,

³ *Wielki Terror. Operacja polska 1937–1938*, t. 1, Warszawa – Kijów 2010, s. 65.

⁴ *Ibidem*.

»Operacja polska« zmierzała do eksterminacji całej mniejszości polskiej, do eliminacji wszystkich śladów polskości w ZSRS.

konfiskowano majątki, odbierano mieszkania. Represyjne procedury zostały dopracowane w najdrobniejszych szczegółach: „W stosunku do każdej aresztowanej i każdego nie-

bezpiecznego społecznie dziecka od 15 roku życia wszczyna się postępowanie śledcze [...]. Żony zdrajców ojczyzny zostają skazane w zależności od tego, jak bardzo są społecznie niebezpieczne, na minimum 5–8 lat obozu. Niebezpieczne społecznie dzieci skazanych, w zależności od wieku, stopnia niebezpieczeństwa i możliwości poprawy, zostają uwięzione w obozach, koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie. [...] Oskarżone żony zdrajców ojczyzny, które nie zostały aresztowane z powodu choroby i chorych dzieci, po wyzdrowieniu należy aresztować i skierować do obozu. Żony zdrajców ojczyzny, które karmią piersią, po wydaniu wyroku należy bezzwłocznie aresztować i skierować do obozu. Tak też należy postępować z żonami, które są w podeszłym wieku”⁵.

W dokumentach z archiwów ukraińskich, wydanych niedawno przez IPN, znajdują się dziesiątki raportów o owych łapankach dokonywanych na Polaków, przyspieszonych śledztwach i mechanicznie ferowanych wyrokach śmierci lub łągru. Zarzut był jeden: przynależność do mitycznej POW. Trzeba podkreślić, że ściganie i aresztowanie Polaków było objęte swego rodzaju kontyngentem, wyznaczanym przez władze NKWD w Moskwie. Po prostu lokalni komisarze mieli dostarczyć określoną, rosnącą z czasem liczbę Polaków. Z rozkazu Jeżowa ścigano więc wszystkich, którzy nie tylko mienili się Polakami, mieli nawet dalsze polskie pochodzenie, lecz i tych, którzy stykali się z Polakami, byli bowiem automatycznie podejrzani o kontakty i konszachty z wrogim państwem i jego służbami, spotykali się urzędowo z zarzutami szpiegostwa, dywersji lub szkodnictwa.

Aresztowania objęły wszystkie środowiska, szczególną uwagę zwrócono na wielkie zakłady pracy i przemysł strategiczny, zbrojeniowy, metalowy, chemiczny, energetykę i transport; skrupulatnie kontrolowano węzły kolejowe, upatrując tam spisków polskich kolejarzy, którzy byli dość liczni. Objęto też aresztowaniami

⁵ *Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938*, oprac. T. Sommer, Warszawa 2010, s. 125–131.

wszelkie instytucje, w których pracowali Polacy, szkoły, redakcje, wszelkie kategorie ludzi. „Operacyjnie przygotowane uderzenie – zapowiadał raport Izraela Leplewskiego z Kijowa we wrześniu 1937 r. – skierowane jest przeciwko następującym grupom, na których przeciwnik opiera swoją działalność: emigranci polityczni, [ludzie] z wymiany [więźniów] politycznych, uciekinierzy, [osoby mające] kontakt z konsulatem, kręgi kościelno-klerykalne, byli legionści, jeńcy i dezertrzy z Wojska Polskiego, byli członkowie PPS, członkowie polskich organizacji nacjonalistycznych, wieloletni pracownicy polskich obszarników, Galicjanie, *razwieduprowcy*”⁶.

Wszyscy Polacy mieszkający w ZSRS tworzyli według wyobrażeń władz sowieckich gigantyczną sieć szpiegowską i dywersyjną, która oplotła państwo sowieckie, działając na rzecz wrogiej Polski, sięgała coraz wyższych instancji władz państwowych, przeniknęła do partii, służb NKWD, wojska, prowadziła dywersję w zakładach przemysłowych, przyczyniała się do złych wyników w gospodarce i rolnictwie, rozsiewała wrogą propagandę, dezinformację, plotkę. W śledztwach, jak pokazują dokumenty, większość Polaków przyznaje się do zarzucanej im działalności szpiegowskiej, do przynależności do POW, organizacji wykreowanej na użytek śledztw i procesów, o której wiadano doskonale, że nie istnieje. Świadczyło to tylko o jednym, że przyznanie się do winy było wymuszone lub fikcyjne. Z zachowanego dokumentu z przesłuchania lekarza więziennego z Żytomierza, Noama Mordaszenki, już po zakończeniu „operacji polskiej”, jasno wynika, że wiele zgonów więźniów było spowodowanych pobiciem w czasie śledztw. Z drugiej strony, odgórnie wyznaczane limity więźniów i skazanych skłaniały do fałszowania danych, a nawet biurokratycznego wydawania wyroków. „Kontrola przeprowadzona w UNKWD obwodu żytomierskiego wykazała m.in. skazywanie tych samych osób dwa razy, skazywanie osób już rozstrzelanych, liczne rozbieżności w nazwiskach, naruszanie procedur w pracach »trójki« oraz niezapoznanie się ze sprawami i bez takowego ferowanie najwyższych wyroków. Ponadto kontrola wykazała skierowanie osób na rozstrzelanie nawet bez formalnego zakończenia śledztwa oraz masowy charakter stosowania tortur podczas śledztw”⁷ – piszą historycy z IPN we wstępie do wydania dokumentów „operacji polskiej”.

⁶ *Wielki Terror. Operacja polska...*, s. 559. *Razwieduprowcy* – od *Razwiedyiwatielnoje upravle-nije* (Zarząd Wywiadu).

⁷ *Ibidem*, s. 87.

Sowieckie jądro ciemności

Jesienią 1937 r. Stalin podczas prywatnego bankietu wznosił toast: „Zniszczymy każdego, kto przez swe uczynki i myśli – tak, myśli – zagraża jedności socjalistycznego państwa. Za całkowite zniszczenie wszystkich wrogów, ich samych i ich krewnych!”⁸.

Zygmunt Dziewicki był Polakiem pochodzącym z Lublina. Mieszkał w Kijowie z żoną i córką, pracował jako robotnik w fabryce metalowej. Został posądzony o działalność szpiegowską, ponieważ kontaktował się z polskim konsulem w celu wyjazdu do krewnego w Warszawie. Z zachowanych akt tylko tyle wiadomo, że przyznał się do zarzucanych mu czynów, został skazany i rozstrzelany w październiku 1937 r. Wcześniej aresztowano jego żonę Aleksandrę, która nie była Polką, lecz Ukrainką. Zarzucono jej, że wiedziała o szpiegowskiej działalności męża i nie powiadomiła o tym odpowiednich władz. By ją złamać, powiedziano jej o egzekucji męża, gdy ten jeszcze żył. Przyznała się do niepopelnionych nigdy win i została rozstrzelana kilkanaście dni po mężu. Sprawa pozostała jednak niejasna, była zapewne bardziej skomplikowana niż podobne morderstwa państwowe ZSRS. Mąż zginął bowiem nie w ramach „operacji polskiej”, lecz „operacji niemieckiej”, która trwała równoległe, i to w sposób utajniony. Być może był wcześniej wykorzystywany do inwigilacji konsulatu polskiego i niemieckiego. Żona zaś zginęła w ramach „operacji polskiej”, choć była Ukrainką.

W śledztwach i w wydawaniu wyroków nie było żadnych stałych reguł. Wyroki śmierci wydawano zarówno na tych, którzy nie przyznali się do winy, jak i na tych, którzy się przyznali. Często skutki owych absurdalnych śledztw i wyroków trwały dziesiątki lat. Fenia Budnicka-Sosnowska, żona Józefa Sosnowskiego, Polaka z Kijowa, rozstrzelanego w listopadzie 1937 r. za antysowiecką propagandę, plotki i dowcipy, także antysemitki, choć była Żydówką, na kilka dni przed śmiercią męża została także aresztowana za „współudział” – w istocie za jego „winy”, na skutek donosów i wymuszanych zapewne zeznań, po tym, jak broniła męża. Jednym z zarzutów wobec niej było, że jest córką rabina, choć była córką szewca. Za „działalność kontrrewolucyjną” została skazana na dziesięć lat łagru. Przebywała w nim dwa razy tyle, ponad dwadzieścia lat. Od początku starała się o rehabilitację męża, przesłuchano ją już w czasie wojny w 1941 r. na skutek jej odwołań do władz wyższych, ale w rezultacie uznano ją za jeszcze bardziej winną i przedłużono wyrok.

⁸ H. Kuromiya, *Głosy straconych*, Warszawa 2008, s. 176.

Timofiej Kurowski, Polak z pochodzenia, pracujący w fabryce „Czerwony Październik” koło Kijowa, został aresztowany za kontrrewolucyjną agitację wśród pracowników. Według wezwanych świadków, miał się tak wypowiadać: „Rząd radziecki zaczął rozstrzeliwać własnych ludzi, wszystko im się pomieszało. [...] Oszukuje ludzi. Tam [w Polsce] ludzie żyją bardzo dobrze, nie ma nacisku na robotników. Polska to dobry kraj”⁹. To, że mówił prawdę – w tym czasie trwały procesy dowódców Armii Czerwonej, rozstrzelano Michaiła Tuchaczewskiego, Jonę Jakira i innych wysokich wojskowych – a także to, że przyznał się, nie zaprzeczał temu, co mu zarzucano, stało się przyczyną wyroku śmierci. Natomiast jego żona, również aresztowana (według zasady NKWD stosowania zbiorowej odpowiedzialności), która konsekwentnie zaprzeczała oskarżeniom, została zwolniona po roku śledztwa. Zapewne uratowała ją dodatkowa okoliczność – odsunięcie od władzy Jeżowa w 1938 r.

Sowiecki system polityczny opierał się na władzy policyjnej, tajnych służbach i sieci ich agenturalnych współpracowników, cywilnych informatorów. Werbowano ich często podstępnie, wykorzystując przewagę władzy. Była to w latach trzydziestych ogromna sieć. Historycy obliczają, że w NKWD pracowało wtedy 366 tys. tajnych funkcjonariuszy, jeden przypadał na 500 mieszkańców. Dla porównania, w gestapo pracowało ich w tym czasie 7,5 tys. (jeden na 10 tys. obywateli), czyli dwadzieścia razy mniej niż w ZSRS. Zasługi dla NKWD, współpraca z jego służbami nie zapewniały wcale bezpieczeństwa tajnym informatorom, jak można by się spodziewać. W czystkach lat trzydziestych stawiano ich w stan oskarżenia na równi z innymi, traktując ich jako podejrzanych agentów i oskarżając o szpiegostwo – skoro dostarczali informacji władzom sowieckim, mogli też donosić innym krajom. Takie podwójne uwikłanie pokazują niektóre zagmatwane śledztwa prowadzone przez NKWD.

Taki był przypadek Jadwigi Moszyńskiej, Polki zamieszkałej w Kijowie, która była pracownikiem gazety „Głos Radziecki”, polskojęzycznego organu KC Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy, gdzie była tłumaczem i redaktorem. Wcześniej ukończyła Polski Instytut Pedagogiczny (PIP), który uważano za ośrodek kierownictwa POW. Aresztowano ją w sierpniu 1937 r. z typowymi zarzutami najpierw antysowieckiej agitacji i działalności kontrrewolucyjnej na szkodę ZSRS, później szpiegostwa na rzecz „obcego kraju”, wreszcie przynależności do „polskiej organiza-

⁹ *Ibidem*, s. 185.

» **Nieważne, kto był komunistą,
kto faszystą – jeśli miał jakieś związki
z Polską, już wydał na siebie wyrok.** »

tłumaczenia rosyjskich tekstów w gazecie, by szkalować władze i państwo sowieckie, a przychylnie informować o Polsce. Później jednak śledztwo zmieniło obrót, pojawił się wątek wcześniejszej współpracy Moszyńskiej z NKWD. Zgodziła się na taką współpracę jeszcze w PIP, jednakże nie wywiązała się z umowy, nie przekazywała informacji i donosów na kolegów. I to stało się w śledztwie głównym oskarżeniem – zdrada wobec władz ZSRS: nie informowała o wrogiej działalności polskiej agencji w PIP i spisku organizowanym przez POW. Do tego dołączyły się podejrzenia z tytułu pochodzenia, nie tylko polskiego, ale „religianckiego”, była bowiem córką duchownego unickiego, a także mocne wtedy podejrzenia o antysemityzm, choć jej koleżanka Żydówka, powołana na świadka, informatorka NKWD, nie potwierdziła tych plotek. Pomimo to Moszyńską skazano na karę śmierci i rozstrzelano w wieku 26 lat w końcu 1937 r.

Podobny los spotkał Czesławę Angielczyk, choć była polską Żydówką, pochodzącą z Warszawy. W tym wypadku pochodzenie nie przeszkadzało w oskarżeniu jej o spiskowanie na rzecz Polski. Należała bowiem do tego samego kręgu PIP w Kijowie. Zarzucono jej więc typowe grzechy, jakie dotyczyły tamtejszego polskiego środowiska, uznanego już za agenturę POW ze Skarbkiem na czele. I ona wcześniej, podobnie jak Moszyńska, została zwerbowana przez NKWD przy kolejnych zmianach kadry w PIP od 1934 r. z zadaniem informowania o współpracownikach. I ona, jak Moszyńska, nie wywiązała się z zadania, więcej, niczym prowokatorka – według innych donosów – miała sama występować z krytyką ZSRS i pochwałą rządów w Polsce. Została skazana na śmierć i rozstrzelana we wrześniu 1939 r. Jednak jej śmierć nie wystarczyła. Służby NKWD po egzekucji zniszczyły całą jej korespondencję. Zapewne zacierano wszelkie ślady współpracy, całe świadectwo osoby najpierw wykorzystywanej, później prześladowanej, wreszcie zamordowanej.

Krucjata dziecięca i wyrok za nazwisko

Plaga polskiego spisku i kontrrewolucji mającej obalić system ZSRS zataczała coraz szersze kręgi. Z głównego ośrodka na Ukrainie, jakim był PIP w Kijowie, przeni-

cji faszystowskiej”, czyli POW. Wszystko to z powodu donosów współpracowników w redakcji, że celowo fałszowała

kały coraz dalej i promieniowały na cały kraj. W annałach NKWD ów podstępny proceder zyskał rangę żywiołu; od nazwiska Skarbka, przywódcy POW, nazwano go „skarbkowszczyzną”. Nieważne, kto był komunistą, kto faszystą – jeśli miał jakieś związki z Polską, już wydał na siebie wyrok.

Szczególnie groźni i liczni byli nauczyciele, oni to bowiem najsilniej rozsiewali „polską zarazę”. Emilia Jackiewicz, podobnie jak Czesława Angielczyk i wielu innych, była nauczycielką w polskiej szkole, wcześniej studiowała także w PIP, dopóki go nie rozwiązano. Jako osoba z podejrzanego kręgu spotkała się z rutynowymi już zarzutami, jak kontakty polskie, więc szpiegostwo, agitacja kontrrewolucyjna i faszystowska zarazem. Podczas śledztwa dowiedziała się, że należy do organizacji POW. To wystarczyłoby do wyroku śmierci. Ale dzięki gorliwemu świadectwu dyrektora szkoły wyszło także na jaw, że podczas jej lekcji dochodziło do niepokojących, a ukrywanych przez nauczycielkę incydentów. Oto uczniowie dopuszczali się nagannych, wręcz kontrrewolucyjnych czynów – niszczenia portretów przywódców komunistycznych, w szczególności przez zamazywanie im oczu i dorysowywanie swastyk. Jak się okazuje, była to dość powszechna plaga w szkołach sowieckich w latach trzydziestych, która nasiliła się po zabójstwie Siergieja Kirowa w roku 1934, dokonanym najpewniej na polecenie samego Stalina. Pojawiły się wtedy powiedzenia: „Kirow zabity, to za mało, powinien zginąć Stalin”, „Kirow zginął – zniesiono reglamentację; gdy zginie Stalin – ludzie zaczną żyć”. Rozszyfrowywano nazwę Związku Sowieckiego (ros. SSSR) jako „Śmiert´ Stalina spasiot Rossiju” – Śmierć Stalina zbawi Rosję¹⁰. Naum Korżawin wspominał, że jako uczeń w tym czasie wyrwał z gazety portret Kirowa i zaczął z nim biegać po szkolnym korytarzu, krzycząc: „Kirow, Kirow!”. Tylko tyle, lecz jakiś zaniepokojony nauczyciel natychmiast zatrzymał go i zabrał mu gazetę. Przestraszył się, że to może być nieobliczalna w skutkach demonstracja. Nauczycielka Jackiewicz nie informowała o incydencie, bo chciała ochronić swych uczniów, jednocześnie, jak donosił dyrektor, zdenerwowana wyzywała ich od trockistów.

Trockizm – to był jeden z najcięższych zarzutów, argument prawie zabójczy wobec przeciwników, ściślej, wobec potencjalnych konkurentów w ideologii komunistycznej. Lew Trocki był w tym czasie największym wrogiem Stalina, który nigdy nie przestał go ścigać. Nie przeszkadzało to Stalinowi posługiwać się jego ideą „rewolucji

¹⁰ *Ibidem*, s. 200.



Sowiecki plakat propagandowy przeciwko Polakom i „białym” Rosjanom. Fot. Wikimedia Commons

permanentnej”, nawet jeśli przyjęła ona charakter prawdziwej kontrrewolucji w latach trzydziestych, którą to właśnie zarzucał swym przeciwnikom. Tym większym absurdem moskiewskich czystek było ściganie wszystkich mających nazwisko Trocki, choć było wiadomo, że Trocki nazywał się naprawdę Bronstein. Ich wspólnym nieszczęściem było to, że nosili nazwisko, które nadał sobie Lew Dawidowicz Bronstein. Byli wśród nich Żydzi, na przykład Izaak Trocki z Odessy, historyk mieszkający w Leningradzie, skazany za terroryzm na dziesięć lat łagru, zginął w 1937 r. na Wyspach Sołowieckich. Byli Ukraińcy, jak Michaił Trocki z Nowgorodu, księgowy mieszkający w Leningradzie, rozstrzelany za terroryzm w końcu 1937 r. I byli Polacy, jak Franciszek Trocki z Berdyczowa, duchowny katolicki, aresztowany już w 1928 r. i skazany na dziesięć lat obozu za antysowiecką, antysemicką i propolską propagandę; w obozie dostał wyrok śmierci za spisek katolicki, lecz później wrócił do Polski w ramach wymiany więźniów politycznych. Nieznane są dalsze losy Beniamina Trockiego z Tweru, pochodzącego prawdopodobnie z rodziny duchownego unickiego, który został skazany w 1930 r. na dziesięć lat łagru.

Więcej natomiast wiadomo o Leonidzie Trockim, pochodzącym z Białegostoku, który przeżył obozy stalinowskie; nie ustalono dokładnie, kiedy został zwolniony, zapewne nie wcześniej jednak niż w latach sześćdziesiątych. Wiadomo tylko, że zmarł w 1988 r. w wieku 77 lat, nie doczekawszy rehabilitacji. Sprawa Leonida Trockiego objawia inne jeszcze strony obłądnego systemu sowieckiego, który w latach trzydziestych sterroryzował całkowicie, od góry do dołu, społeczeństwo rosyjskie. Kary głównej Trocki uniknął raczej przypadkowo, bo kończyła się już „operacja polska”, a jego śledztwo wciąż się przedłużało, komplikując coraz bardziej jego los. Wyrok został zmieniony, by tak rzec, z eksterminacji gwałtownej na eksterminację ekstensywną, rozłożoną w czasie, zapadł bowiem na całą przyszłość więźnia. Trocki latami prosił o łaskę, uniewinnienie, rehabilitację. Przeżył epokę Stalina, Chruszczowa, Breżniewa, doczekał Gorbaczowa. Wysyłał do niego listy, opisujące śledztwa i tortury, jakim go poddano, żądając „szalonych, niepojętych wyznań”. Podpisywał w czasie śledztw puste kartki, które można było zapełniać dowolnymi zeznaniami. Po torturach „płakał jak dziecko nie z fizycznego czy moralnego cierpienia, ale z poczucia moralnej dewastacji i niemożności udowodnienia własnej niewinności”. Rok przed śmiercią pisał do Gorbaczowa, że nie może dłużej czekać: „nie mam już zupełnie czasu, życie minęło...”. Nie doczekał, rehabilitacja nastąpiła dopiero dwa lata po jego śmierci, w 1990 r.

„Operacja polska – pisze Timothy Snyder – zapisała się pod pewnymi względami jako najkrwawszy rozdział wielkiego terroru w Związku Sowieckim. Nie była największa, ale ustępowała wielkością tylko tej skierowanej przeciwko kułakom”. Jak obliczają historycy, Polacy, stanowiący niewielką mniejszość, 0,4 proc. całej ludności ZSRS, byli narażeni czterdzieści razy częściej na śmierć niż inni obywatele sowieccy. Stanowili znaczną część prawie 700 tys. ofiar śmiertelnych Wielkiego Terroru lat 1937–1938. Dziś oblicza się, że było to o wiele więcej niż 111 tys. udokumentowanych egzekucji Polaków. ■



Marek Klecel (ur. 1945) – filolog, dr, redaktor „W Sieci Historii”, publicysta.

Redaktor antologii *Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts. Eine Anthologie* (1995).

Autor rozprawy doktorskiej *Pisarstwo Stanisława Vincenza (1888–1971)* (2004, niepubl.).

акз. № 7.

ОПЕРАТИВНЫЙ ПРИКАЗ

BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI
NR 7-8 (140-141), lipiec-sierpień 2017

НАРОДНОГО КОМИССАРА ВНУТРЕННИХ ДЕЛ СОЮЗА ССР

30-го июля 1937 г. № 00447.

гор. Москва.

OPERACJA (ANTY)POLSKA NKWD

Материалами следствия по делам антисоветских формирова-
ний устанавливается, что в деревне осело значительное коли-
чество бывших кулаков, ранее репрессированных, скрывшихся
от репрессий, бежавших из лагерей, ссылки и трудпоселков.
Осело много, в прошлом репрессированных церковников и сек-
тантов, бывших активных участников антисоветских вооружен-
ных выступлений. Остались почти нетронутыми в деревне зна-
чительные кадры антисоветских политических партий (эсеров,
грузинцев, дашнаков, муссавати-османов, ишакдистов и др.), а так-
же кадры бывших активных участников бандитских восстаний,
белых, карателей, репатриантов и т.п.

Marcin Majewski
IPN

„Operacja kułacka”

Tajny rozkaz NKWD nr 00447

W latach 1937–1938 terror w ZSRS osiągnął niespotykane dotąd rozmiary. Jak wyliczył francuski historyk i sowietolog Nicolas Werth, „w ciągu niespełna szesnastu miesięcy, od sierpnia 1937 do listopada 1938, po parodii procesów przed doraźnymi sądami skazano na śmierć i rozstrzelano 750 tys. sowieckich obywateli. Daje to prawie 50 tys. egzekucji miesięcznie, 1600 dziennie”. Badacze przedmiotu są zgodni, uznając za dwie najważniejsze operacje NKWD w latach 1937–1938 „operację polską”, która stanowiła swoisty wzorzec dla działań przeciwko mniejszościom narodowym, oraz „operację kułacką”, czyli wymordowanie ludzi uważanych za wrogów klasowych.

Eskalację masowych mordów „przeciwników władzy sowieckiej” zapoczątkowała decyzja kierownictwa partii komunistycznej z 2 lipca 1937 r. Na podstawie informacji zebranych przez terenowe oddziały NKWD założono, że z miejsc osadzenia zbiegło nawet 600 tys. represjonowanych kułaków. Przypomnijmy, że podczas tzw. kolektywizacji na początku lat trzydziestych XX w. pod hasłem „wyliminujemy kułaków jako klasę”, w sowieckich obozach koncentracyjnych uwięziono 300 tys. rosyjskich chłopów, a deportowano w odległe rejony Związku Sowieckiego 2,2 mln. Dysponując informacjami tajnej policji politycznej, Józef Stalin podjął decyzję o ostatecznym rozprawieniu się z kułakami i innymi osobami uznawanymi za przeciwników władzy sowieckiej. Aresztowanych zalecano podzielić na dwie kategorie: pierwszą, podlegającą rozstrzelaniu, i drugą, podlegającą uwięzieniu. Następnie szef NKWD Nikołaj Jeżow rozesłał do obwodów wytyczne z nakazem nadsyłania danych. Dokonano przeglądu ewidencji obserwowanych ludzi i wytypowano tzw. limity dla pierwszej oraz drugiej kategorii.

Kilka dni później, 30 lipca 1937 r., Jeżow wydał rozkaz nr 00447. Wymieniał w nim następujące grupy, które miały podlegać represjom:

– tzw. kułacy (zamożniejsi chłopci), którzy powrócili do swoich miejscowości po odbyciu kary (deportowani w ramach „operacji rozkułaczania” na początku lat trzydziestych), zbiegli z miejsc przymusowego osiedlenia, łagrów lub ukryli się przed „rozkułaczeniem”, a także uczestniczyli w buntach i powstaniach antysowieckich;

– członkowie antysowieckich partii politycznych (jak np. Partia Socjalistów-Rewolucjonistów – PSR, Ittihad-islam, Musawat, Armeńska Federacja Rewolucyjna), żołnierze antysowieckich oddziałów rosyjskich (tzw. biali), funkcjonariusze



Nikołaj Jeżow. Fot. Wikimedia Commons

wistów kryminalnych (czyli osoby np. już skazane, także za przestępstwa polityczne) i osoby z powyższych kontyngentów, które w momencie wydania rozkazu znajdowały się w łagrach czy więzieniach.

Rozpoczęta, w zależności od regionu ZSRS, między 5 a 15 sierpnia 1937 r. „operacja kułacka” pierwotnie miała trwać jedynie cztery miesiące. Przerwano ją jednak dopiero... 17 listopada 1938 r. Główną rolę w jej przygotowaniu i zaplanowaniu oraz kierowaniu jej przebiegiem odegrał Michaił Frinowski, od kwietnia 1937 r. zastępca Jeżowa. Frinowski „wsławił się” likwidacją partyzantki anarchisty Nestora Machno, gen. Jurija Tiutiunnyka i atamanów „Chołodnego Jaru” na Ukrainie. Bezwzględny, szybko piął się po szczeblach kariery – w 1933 r. znalazł się w moskiewskiej centrali. Zdobył zaufanie Jeżowa, ale wkrótce stał się ofiarą

carskiej policji politycznej (ochrony), urzędnicy carscy, policjanci i żołnierze formacji asystencyjnych (pacyfikacyjnych), osoby, które nielegalnie przekroczyły granicę, repatrianci, zbiegowie z więzień i osoby, które uniknęły represji;

– członkowie białogwardyjskich organizacji kozackich, tzw. powstańczych, a także szpiegowsko-dywersyjnych;

– aktywni przeciwnicy władzy spośród „kułaków”, białych, cerkowników (duchownych i wierzących wszystkich wyznań i wspólnot religijnych) oraz sekciarzy;

– różne grupy recydy-

rozgrywki między Ławrientijem Berią – nowym zastępcą ludowego komisarza spraw wewnętrznych – a Jeżowem. Z tej potyczki, dzięki poparciu Stalina, Beria wyszedł zwycięsko. Niebawem, we wrześniu 1938 r., Frinowski został odsunięty od prowadzenia operacji, a wiosną następnego roku trafił za kraty. Tak z oprawcy stał się ofiarą, zdaną na łaskę i niełaskę niedawnych podwładnych.

Katalog wrogów

Akcją represjonowania objęto tzw. *bywszych*, a więc osoby reprezentujące dawny system Rosji imperialnej (byli urzędnicy, byli policjanci itd.), przeciwko któremu walkę prowadzili bolszewicy, ale także osoby reprezentujące system Rosji po rewolucji lutowej 1917 r. Dla sowieckiego dyktatora Stalina oraz Biura Politycznego partii komunistycznej całkowite wyeliminowanie przeciwników politycznych oraz przedstawicieli klasy tzw. posiadaczy i obszarników stało się obsesją i absolutnym priorytetem. Do przeciwników władzy zaliczono duchowieństwo, bogatych i średniozamożnych chłopów, aparat administracyjny carskiej Rosji, w tym policyjny, oraz partie polityczne aktywne w tamtym systemie. Ze szczególną nienawiścią, jak do nieprzejednanego wroga, władze bolszewickie odnosiły się do duchownych oraz eserów, czyli członków PSR. Ci byli bezwzględnie tępieni.



Michaił Frinowski. Fot. Wikimedia Commons

Dlaczego przedstawiciele partii socjalistycznej, aktywni zarówno podczas rewolucji lutowej, jak i październikowej 1917 r., zostali tak znienawidzeni przez kierownictwo partii komunistycznej? Program Partii Socjalistów-Rewolucjonistów przewidywał przekształcenie Rosji w republikę demokratyczną z szeroką autonomią dla niektórych obwodów, a nawet pewną formą federacji. Ideolodzy PSR opowiadali się za socjalizacją ziemi (przekazaniem wspólnotom wiejskim), oponując wobec pomysłów nacjonalizacji ziemi, a więc programu bolszewików. Partia domagała się przeprowadzenia szerokiej reformy rolnej, przez m.in. konfiskatę ziemi wielkich właścicieli. PSR była największą siłą polityczną Rosji po rewolucji lutowej 1917 r. Liczyła około miliona członków, a jej przedstawiciele – Aleksander Kiereński i wiceminister wojny Borys Sawinkow – weszli do Rządu Tymczasowego. Tak



Aleksander Kiereński. Fot. Wikimedia Commons

zwana prawica PSR była bezwzględnie zwalczana przez bolszewików po obaleniu przez nich premiera Kiereńskiego 7 listopada 1917 r. Wykluczona przez Komitet Centralny PSR z szeregów tzw. lewica PSR początkowo wspierała bolszewików, ale potem także przeszła do opozycji, próbując wzniecić bunt antybolszewicki, a także organizując zamach na Włodzimierza Lenina. Po klęsce w wojnie domowej, podczas której eserzy wspierali wojska białych przeciwko bolszewikom, pod naciskiem policji politycznej człon-

kowe PSR rozwiążali w 1923 r. swoje struktury. Wydarzenie to poprzedził specjalnie przygotowany moskiewski proces „prawicy eserów” (lato 1922 r.), do złudzenia przypominający proces PPS-WRN z 1947 r. Gwoździem do trumny PSR było podstępne zwabienie do bolszewickiej Rosji jednego z przywódców emigracji – Sawinkowa. Stracono go po procesie. Stalinowi to jednak nie wystarczyło. Uwięziono (a w 1941 r. rozstrzelano) czołową działaczkę lewicy PSR Marię Spiridonową, ikonę rewolucji październikowej. W drugiej połowie lat trzydziestych XX w. przyszła kolej na wszystkich po-



Borys Sawinkow. Fot. Wikimedia Commons

zostałych przy życiu eserów, także tych, którzy przeszli do partii komunistycznej.



Oprócz socjalistów, Stalin uderzył najsilniej w duchowieństwo chrześcijańskie, ale także niechrześcijańskie. Dla przykładu Cerkiew prawosławna została zdziesiątkowana – represjonowano 35 tys. duchownych.

Przekroczone limity

Od samego początku w przypadku „operacji kułackiej” mamy do czynienia ze wspomnianymi limitami, czyli wyznaczonymi odgórnie w Moskwie liczbami osób do rozstrzelania i uwięzienia. Jeśli lokalne organy bezpieczeństwa chciały je przekroczyć, musiały zwrócić się do centrali z prośbą o zgodę. Co najmniej dwukrotnie na prośbę regionalnych instytucji Moskwa zwiększała limity – w październiku 1937 i w styczniu 1938 r. Dochodziło także do sytuacji, kiedy lokalne zarządy NKWD samowolnie zwiększały limity. Do takiego przypadku miało dojść

m.in. w Turkmenistanie (przypomnijmy, że w operacjach narodowościowych limitów nie było). Największe limity przygotowano dla obwodu moskiewskiego i Moskwy: 35 tys., z czego 5 tys. do rozstrzelania, a następnie dla Ukraińskiej SRS: prawie 29 tys., z czego 8 tys. do rozstrzelania. Według Wertha zaplanowano represjonowanie 269 tys. obywateli Kraju Rad, z tego 76 tys. osób miało zostać zamordowanych. Limity zostały jednak zwiększone, w efekcie czego zginęło 387 tys. z ogólnej liczby 767 tys. represjonowanych. Ponad 50 proc. skazanych zostało zamordowanych i zagrzebanych przez grupy operacyjne NKWD w specjalnie do tego przygotowanych miejscach, na ogół poza miastami, w parkach, lasach i na poligonach.

Jeśli procesy czołowych działaczy bolszewickich były nagłaśniane jako swoisty spektakl dla społeczeństwa i zagranicznych korespondentów, to działania „trójek” w ramach rozkazu 00447 były objęte najściślejszą tajemnicą. Według wspomnianego Wertha, w całym ZSRS wiedzę o operacji miało nieco ponad stu działaczy partyjnych i funkcjonariuszy. Sprawy były rozpatrywane przez specjalnie powołane do tego celu organy pozasądowe. Zgodnie z poleceniem Stalina, aresztowanych w ramach rozkazu 00447 skazywano w trybie posiedzeń „trójek” NKWD. W ich skład wchodził: ludowy komisarz spraw wewnętrznych (lub zastępca) jako przewodniczący, prokurator i przedstawiciel kierownictwa partii

 **Oskarżanego skazywano**
in absentia bez udziału obrońcy.
Tempo pracy było tak błyskawiczne,
że nie było czasu na czytanie akt.
Po prostu podpisywano wyrok. 

(I sekretarz) jako członkowie. Nie wszystkie „trójki” miały taki skład – w niektórych nie było prokuratorów, w niektórych przedstawiciela partii. Nie wszystkie funkcjonowały w pierwotnym składzie przez cały okres Wielkiego Terroru.

Na przykład w Moskwie „trójką” początkowo kierował naczelnik zarządu NKWD obwodu moskiewskiego Stanisław Redens – Polak urodzony w Tykocinie. Ale później i on został zgładzony. Nie pomogło mu nawet to, że jego żona i małżonka Stalina były siostrami. Co ciekawe, skład moskiewskiej „trójki” zaproponował Stalinowi szef komitetu miejskiego partii Nikita Chruszczow. On sam także wchodził w skład moskiewskiej „trójki” w 1937 r. Po śmierci Stalina stał się pierwszym krytykiem jego kultu, ujawniając, jak mordował on bolszewików w latach 1937–1938. Chruszczow dysponował w tym względzie

» **Niejednokrotnie potwierdzenie rozstrzelania męża, ojca czy matki bliscy uzyskiwali dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych.** »

pełną wiedzą, bo sam podpisywał wyroki śmierci.

Obecność całej „trójki” w czasie posiedzeń była często fikcją.

Te odbywały się w ścisłej tajem-

nicy w gmachach NKWD i można założyć, że niejednokrotnie w ich przebiegu uczestniczył jedynie reprezentant NKWD i sekretarz pochodzący z NKWD, który następnie biegł uzyskać podpisy w Komitecie partii czy też w prokuraturze. Oskarżanego skazywano *in absentia* bez udziału obrońcy. Tempo pracy było tak błyskawiczne, że w rzeczywistości nie było czasu na czytanie akt. Po prostu podpisywano wyrok. Po jego zatwierdzeniu „trójka” przekazywała protokół posiedzenia z wyrokami do kierownika grupy operacyjnej NKWD, który następnie wykonywał je, „obowiązkowo zachowując ścisłą tajemnicę miejsca i czasu wykonania wyroku”. Mordowano przeważnie w kazamatkach NKWD, a ciała grzebano w tzw. strefach specjalnych, m.in. na poligonie butowskim pod Moskwą, w podkijowskiej Bykowni, Parku Miejskim w Winnicy czy też w liniiach pod Żytomierzem. Wiele miejsc pochówków trwale zniszczono, urządzając tam wysypiska śmieci. Część ciał ofiar palono w krematorium cmentarza Dońskiego w Moskwie. Obsesja zachowania tajemnicy spowodowała, że ani skazani, ani ich rodziny nie byli informowani o zasądzonej karze śmierci. Niektórym udzielano kłamliwej odpowiedzi, że aresztowany został skazany na dziesięć lat bez prawa do korespondencji. Niejednokrotnie potwierdzenie rozstrzelania męża, ojca czy matki bliscy uzyskiwali w drugiej połowie lat pięćdziesiątych.

„Operacja kułacka” dosięgła przedstawicieli wielu narodów zamieszkałych w ZSRS, w tym także Polaków. Niedawno opublikowane dokumenty wskazują, że np. w Gruzjińskiej SRS więcej Polaków zostało zamordowanych w „operacji kułackiej” niż w „polskiej”. Polacy byli skazywani na śmierć lub łagry za tzw. szepitaną propagandę – szkalowanie ZSRS i jego przywódców, podtrzymywanie wiary katolickiej (np. uczęszczanie do kościoła) czy – też nierzadko – po donosie sąsiada.

W wyniku trwającej ponad piętnaście miesięcy operacji skazano blisko 800 tys. osób, w tym ponad 380 tys. na karę śmierci i drugie tyle na karę wieloletniego więzienia lub obozu pracy. Pamiętajmy, że większość skazanych na łagry już z nich nie powróciła. Trzeba także pamiętać, że w ramach „operacji kułackiej”

zamordowano do 30 tys. więźniów i łagierników – zatwardziały przeciwników władzy sowieckiej – odsiadujących kary w obozach koncentracyjnych podległych GUŁagowi. Złamano odwieczną zasadę prawa rzymskiego – osoby skazane otrzymały ponowne wyroki za przestępstwa, za które już kiedyś je osądzono.

„Operacja kułacka” była jedną z kilku, a nawet kilkunastu prowadzonych w latach 1937–1938 przez NKWD, ale niewątpliwie jedną z najkrwawszych. Stalin rozprawił się w niej z dawną Rosją, tą sprzed bolszewickiego przewrotu. ■

BIBLIOGRAFIA

- Bolszewistskij poriadok w Gruzii*, red. M. Junge, B. Bonwicz, t. 1: *Bolszoj tierror w maleńkoj kawkazskoj riespublikie*, t. 2: *Dokumenty i statistika*, Moskwa 2015.
- Junge M., Binner R., *Kak tierror stal bolszim. Siekrietnyj prikaz nr 00447 i tiechnologija jego ispońnienija*, Moskwa 2003.
- Junge M., Bordiugow G., Binner R., *Wiertikal bolszogo tierrora. Istorija operacyi po prikazu NKWD nr 00447*, Moskwa 2008.
- Werth N., *Les Procès de Moscou (1936–1938)*, Bruxelles 2006.
- Werth N., *Państwo przeciw społeczeństwu. Przemoc, represje i terror w Związku Sowieckim*, [w:] *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, Warszawa 1999.
- Werth N., *Przemysław na nowo lata Wielkiego Terroru*, [w:] T. Kizny, D. Roynette, *Wielki Terror 1937–1938*, Warszawa 2013.
- Werth N., *The NKVD Mass Secret Operation n° 00447 (August 1937 – November 1938)*, <http://www.sciencespo.fr/mass-violence-war-massacre-resistance/en/document/nkvd-mass-secret-operation-n-00447-august-1937-november-1938> [dostęp: 22 VI 2017 r.].
- Wetykyj teror w Ukrajini. „Kurkulska operacija” 1937–1938 rr.*, cz. 1–2, red. M. Junge, S. Kokin, Kyjiw 2010.
- Wielki Terror w sowieckiej Gruzji 1937–1938. Represje wobec Polaków*, Warszawa – Tbilisi 2016.



Marcin Majewski (ur. 1974) – politolog i historyk, dr, redaktor naukowy serii *Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX w. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych*, członek grup roboczych polsko-gruzińskiej, polsko-litewskiej, polsko-rumuńskiej i polsko-ukraińskiej. Autor książki *Kresowa Brygada Kawalerii w kampanii 1939 roku* (2011) i in.



Zlikwidujemy kufaków jako klasę – plakat sowiecki z 1930 r. Fot. Wikimedia Commons



Jurij Szapował

Narodowa Akademia Nauk Ukrainy

System więziennie-łagrowy w czasie Wielkiego Terroru

W latach trzydziestych XX w. sowiecki reżim komunistyczny rozbudował do monstualnych rozmiarów system obozów i więzień, planując przeprowadzenie na ogromną skalę akcji terrorystycznej w celu ostatecznego wyeliminowania domniemych wrogów.

Nikołaj Jeżow stanął na czele NKWD ZSRS we wrześniu 1936 r. Swoje boje-
we nastawienie zademonstrował w roku następnym podczas lutowo-marco-
wego plenum Komitetu Centralnego Wszechwzwiązkowej Komunistycznej
Partii (bolszewików). Powiedział wówczas: „Powiniem rzec, że nie spotkałem
się [...] z żadnym faktem, aby ktokolwiek z własnej inicjatywy zadzwonił do nas

i powiedział: »Towarzyszu Jeżow, jakiś podejrzany jest ten człowiek, jest w nim coś złego, zajmijcie się nim«. Nie znam takiego faktu... Kiedy pytasz o aresztowania, ludzie wręcz przeciwnie, bronią tych ludzi... Odpowiadam im wówczas: dziękujcie nędzniczy, że zabieramy tego człowieka, dziękujcie, że zabieramy szkodnika».

Jeżow ostro skrytykował „biurokratyczne” podejście w działaniach kierownictw przedsiębiorstw i instytucji państwowych, co, według niego, utrudniało wykrywanie „szkodników” i „szpiegów”. Stało się jasne, że fala krwawych czystek i dekonspiracji nie ominie nikogo.

Jeszcze jeden istotny szczegół: Jeżow podczas wystąpienia na plenum wyznał, że czekał na zajmowanie się fałszowaniem i fabrykowaniem spraw: „Powiniennem otwarcie powiedzieć, że istniała taka praktyka: zanim oskarżony otrzymał protokół do podpisu, najpierw dokument trafiał do śledczego, który następnie przekazywał go wyżej, a ważne protokoły trafiały nawet do komisarza ludowego. Komisarz wprowadzał uwagi, mówił, co należy zapisać tak, a nie tak, a następnie oskarżony dostawał protokół do podpisania”. Rzecz jasna, Jeżow krytykował tę praktykę, chociaż, jak świadczą fakty, była ona za czasów „jeżowszczyzny” czymś powszechnym.

W rezolucji uchwalonej na plenum w związku z referatem Jeżowa sformułowano zadanie „czyszczenia” i systematycznego wzmacniania organów NKWD przez zasilanie ich „najlepszymi i sprawdzonymi kadrami pracowników partyjnych”. W dokumencie znalazły się założenia, które miały zasadnicze znaczenie dla dalszego losu wielu więźniów politycznych Związku Sowieckiego. W rezolucji była mowa m.in. o tym, że: „Jeszcze bardziej nieznośny jest ustanowiony przez Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRS regulamin więzienny w stosunku do oskarżonych, najbardziej zapiekłych wrogów władzy sowieckiej – trockistów, popleczników [Grigorija] Zinowiewa, »prawicowych« eserowców. Wszyscy ci wrogowie narodu, z zasady, byli kierowani do tzw. politizolatorów, które podlegały Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych ZSRS. Panowały tam nieźle warunki, a miejsca te bardziej przypominały ośrodki przymusowego odpoczynku niż więzienia”.

Zaostrzony rygor

W ZSRS funkcjonował specjalny regulamin odbywania kary, któremu podlegali więźniowie polityczni. Został on zlikwidowany w 1930 r. (Sołowki były wyjątkiem,



Klimient Woroszyłow, Wiaczesław Mołotow, Józef Stalin i Nikołaj Jeżow. Fot. Wikimedia Commons

tutaj wciąż obowiązywał regulamin polityczny). Odtąd tego rodzaju więźniów uznawano za skazanych za przestępstwa „kontrewolucyjne”. Lecz Jeżow uznał, że to za mało. Zdecydował się zrobić kolejny krok na drodze zaostrzania rygorów, co dla wielu więźniów będzie oznaczało wyrok śmierci. To właśnie w 1937 r. w Związku Sowieckim wrócono do starej nazwy „więzienie”, która zastąpiła dotychczasową nazwę „izolator” (izolatory specjalnego przeznaczenia, które funkcjonowały od roku 1930 do 1937, zostały przemianowane na więzienia specjalnego przeznaczenia).

15 marca 1937 r. ukazał się rozkaz Jeżowa nr 00112 o więzieniach Zarządu Głównego Bezpieczeństwa Państwowego (Głównoje uprawnienije gosudarstwiennoj biezopasnosti – GUGB), które były tworzone przy NKWD ZSRS i rządach NKWD poszczególnych republik, krajów i obwodów. Aresztowani mieli być przetrzymywani w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego oraz od więźniów zamkniętych w innych celach. Wprowadzono też zakaz wykorzystywania aresztowanych do jakichkolwiek prac zarówno na terenie więzienia, jak również poza nim.



To samo zdjęcie, ale już bez Jeżowa, który pod koniec 1938 r. popadł w niełaskę. Fot. Wikimedia Commons

Jeżow wielką wagę przykładał do udoskonalenia struktur NKWD i podległych mu wydziałów, zwłaszcza tych, które zajmowały się działalnością gospodarczą. Oto kilka przykładów dotyczących roku 1937: „W celu uporządkowania kwestii planowania budownictwa ogólnego i rolnictwa Głównych Zarządów NKWD”, na mocy rozkazu nr 027 z 19 marca 1937 r., w łonie NKWD ZSRS powołano „Planowy wydział produkcji, budownictwa ogólnego, bilansów materiałowych i sporządzania planowych zestawień”. W skład biura wchodziło pięć oddziałów: planowania produkcji przemysłowej i rolniczej; planowania budownictwa ogólnego; bilansów materiałowych; zestawień i planów perspektywicznych; sekretariat. Stworzenie wydziału planowania budownictwa ogólnego powierzono zastępcy komisarza ludowego spraw wewnętrznych ZSRS Matwiejowi Bermanowi.

Rozkaz nr 036 z 15 kwietnia 1937 r. podporządkowywał straż pożarną bezpośrednio naczelnikom obozów pracy i obozów poprawczych oraz naczelnikom wydziałów miejsc uwięzienia. 26 kwietnia 1937 r. ukazał się rozkaz nr 041

„O przesyłaniu wartościowych rzeczy i pieniędzy należących do więźniów i osób znajdujących się pod śledztwem w więzieniach GUGB”. Teraz wszystkie rzeczy należące do tej kategorii oskarżonych były wysyłane wraz z nimi i konwojowane, a pieniądze i rzeczy wartościowe były wysyłane systemem pocztowym NKWD bezpłatnie, jako przesyłki wartościowe.

16 lipca 1937 r. pojawił się podpisany przez zastępcę Jeżowa, Michaiła Frinowskiego, cyrkularz nr 51 o konfiskowaniu książeczek pracowniczych osobom, które przed uwięzieniem pobierały świadczenie emerytalne. Chodziło o to, że więźniowie emeryci lub ci, którzy pobierali emerytury za wysługę lat, przekazywali upoważnienia lub oddawali swoje książeczki rodzinom. Zatem bliscy takich więźniów przez jakiś czas mogli dostawać indywidualne czy akademickie emerytury. Od lipca 1937 r. naczelnicy organów NKWD osobiście odpowiadali za konfiskatę książeczek podczas aresztowania.

W związku z naruszaniem przez obozy i miejsca odosobnienia przepisów meldunkowych Frinowski podpisał 11 sierpnia 1937 r. rozkaz nr 047. Wspomniano w nim również o innych dokumentach, m.in. o okólniku OGPU nr 124 z 19 grudnia 1933 r., rozkazie NKWD nr 143 z 29 maja 1935 r. i rozkazie NKWD nr 00234 z 20 czerwca 1935 r. Na mocy tych dokumentów, a także w świetle uchwały Rady Komisarzy Ludowych ZSRS, w wyjątkowych przypadkach dawano zgodę na zamieszkanie w „rejonach i miastach objętych ograniczeniami” jedynie tym więźniom, którzy byli przodownikami pracy i „praktycznie udowodnili, że zerwali z przestępczą przeszłością”. W rozkazie podano przykłady złamania ustanowionych praw i sformułowano żądanie, aby wprowadzić taki porządek, dzięki któremu „żaden były więzień po zwolnieniu nie zostanie odesłany do miasta czy rejonu objętego ograniczeniami, gdzie wskutek charakteru jego przestępstwa mieszkać nie może”.

Więźniowie do pracy

Od wiosny 1937 r. w sowieckich obozach znalazło się 700–800 tys. osób. Należało natychmiast znaleźć sposób na znalezienie zajęcia dla tak ogromnej liczby więźniów. Nie mogli oni przecież bezczynnie trwać w zawieszeniu. I wyjście zostało znalezione. Po pierwsze, wiele obozów rozbudowano, powstawały wręcz obozy-monstra. Po drugie, zdecydowano o zwiększeniu nakładów na gospodarkę leśną. Uznano bowiem, że do prac leśnych nie są potrzebni pracownicy o wysokich

kwalifikacjach i jednocześnie można do takich robót zaangażować znaczną część więźniów. 16 sierpnia 1937 r. ukazał się rozkaz nr 078 o stworzeniu nowych obozów leśnych: Tajszeckiego, Tomsko-Asińskiego, Kułojskiego, Ust-Wymskiego, Iwdielskiego, Kargopolskiego, Łokczimskiego. Dotychczasową Sekcję Leśną GUŁagu przekształcono w Wydział Leśny. Naczelnik GUŁagu został zobowiązany do zorganizowania prac przygotowawczych, tak aby do 1 października 1937 r. każdy z obozów mógł przyjąć nie mniej niż 5 tys. więźniów. W rozkazie podkreślono także: „Prace czwartego kwartału 1937 r. należy zorganizować tak, aby do 1 stycznia 1938 r. każdy obóz mógł przyjąć nie mniej niż 15 tys. więźniów, przy uwzględnieniu faktu, że na początku roku 1938 obozy mają rozpocząć główne prace leśne”.

Zgodnie ze starą praktyką autorzy tych innowacji nie zapomnieli również o wykorzystaniu pracy więźniów przy opóźnionych budowach, które – jak to wówczas określano – znajdowały się nad „przepaścią”. Dlatego 27 sierpnia 1937 r. został wydany rozkaz nr 091, z zamiarem udzielenia „pomocy przy budowie kombinatu niklowego w Monczy-Tundrze”. Jeżow rozkazał stworzenie tam oddziału Biełbałtągu (Białomorsko-Bałtycki Poprawczy Obóz Pracy) NKWD „z doprowadzeniem liczby więźniów do 5 tys. osób”.

29 sierpnia 1937 r., czyli już po oficjalnym rozpoczęciu masowych operacji narodowościowych, zastępca Jeżowa, dowódca dywizji Wasilij Czernyszow, podpisał rozkaz, który kolejny raz pokazywał, że machina represji zaczęła pracować pełną parą. Rozkaz dotyczył przejmowania aresztowanych od milicji kolejowej do aresztów tymczasowych milicji i do więzień. Areszty tymczasowe istniejące w oddziałach i punktach operacyjnych milicji kolejowej okazały się za małe, a w wielu miejscach wcale ich nie było. Z tego powodu szefowie milicji (Zarządu Milicji Robotniczo-Chłopskiej) krajów, obwodów i republik autonomicznych zobowiązali się do stworzenia warunków, aby aresztowani bez przeszkód mogli być przekazywani przez milicję kolejową do aresztów tymczasowych milicji wszędzie tam, gdzie nie było samodzielnych aresztów tymczasowych, lub tam, gdzie były one za małe.

13 października 1937 r. pojawił się rozkaz nr 0122 podpisany przez zastępcę Jeżowa, starszego majora bezpieczeństwa państwowego Michaiła Ryzowa, przygotowany w związku z organizowaniem wielu nowych poprawczych obozów pracy NKWD i koniecznością „ustalenia ograniczeń przy kierowaniu szczególnie niebezpiecznych przestępców do poszczególnych poprawczych obozów pracy NKWD”.

Ta regulacja była niezwykle charakterystyczna. Na przykład osobami, które nie kwalifikowały się do osadzenia w obozach: Bamłag, Dmitłag, Dalłag, Wiazimłag, Kaługłag, Wołgołag, Samarłag NKWD czy w innych obiektach budowlanych, byli więźniowie z wyrokami za zdradę ojczyzny, terror, szpiegostwo, dywersję, za bandytyzm i rozbój z bronią w rękę, za „działalność trockistowsko-zinowiewowsko-bucharinowską (trockiści, zinowiewowcy, bucharinowcy, prawicowcy)” oraz oskarżeni o bycie „dowódcami i aktywnymi członkami organizacji i ugrupowań kontrrewolucyjnych, faszystowskich i nacjonalistycznych”, dowódcami organizacji powstańczych, a także byli białogwardziści i cudzoziemcy. Faktycznie oznaczało to, że reżim z góry przesądził o losie osób należących do danej kategorii obywateli.

Niezwykle charakterystyczny jest jeden z punktów tego rozkazu, wedle którego osoby z wyrokami za „działalność trockistowsko-bucharinowską”, zdradę ojczyzny, szpiegostwo, terror i dywersję należało „kierować, niezależnie od ich zdolności do pracy, do Siewwostłagu i Uchtpieczłagu (Workuta) na podstawie rozkazów personalnych GUŁagu”. W rozkazie tym podkreślono, że do nowo powstałych obozów NKWD „są kierowane osoby osądzone przez specjalne trójki NKWD w trybie rozkazu NKWD nr 00447 w drugiej kategorii, niezależnie od stopnia ich zdolności do pracy. Są kierowane także inne kategorie oskarżonych, w trybie wyboru zgodnie z rozkazem 045”.

Jesienią 1937 r. Jeżow zmienił rozkaz nr 00169 z 8 maja 1935 r., wydany przez jego poprzednika Gienricha Jagodę. Zgodnie z rozkazem nr 0128 z 21 października 1937 r. wszystkie poprawcze obozy pracy zostały podporządkowane bezpośrednio GUŁagowi.

I wreszcie rozkaz nr 0152 z 11 grudnia 1937 r. Ten dokument zapoczątkował prace nad budowaniem kompleksów więziennych zdolnych pomieścić osoby z wyrokami. Określono je jako „pierwszoplanowe objekty budowlane, realizowane w systemie NKWD”. Ustalono termin oddania projektów i kosztorysów nowych kompleksów więziennych na 5 lutego 1938 r.

Na sowieckiej Ukrainie

Rok 1937 również na Ukrainie przyniósł wzrost liczby aresztowanych, a w konsekwencji – uwięzionych. Nowe więzienia powstawały nawet w tych obiektach, które były w trakcie remontu. Oto przykład: 7 stycznia 1937 r. zastępca komisarza

ludowego spraw wewnętrznych USRS Karl Karlson rozkazał (rozkaz nr 002) udostępnienie remontowanego więzienia w mieście Łebedyn i ustanowił limit więźniów na 250 osób. W lipcu 1937 r. rozkaz zastępcy komisarza ludowego spraw wewnętrznych USRS Wasilija Iwanowa sprecyzował obsadę etatową w więzieniach należących do Zarządu Głównego Bezpieczeństwa Państwowego (GUGB) w celu zatrzymywania podsądnych przy NKWD USRS i NKWD siedmiu obwodów – kijowskiego, charkowskiego, dniepropietrowskiego, odeskiego, winnickiego, donieckiego, czernihowskiego – oraz NKWD Mołdawskiej Autonomicznej SRS.

14 czerwca 1937 r. w rozkazie nr 968 Jeżow wyznaczył na stanowisko komisarza ludowego spraw wewnętrznych USRS Izraila Leplewskiego. Jednym z pierwszych rozkazów nowego komisarza była dyrektywa „O uporządkowaniu regulaminu więziennego” nr 00168 z 25 sierpnia 1937 r. Była tu m.in. mowa o tym, że „tryb przetrzymywania więźniów w niektórych więzieniach nie odpowiada wymogom, które są stawiane więzieniom NKWD”. W dokumencie tym podkreślano, że taka sytuacja „jest niedopuszczalna zwłaszcza dziś, gdy w więzieniach znajduje się ogromna liczba wyjątkowo niebezpiecznych więźniów”. Jest jasne, że użyto odpowiednich środków, aby regulamin więzienny został „wzmocniony”.

Jak widać, reżim komunistyczny poprzez rozbudowę systemu obozów i więzień przygotowywał się do przeprowadzenia wielkiej akcji terrorystycznej. Jednakże już wkrótce czekistom przyszło się zmierzyć z kolejną misją wymyśloną przez kremlofskich organizatorów Wielkiego Terroru – z przeprowadzeniem czystek w więzieniach i obozach, czyli z masową eksterminacją więźniów. ■

Tłumaczyła z ukraińskiego Maria Buczyło



Jurij Szapowal (ur. 1953) – historyk, prof., pracownik Instytutu Badań Politycznych i Etniczno-Narodowych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy w Kijowie. Autor książek: *OUN i UPA na terenach polski 1944–1947 r.* (2000); *Ukraina XX stulecia. Osoby i podjęte w kontekście ważkiej historii* (2001); *Dola jak historia* (2006); *Torknutyj historii* (2013) i in.



Fot. z raportu Amtliches Material zum Massenmord von Winniza, Berlin, 1944 r.

Anna Zechenter

IPN Kraków

Skrwawiona winnicka ziemia

Latem 1943 r. do Winnicy na Ukrainie ciągnęli ludzie z całej okolicy. Wieść o odkopanych tam przez Niemców dołach śmierci z ciałami osób rozstrzelanych przez NKWD w latach 1937–1938 rozeszła się błyskawicznie i poruszyła wszystkich, którzy od lat szukali bliskich, aresztowanych na Podolu pod koniec lat trzydziestych.

Ze stacji kolejowej w mieście płynęli więc w lipcowe dni 1943 r. szeroką rzeką Polacy, potomkowie mieszkańców Rzeczypospolitej Obojga Narodów, których na sowieckiej ziemi zatrzymał traktat ryski z 1921 r.; szli także Ukraińcy, żyjący na tej ziemi od wieków obok Polaków – wszyscy po to, by wśród odsoniętych przez Niemców szczątków szukać ojców, braci, synów.

Mord winnicki zajmuje na mapie „operacji polskiej” NKWD pozycję wyjątkową, choć był zaledwie jednym z wielu popełnionych w ramach wielkich akcji eksterminacyjnych, które swym zasięgiem objęły cały ZSRS. W żadnym innym miejscu ukrycia zwłok nie dokonano jednak systematycznej ekshumacji i nie udokumentowano jej wyników jeszcze podczas wojny. Nietknięte do dziś mogiły znaczą sowieckie ludobójstwo na Polakach w ukraińskich oraz białoruskich lasach, we wsiach i miasteczkach; rozstrzelani spoczywają wśród innych ofiar bolszewizmu w Bykowni i Kuropatach, na cmentarzu Lewaszowskim w Petersburgu, w lasach Sandarmochu w Karelii, w okolicach Archangielska, na Wyspach Sołowieckich, w chłopskich osadach Białymstoku i Wierszynie na Syberii...

Rozpoczęta w sierpniu 1937 r. „operacja polska” oraz prowadzona równolegle z nią od lipca „operacja antykułacka” pochłaniały na Podolu zarówno Ukraińców, jak i Polaków – wystarczyło, by Polak został uznany za kułaka, a trafił na listy śmierci; dość było Ukraińcowi mieć żonę polskiego pochodzenia, a szedł pod mur. Podczas niemieckiej ekshumacji wydobyto prawie 9,5 tys. ciał. Jaką część z nich stanowili Polacy? Wśród 679 zidentyfikowanych zwłok Niemcy doliczyli się ich tylko 28, dane te jednak należy traktować z daleko idącą ostrożnością. Okupanci, nieorientowani w realiach bolszewickiego państwa, nie zdawali sobie sprawy ze stopnia komplikacji miejscowych stosunków narodowościowych. Skoro wciąż nie sposób ustalić, ilu naszych rodaków zamieszkiwało Ukraińską SRS, jak mieli Niemcy w 1943 r. trafnie kwalifikować narodowość rozstrzelanych? Na podstawie prowadzonych dzisiaj kwerend archiwalnych liczbę polskich ofiar zbrodni winnickiej lokalni badacze z Podola szacują na ok. 3 tys.

Katyński scenariusz po raz wtóry

Niemcy zainteresowali się Winnicą, kiedy prowadzili ekshumację w Lesie Katyńskim. Jeszcze 11 kwietnia 1943 r., ogłaszając światu o odkryciu grobów polskich oficerów, podali, że tamtejsze doły kryją zwłoki od 10 do 12 tys. rozstrzelanych, byli bowiem przekonani, że odnaleźli wszystkich wymordowanych jeńców – tylu zaginionych szukał przecież formujący Armię Polską w ZSRS gen. Władysław Anders ze współpracownikami. Tymczasem ekshumacja w Katyniu nie przyniosła spodziewanych wyników. Im dalej posuwały się badania w podsmoleńskim lesie, tym pewniejsze stawało się, że aż tylu zabitych tam nie ma. Gdzie więc



Więzienie w siedzibie zarządu NKWD w Winnicy przy ul. Chlebnej.
Fot. z raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

byli? Gdy do Niemców dotarły wieści o dołach śmierci w Winnicy, przyjęli, że pewnie właśnie tam.

Podobnie jak do Lasu Katyńskiego, sprowadzili na Podole patologów, m.in. dwóch członków międzynarodowej komisji z Katynia, prof. Ferenc Orsósa z Węgier i prof. Alexandru Birklego z Rumunii. Na obu, podobnie jak na innych członków komisji katyńskiej, Sowietci urządzili po wojnie polowanie – również za Winnicę: Birkle uciekł w porę do Szwajcarii, a stamtąd do Peru, Orsós zaś do części Niemiec okupowanej przez zachodnich aliantów.

Do Winnicy przyjechali także lekarze medycyny sądowej z trzynastu niemieckich uniwersytetów pod kierunkiem prof. Gerharda Schradera z Halle, przewodniczącego Niemieckiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminalistyki, oraz doc. Joachima Camerera. Specjaliści prowadzili swoje badania do sierpnia, kiedy to podpisali protokół potwierdzający, że ofiary padły od strzałów NKWD w latach 1937–1938. W 1944 r. opublikowali w Berlinie raport *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza* ze szczegółami obdukcji.

Nad rozkopane rowy Niemcy zaprosili dziennikarzy z wielu krajów, by nadać rozgłos zbrodniom popełnianym przez „żydowski bolszewizm”. Na całą Europę

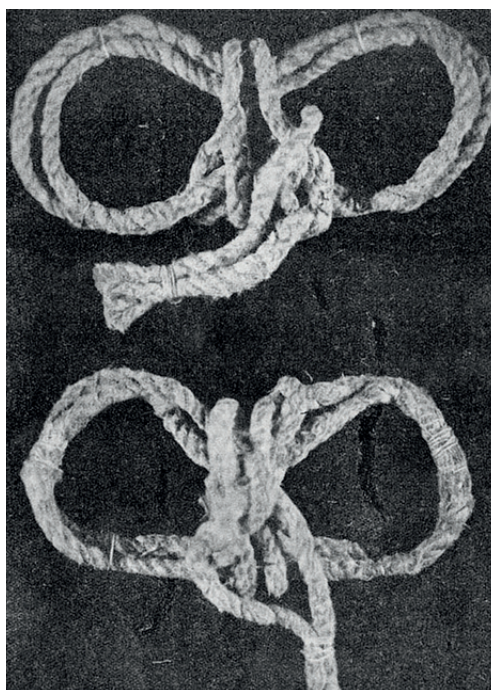
podnieśli krzyk o bolszewickim barbarzyństwie, słowem – powtórzyli scenariusz katyński. Wykorzystywali sowieckie zbrodnie propagandowo, choć w tym samym czasie pełną parą pracowały krematoria w Auschwitz, a ludność Polski oraz innych krajów okupowanych na Wschodzie była mordowana milionami.

Ciąg dalszy wydarzeń był taki sam jak po odkryciu katyńskich dołów śmierci: Sowietci zareagowali natychmiast, obciążając Niemców winą za zbrodnię, a gazety „Prawda” i „Izwestia” opublikowały 12 sierpnia 1943 r. oświadczenie władz: „Berlińscy prowokatorzy rozgłaszają o rzekomych znaleziskach masowych mogił, usiłując przypisać ciężkie zbrodnie sowieckim władzom. Hitlerowcy odgrywają w Winnicy nad trupami swoich ofiar nikczemną i ponurą komedię”.

Ludzie żywcem grzebani

Dzisiaj wiadomo już, że więźniów z Podola, wywiezionych w latach 1937–1938 nocami z domów, przetrzymywano w winnickiej siedzibie obwodowego oraz miejskiego zarządu NKWD przy ul. Chlebnej oraz w miejskim więzieniu. Rodziny słyszały nieodmiennie, że ich tam nie ma albo że zostali skazani na dziesięć lat bez prawa korespondencji – nikt jeszcze wówczas nie wiedział, że za tą formułką kryła się prawda o rozstrzelaniu zatrzymanego. Rzeź dokonywała się w garażu na terenie siedziby zarządu NKWD, przy zapuszczonych silnikach ciężarówek, które miały zagłuszyć strzały i krzyki. Kaci strzelali w tył głowy – każdej ofierze z osobna. Ciężarówkami wywozili zabitych i wrzucali zwłoki do przygotowanych już dołów.

Od 24 czerwca do 26 sierpnia 1943 r. Niemcy odstonili



Węzeł stosowany przez NKWD, zdjęty z rąk ofiary, niemiecka ekshumacja w Winnicy w 1943 r. Fot. z raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

Kobieta, która znalazła ubranie swojego męża w sadzie w okolicach dzisiejszego Pałacu Młodzieży przy ul. Chmielniczej, niemiecka ekshumacja w Winnicy w 1943 r. Fot. z raportu *Amliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

Na podstawie prowadzonych dzisiaj kwerend archiwalnych liczbę polskich ofiar zbrodni winnickiej lokalni badacze z Podola szacują na ok. 3 tys.

około dziewięćdziesięciu jam z ciałami w trzech miejscach: w sadzie owocowym, na rosyjskim cmentarzu prawosławnym oraz w Centralnym Parku Wypoczynku i Rozrywki, gdzie wcześniej znajdował się cmentarz katolicki, a dziś rozciąga się Miejski Park im. Gorkiego. Wydobyli spod ziemi szczątki 9432 osób, wśród których było 169 kobiet. Starsze zginęły w ubraniach, młodsze – nago, co każe podejrzewać, że enkawudziści gwałcili je przed śmiercią. Zwłoki mężczyzn, z jednym wyjątkiem, miały ręce związane z tyłu. 395 osób zginęło od uderzenia tępym narzędziem.

Obecny w Winnicy pisarz Józef Mackiewicz, który wcześniej przyjechał za zgodą władz Polskiego Państwa Podziemnego na niemieckie zaproszenie do Lasu Katyńskiego, porównywał: „W Katyniu, jak wiadomo, strzelano w głowę z pistoletu automatycznego kalibru 7,6 kulą opancerzoną, a więc nie tylko większych rozmiarów, ale od razu przebijającą czaszkę. [W Winnicy] zastosowano wprawdzie stary, czeki-stowski sposób zapuszczanych motorów, widocznie jednak kaliber 7,6 z opancerzoną kulą uznany był za zbyt głośny – pisał w 1951 r. w londyńskich „Wiadomościach”. – Wobec tego mordowano ludzi z najmniejszego kalibru 5,6 nieopancerzoną kulą ołowianą! Kule tego typu nie zawsze i nie dość skutecznie przebijały kości czaszki, dlatego ludzie musieli być krępowani, aby wytrzymać dłuższą procedurę mordy i aby zapobiec wszelkim niespodziankom, szamotaniu się itd. Strzelano też z reguły do każdego człowieka dwa razy; w 78 wypadkach po trzy razy; w dwóch wypadkach po cztery. Do wielu jednak, wbrew wyraźnej instrukcji, tylko raz. Ale nawet w wypadkach podwójnego strzelania, śmierć nie zawsze następowała natychmiast. W ten sposób niektórzy grzebani byli jeszcze żywcem, na co wskazała obdukcja, która u kilku ofiar ustaliła piasek głęboko w przełyku”¹. Prawie czterystu ludzi z roztrzaskanymi czaszkami to prawdopodobnie ci, którzy walczyli do końca.

Procedura identyfikacji była prosta, a ułatwił ją sam NKWD, zwracając więźniom przed egzekucją rzeczy, które brali ze sobą z domu lub dostawali w wię-

¹ J. Mackiewicz, *Katyn – zbrodnia bez sądu i kary*, zebrał i oprac. J. Trznadel, Warszawa 1987, s. 336.



Czaszka ofiary NKWD z widocznymi trzema śladami po strzałach, niemiecka ekshumacja w Winnicy w 1943 r.
Fot. z raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

zieniu od rodzin – być może funkcjonariusze chcieli stworzyć pozory, że aresztant wychodzi na wolność, i uniknąć szarpaniny. Te właśnie tobołki, a także niedo-
ręczone ubrania kaci wrzucili do osobnych dołów. Niemcy rozwiesili cuchnące
swetry, kufajki, buty, koszule na drutach między drzewami w sadzie owocowym,
a setki przybyszy przeszukiwały je, dławiąc się odorem. Stan zwłok uniemożliwił
rozpoznanie zabitych, przy szczątkach zachowało się jednak trochę dokumentów,
z których udało się odczytać rozmazane nazwiska.

„Męża zabrali, ojciec nie wrócił...”

O utworzeniu strefy zamkniętej na 27 hektarach przyległych do szosy prowadzącej
w kierunku Litynia zdecydowały władze miasta w kwietniu 1936 r. Mieszkańców
wykwaterowano, a obszar ogrodzono trzymetrowym płotem. Nikt nie pytał, dla-
czego i po co – jak to w Sowietach. Józef Mackiewicz dotarł w 1943 r. do świadka,
kowala Afanasija Skrepki, który w marcu 1938 r. z ciekawości zapytał enkawudzi-
stę, co będzie za płotem. „Park Kultury i Odpoczynku” – usłyszał w odpowiedzi.

» **Kaci strzelali w tył głowy – każdej ofierze z osobna. Ciężarówkami wywozili zabitych i wrzucali zwłoki do przygotowanych już dołów.** »

„Ale w nocy wlaź na drzewo, żeby zajrzeć do środka – pisał Mackiewicz w „Wiadomościach”. – Zobaczył wykopanych sześć dołów i zlaź z drzewa. Tymczasem co noc zajeżdżały tam samochody ciężarowe, pokryte brezentem, i wyrzucały jakiś ładunek. Skrepka był naprawdę dziwnym człowiekiem, bo po upływie roku jeszcze raz wlaź na to samo drzewo: widzi, że za szeregami zasypanych już dołów powstał ich nowy długi rząd...”².

Zimą z 1942 na 1943 r., gdy strach przed Sowietami nikogo już nie powstrzymywał, ludzie rozkradli deski, za którymi ukazały się zagłębienia w ziemi. Ktoś zaczął pierwszy kopać i natknął się na zwłoki. A potem ludzie zaczęli szukać tam, gdzie, jak się domyślali, wrzucano ciała. Bo w Sowietach niby nikt nic nie wiedział, ale każdy się domyślał.

W trakcie prac ekshumacyjnych Niemcy zbierali oświadczenia od rodzin pomordowanych. „W październiku [1937 r.] mojego ojca, rolnika Piotra Gruszkowskiego, 65 lat, aresztowali enkawudziści w Braclawiu – opowiedziała 3 lipca 1943 r. Halina Gruszkowska ze wsi Gorodnica w rejonie niemierowskim obwodu winnickiego. – Tłumaczyli mojej matce, że tata jest »wrogiem narodu«. [...] Przez dwa tygodnie ojca trzymano w Braclawiu, potem zabrano do Winnicy. Moja mama codziennie chodziła do braclawskiego NKWD, żeby cokolwiek dowiedzieć się o ojcu. Funkcjonariusze powiedzieli jej, że tatę wysłano do Winnicy” – relację tę przytacza publikowane w Winnicy od 2013 r. „Słowo Polskie”³. Więcej Halina Gruszkowska o ojcu nie słyszała, podobnie jak o innych dziesięciu aresztowanych razem z nim osobach – do dnia gdy w gazecie przeczytała informację o rozkopanych w Winnicy zbiorowych grobach, a sąsiadka przybiegła z wiadomością, że znalazła tam rzeczy swojego męża. Pojechała więc do Winnicy i tam wśród innych ubrań zobaczyła czapkę ojca.

Żona prawosławnego duchownego Daria Bielecka pisała po aresztowaniu męża we wrześniu 1937 r. do Moskwy. Po pół roku dostała odpowiedź, że trzydzie-

² *Ibidem*, s. 333.

³ J. Wójcicki i in., *Winnicki Centralny Cmentarz im. Gorkiego – podolski „Katyń” (uaktualnione)*, <http://słowopolskie.org/winnicki-centralny-cmentarz-im-gorkiego-kolejny-ukraisko-polski-katy/> [dostęp: 23 VI 2017 r.].

stopięcioletni mężczyzna został zesłany „bez prawa korespondencji”. „Mąż ukończył duchowne seminarium na Wołyniu i do 1935 roku pracował we wsi Pelewa. W 1935 roku cerkiew w Pelewie zamknięto i męża zobowiązano do zostawienia wszystkiego i wyjazdu. Przyjechaliśmy do wsi Grebla, gdzie mąż zaczął pracować jako drwal. Kiedy po niego przyszli, jeden z enkawudzistów powiedział: »I tak już za długo ten pies żyje« – takie świadectwo złożyła 1 lipca 1943 r. – Najpierw mego męża wsadzono do aresztu, za dwa tygodnie przewieziono go do Winnicy. Kiedy dostarczałam mu przesyłkę, nigdy nie pozwolili mi, bym się z nim spotkała. Za miesiąc dowiedziałam się, że męża zesłano. Dokąd, kiedy? – więcej niczego nie powiedzieli”⁴. Ona też przyjechała do Winnicy i znalazła wśród rozwieszonych rzeczy ubranie, które sama mu uszyła.

**W Sowietach niby nikt
nic nie wiedział o masowych
egzekucjach, ale każdy się domyślał.**

Marii Korsakowej w zarządzie NKWD poradzono, żeby sobie znalazła innego męża – ot, taki czekistowski żarcik. To samo usłyszała inna Polka – Olga Bielecka, która utraciwszy nadzieję, wyjechała do kuzynki w Swierdłowsku. „Tam po roku poznała istotnie drugiego, wyszła za mąż – pisał Mackiewicz na podstawie niemieckiej dokumentacji. – A później wróciła z tym innym. NKWD co dwa miesiące przedłużało jej prawo pobytu w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Winnicy i tak się żyło. [...] Aż po sześciu latach od dnia aresztowania pierwszego męża, rozpoznała go w dołach śmierci; rozpoznała po krótkim kożuchu, a rozpoznała dlatego, że w swoim czasie załatała go kawałkiem własnego półkożuszka. Bo przecież całe życie łątało się, jak można”⁵.

Katarzyna Gorlewska ze Żmerynki szukała swego męża, maszynisty kolejowego, po różnych więzieniach. Wybrała się nawet do Kijowa, gdzie powiedziano jej, że nigdy go tam nie było. Pięć lat minęło, aż pojechała do Winnicy. „Rozpoznałam odzież mojego męża: wyhaftowaną koszulę oraz marynarkę z futrzanym kołnierzem” – zeznała 1 lipca 1943 r.

⁴ *Ibidem.*

⁵ J. Mackiewicz, *Katyń – zbrodnia bez sądu i kary...*, s. 333.



Ciała wydobyte z dołów śmierci, niemiecka ekshumacja w Winnicy w 1943 r.
Fot. z raportu *Amliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

Winnicki kat...

„Jedź i weź się do roboty, tam na Ukrainie hasają w podziemiu całe antysowieckie dywizje. Trzeba jechać i rozbić te oddziały” – takie polecenie dostał w lutym 1938 r. od samego ludowego komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa Iwan Korablow, nowo mianowany szef winnickiego obwodowego zarządu NKWD⁶. Zastąpił nie dość gorliwego Ignacego Morozowa. Korablowa pospieszał także nowy szef NKWD USRS Aleksander Uspienski, który w styczniu 1938 r. zajął to stanowisko po Izrailu Leplewskim, aresztowanym i rozstrzelanym kilka miesięcy później tego samego roku. Uspienski musiał zaspokoić oczekiwania Jeżowa, ten zaś z politbiurem Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) wyznaczał w przypadku „operacji antykułackiej” limity osób do rozstrzelania (tzw. I kategoria) i uwięzienia w łagrach (tzw. II kategoria).

⁶ J. Szapował, W. Wasiliew, *Etapy „Bolszogo Tierrora”. Winnickaja tragedija*, gazeta.zn.ua/SOCIETY/etapy_bolshogo_terrora_vinnitskaya_tragediya.html [dostęp: 20 VI 2017 r.].



Odstonięty przez Niemców dół śmierci, niemiecka ekshumacja w Winnicy w 1943 r.

Fot. z raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

W przebiegu „operacji polskiej” limitów nie wyznaczano, decydująca o życiu bądź śmierci była bowiem narodowość. „Od 75 do 80 procent Ukraińców to burżuazyjni nacjonałści – przekonywał Uspienski. – A Polacy i Niemcy na Ukrainie są co do jednego szpiegami i dywersantami”.

Korablow sprawdził się jako zawodowy kat. Zorganizował i porozsyłał w teren grupy operacyjne czekistów, które na podstawie danych z rejonowych zarządów NKWD lub przez siebie zmyślonych zestawiały listy osób do zatrzymania. Naczelnicy wydziałów obwodowego NKWD zatwierdzali te spisy błyskawicznie – miał to wprawdzie robić sam Korablow, ale rozmach operacji przerósł jego możliwości,

scedował więc część obowiązków na podwładnych. Tryb pracy uproszczono: prokuratura przygotowywała materiały przeciwko wyznaczonym ofiarom „zaocznie”, by enkawudziści mogli na bieżąco aresztować.

Każdego dnia Korablow wzywał do siebie naczelników wydziałów i żądał od nich wciąż wyższych liczb „zdemaskowanych wrogów”. Równoległe pracowała obwodowa „trójka”, zatwierdzająca na każdym posiedzeniu egzekucje setek i tysięcy ludzi. Zachował się telegram Korablowa do Uspienskiego z 27 kwietnia 1938 r. „Kijów. NKWD. Do Uspienskiego. Wyznaczony trójce limit został całkowicie wyczerpany. Proszę przedstawić w centrali dopełniający limit choćby 300–500 osób pierwszej kategorii”⁷.

...i jego ludzie

Od zatrzymanych oczekiwano tylko jednego: przyznania się do „wrogiej działalności”, a funkcjonariusze NKWD przechodzili samych siebie, by takie zeznania uzyskać. Jurij Szapował i Walery Wasiliew, badacze Wielkiego Terroru na Ukrainie, wymieniają nazwiska szczególnie bezwzględnych czekistów: pomocnika Korablowa, Danilenki, naczelników oddziałów Nadieżdina, Zaputriajewa, Szurina, Majstruka, Priszycyna, Redera, który był postrachem aresztowanych, i dalej: Bierieznika, Ławrientiewa, Tiszczenki, Reszeiłowa, Nieszczadimowa, śledczych Guni i Antonowa, konwojenta Babiejki, a nawet szofera Szkriebota.

Dziś nazwiska te niewiele mówią, nadejdzie jednak może czas, że badacze dotrą do szczegółów i suche dane nabiorą treści – tak jak stało się to w przypadku Zbrodni Katyńskiej. Może poznamy prawdę o katach winnickich, skoro poznaliśmy ją o Wasylu Błochinie, który kiedyś był wymieniany z nazwiska jednym tchem w długim szeregu oprawców.

O Korablowie wiadomo, że został wyrzucony ze stanowiska w 1939 r., gdy trzeba było pozbyć się wykonawców rzezi, i aresztowany wraz ze wspomnianymi już Zaputriajewem i Szurinem. Z winnickiego więzienia pisał w styczniu 1939 r. do samego Ławrientija Berii, następcy Jeżowa, odsuniętego w grudniu 1938 r., a w 1940 r. rozstrzelanego z woli Stalina: „Zgodnie z Waszą decyzją zostałem usunięty ze stanowiska. Rozumiem w pełni ogólną sytuację, ale [...] zaledwie

⁷ *Ibidem.*



Rumun prof. Alexandru Birkle (pierwszy z lewej) nad szczątkami, niemiecka ekshumacja w Winnico w 1943 r.
Fot. z raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*, Berlin, 1944 r.

dziesięć miesięcy temu zostałem mianowany naczelnikiem zarządu. Nikt się mnie nie pytał, czy tego chcę. Wydano mi rozkaz, któremu się podporządkowałem. Oddawałem się pracy sumiennie, uczciwie, partyjnie, poświęcałem się bez reszty. Popełniłem jakieś błędy? A kto ich nie popełnił? Pracowałem uczciwie, jak przystało na bolszewika”⁸.

Jeszcze w tym samym miesiącu uwolniony z więzienia Korablow usiłował ze strachu przed kolejnymi przesłuchaniami skończyć ze sobą dwoma strzałami w skroń, odratowano go jednak i znów trafił do więzienia. Jego godzina wybiła w maju 1941 r., gdy został skazany na rozstrzelanie. Do egzekucji nie doszło – uratowało go niemieckie uderzenie na ZSRS. Wyrok zmieniono na dziesięć lat łagrow, a potem sprawę umorzono. Dalszy los winnickiego kata pozostaje niezany.

⁸ O. Łoszycki, „Laboratorija”. *Nowi dokumenty i świadectwa pro masowi represiji 1937–38 rokiv na Winnyczyni*, „Z Archiwiv WUCzK-GPU-NKWD-KGB” 1998, nr 1/2.

Świat nie uwierzy

Gdy w 1937 r. represje nabrały masowego charakteru, pamięć o przymusowej kolektywizacji i Wielkim Głodzie zgotowanym w zemście za opór chłopów jeszcze trwała. Nikt, rzecz jasna, wówczas nie wiedział, że terror rządził się bezwzględną logiką, a ofiary nie były przypadkowe. Ludzie przywykli przez lata do życia w lęku, fale masakr przetaczały się bowiem przez tereny dalszych Kresów, podobnie jak przez bezkresy ZSRS.

Lipiec 1943 r. zapisał się w historii dalszych Kresów pielgrzymkami do tonącej w trupim odorze Winnicy. W pamięci tamtejszych Polaków utkwił również inny lipiec – ten krwawy z 1919 r. „Nie mogę pisać, nie mogę myśleć o wyklętej, nieszczęśliwej Winnicy – tak w autobiograficznej powieści *Pożoga* Zofia Kossak wspominała zagładę dworów polskich dokonywaną przez bolszewickie bandy. – Dotychczas padło tam skazanych przez czerezwyczajkę trzy tysiące ludzi. Żaden z nich nie zginął inaczej jak w wyrafinowanych, straszliwych męczarniach. Byli wśród nich krzyżowani, skręceni w zwoje kolczastego drutu, wbijani na pał, odzierani ze skóry, paleni”.

I dodawała: „Gdy kiedyś przyjdzie chwila, w której świat dowie się tego wszystkiego, gdy się odsoni martyrologia tych stron, Europa nie uwierzy”. Myliła się – Europa nigdy nie chciała słyszeć o golgocie tych ziem. Ani o tamtej z lat 1917–1919, ani o tej, która zaczęła się dwadzieścia lat później. ■



Anna Zechenter (ur. 1959) – pracownik Oddziału IPN w Krakowie. W latach osiemdziesiątych działaczka antysystemowej opozycji. W 1994 r. opublikowała na łamach „Czasu Krakowskiego” i „Życia Warszawy” raporty agentów Stasi. Autorka książek: *KGB gra w szachy* (2010); *Kremłowskie trucizny* (2012); *Pod czerwoną okupacją. Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter* (2013); (z D. Gorajczykiem, M. Komaniecką, K. Samsonowską i M. Szpytmą) *Zbrodnia katyńska. Materiały edukacyjne* (2014) i in.



Szukam prawdy o „podolskim Katyniu”

O pierwszym ujawnionym miejscu zbrodni „operacji polskiej” NKWD z Jerzym Wójcickim, redaktorem naczelnym „Słowa Polskiego” w Winnicy, rozmawia Anna Zechenter

Ratować polskość na dalszych Kresach, a zwłaszcza na Podolu – takie odkrył Pan powołanie. Upomina się Pan też o pamięć ofiar „operacji polskiej” NKWD z lat 1937–1938. Ta tragiczna historia dotknęła rodzinę Pańskiej żony, której pradziadek został zamordowany w 1938 r. Czy to był impuls do działania?

Byłem studentem, kiedy zacząłem spotykać się z Julią Zajcewą, dziewczyną o polskich korzeniach – jej przodkowie pochodzili z rodzin Arcinowskich i Ma-

kowskich. Pobraliśmy się w 2001 r., ale wcześniej, po roku znajomości, wpadliśmy na herbatę do jej babci, Alicji Zajcewej. Babcia poczuwała się do polskości, chodziła do kościoła, urządzała wspaniałe wieczery wigilijne, o czym miałem okazję się później przekonać. Podczas tego pierwszego spotkania dowiedziałem się, że jej ojca, Aleksandra Makowskiego, pradiadka Julii, zamordowało NKWD w 1938 r. w ramach „operacji polskiej”. Po raz pierwszy zetknąłem się z bezpośrednim świadectwem o bolszewickim terrorze ludzi, którzy latami żyli napiętnowani jako „wrogowie ludu” i cierpieli prześladowania. Prababcia mojej żony, Helena Arcinowska, urodzona w szlacheckiej rodzinie w 1908 r., do końca życia musiała ciężko pracować fizycznie, nie mogąc znaleźć żadnego innego zajęcia – „bo Polka”.

Pan i ojciec Julii, Walery, dotarliście ostatecznie do prawdy o losach Aleksandra Makowskiego...

Zaczęliśmy badać rodzinne archiwa i dokumenty. Rządy bolszewików za Zbruczem nastąpiły mniej więcej dwadzieścia lat wcześniej niż w Lwowskiem, dlatego miejscowi Polacy musieli wycierpieć w latach dwudziestych i trzydziestych XX w. prawdziwą gehennę tylko za to, że odmawiali różaniec, mówili w swoim języku, chodzili do kościoła. Skala nienawiści wobec polskości na terenach wcielonych do Ukraińskiej SRS traktatem ryskim w 1921 r. przechodziła wszelkie granice ludzkiego pojmowania. Historia rodziny mojej żony wciągnęła mnie w wir poszukiwań archiwalnych, żeby znaleźć odpowiedzi na pytania: „Gdzie?”, „Ile ofiar?”, „Dlaczego?”. Szukaliśmy prawdy o masakrze winnickiej.



Aleksander Makowski, pradiadek Julii Wójcickiej, zamordowany w 1938 r. w ramach „operacji polskiej” NKWD, prawdopodobnie w Żytomierzu. Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcickiego



Rodzinne zdjęcie przodków Julii Wójcickiej. U góry trzeci od lewej Michał Arcinowski, prapradziadek Julii, inżynier, który budował kolej od Janowa do Berdyczowa na początku XX w. Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcickiego

Najpierw działaliśmy nieco po omacku. Bardzo pomogły nam babcia Alicja i jej siostra Witalia. Przy okazji poznałem niezwykłą historię brata ich matki, Romana Arcinowskiego, który w sierpniu 1939 r. pojechał na wycieczkę z Berdyczowa do Częstochowy i pozostał w Polsce na zawsze. Po prostu Sowieci przed inwazją 17 września zamknęli granicę i większość z tej grupy berdyczowskich nastolatków nigdy już nie zobaczyła swoich rodziców. W naszych poszukiwaniach sięgnęliśmy do jednego z internetowych serwisów pomocnych przy tworzeniu drzew genealogicznych i udało nam się odnaleźć w polskim Szczytnie Andrzeja Arcinowskiego, syna Romana. Po kilku miesiącach przyjechał po raz pierwszy do Winnicy z rodziną. Zwiedziliśmy razem Berdyczów, odnaleźliśmy na starym polskim cmentarzu rodzinne groby Hejnemanów i Arcinowskich. A po roku my pojechalśmy z dziećmi w okolice Kłodzka na wesele starszego syna Andrzeja, który też nosi imię Roman – jak jego dziadek z Berdyczowa!

Rodzina z Dolnego Śląska opowiedziała nam wiele o wspólnych korzeniach. Arcinowscy przybyli do Berdyczowa z Wilna, gdzie – jak mówi tradycja rodzinna – brali udział w Powstaniu Styczniowym, a później musieli uciekać,

żeby uniknąć represji. Niestety, nie zachowały się żadne szczegółowe informacje na ten temat. W 1937 r. prababcia żony, Helena Arcinowska, zniszczyła w obawie przed bolszewikami wszystkie dokumenty potwierdzające szlacheckie pochodzenie. Ale i to nie uratowało rodziny. Pewnej lipcowej nocy 1938 r. do ich mieszkania w centrum Berdyczowa wtargnęli bolszewicy, aresztowali jej męża, ojca dwóch córek, Aleksandra Makowskiego. Babcia Alicja miała wówczas trzy latka, Witalia – zaledwie rok.

W 2008 r., kiedy Ukraina po raz pierwszy odtajniła część archiwów NKWD/KGB, okazało się, że w tym samym czasie aresztowano również rodzinnego brata Aleksandra – Konstantego. Trzymano ich obu najpierw w więzieniu NKWD w Berdyczowie, potem przewieziono do Żytomierza, gdzie zostali zamordowani i pogrzebani w bezimiennym grobie. Berdyczów należał wówczas do obwodu winnickiego i całą operacją kierowało lokalne NKWD.

Prababcia Helena musiała czekać do lat sześćdziesiątych na potwierdzenie przez władze, że jej mąż nie był „bandytą”, i na oczyszczenie go z zarzutów. Ale w metryce urodzenia babci Alicji w miejscu przeznaczonym na dane ojca widnieje pustka – jakby go w ogóle nie było.

Od 2013 r. zajmuje się Pan szukaniem miejsc ukrycia zwłok Ukraińców i Polaków wymordowanych w Winnicy w latach trzydziestych. Zbrodnia ta jest jedyną tak wcześnie zbadaną spośród popełnionych w ramach „operacji polskiej” NKWD. W Winnicy Niemcy już w 1943 r. odkopali ponad dziewięćdziesiąt dołów śmierci. Czy wszystkie ciała wydobyto?

Tego nie wiemy. Bolszewicy chowali ofiary w trzech miejscach – w tak zwanym parku kultury, którego połowa leży na zrównanym z ziemią przez komunistyczne władze polskim cmentarzu; na obrzeżach prawosławnego cmentarza, po przeciwnej stronie Lityńskiego Szosse oraz w położonym kilometr dalej sadzie owocowym, sąsiadującym po przeciwnej stronie drogi z DOPR-em (Dom Prinuditielnych Robot – Dom Pracy Przymusowej, przyp. AZ), w którego podziemiach pozbawiono życia setki niewinnych ofiar w latach 1937–1938 i w 1941 r. Po ekshumacji w 1943 r. wszystkie szczątki z tych trzech miejsc przeniesiono na teren dzisiejszego cmentarza.

Tam, gdzie we wspólnym grobie spoczęły ciała ponad 9 tys. Podolan, postawiono – według relacji mieszkańców – krzyż, na którym Sowieci po po-

wrocie do Winnicy w marcu 1944 r. zmienili treść napisu z „Ofiarom stalinowskiego terroru” na „Ofiarom faszystowskich zbrodni”, a później – krzyż usunęli. W latach osiemdziesiątych komunistyczne władze zarządziły tam budowę krematorium. Niewykluczone, że palono w nim szczątki ofiar NKWD – dowody bolszewickich zbrodni.

W swoim opracowaniu wydanym w Berlinie w 1944 r. Niemcy podali dramatycznie zaniżoną liczbę polskich ofiar – dlaczego?

Też często zadawałem sobie to pytanie. Myślę, że to z powodu nienawiści do Polaków, spotęgowanej przez ich aktywny opór wobec niemieckiej okupacji. Historia pamięta kilka rosyjskich, litewskich oraz ukraińskich kolaboracyjnych formacji wojskowych, ale polska nie powstała ani jedna.

Niemcom zależało jednak na propagandowym wykorzystaniu „bolszewickiego barbarzyństwa”, nadawali przecież rozgłos zbrodniom w Katyniu i Winnicy – może nie orientowali się w sytuacji, nie wiedzieli, że Sowietci wielu Polakom wydawali ukraińskie dokumenty?

To też mogło odegrać swoją rolę. Uderza jednak fakt, że Niemcy podali liczbę kilkudziesięciu odnalezionych Polaków, a to wydaje mi się celowym działaniem – jakby chodziło im o zmniejszenie skali mordy osób polskiej narodowości.

Miejsce ukrycia ofiar mordy w Winnicy zostało w 2014 r. upamiętnione – nikt już nie może powiedzieć, że spaceruje po grobach, nic o tym nie wiedząc.

Po długich staraniach Stowarzyszenia Polonijnego „Kresowiaci” oraz Konsulatu Generalnego RP w Winnicy odsłoniliśmy w Miejskim Parku im. Gorkiego tablicę upamiętniającą Polaków pochowanych na zdewastowanym przez bolszewików w 1936 r. rzymskokatolickim cmentarzu. Zamieszczony na tablicy tekst nie całkiem odzwierciedla nasze intencje, ale musieliśmy pójść na kompromis z wieloma instytucjami i miejskim wydziałem architektury, żeby ten wielki gest szacunku i pamięci dla naszych przodków wykonać. Na tablicach znalazła się wzmianka o polskich ofiarach NKWD w Winnicy.

Przy każdej okazji staram się rozpowszechniać wiedzę o mordzie winnickim – mówiłem o nim pod koniec maja tego roku na trzeciej już międzynarodowej



Elias Wójcicki, pradiadek Jerzego Wójcickiego (drugi od lewej), w mundurze polskiego kolejarza.
Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcickiego

konferencji naukowej zorganizowanej przez zespoły historyków i kadre akademicką obu krajów i poświęconej polskiej oraz ukraińskiej historii. Zależy mi na tym, żeby wiedza o winnickich ofiarach „operacji polskiej” NKWD, a także o wymordowanych tam w latach 1937–1938 Ukraińcach, znalazła swoje miejsce w obiegu naukowym.

Jest Pan w stanie oszacować liczbę polskich ofiar zamordowanych w Winnicy przez NKWD w latach 1937–1938?

Kiedy zaczęliśmy badać tę kwestię, okazało się, że licz-

ba ta może wynosić ponad 3 tys. z pełnej liczby 9432 odnalezionych. Pierwszą kwerendę wykonaliśmy, posługując się niemiecką listą sporządzoną w 1943 r. na podstawie oświadczeń krewnych, którzy rozpoznali swoich braci, mężów, synów i córki podczas ekshumacji. Dokładnie sprawdzamy każdego na liście, dzięki czemu odtworzyliśmy szczegóły dotyczące 415 osób. Pierwsze efekty naszej pracy można zobaczyć na stronie www.1937-1938.org.

Według wstępnej oceny, blisko 35 proc. akt dotyczy osób polskiego pochodzenia. Napotykalismy takie opisy, jak „obywatel ZSRS, wyznaniowo Polak” lub „Ukraińiec, były żołnierz WP, urodził się w Polsce”, co pośrednio świadczy o tym, że człowiek ten skazany został za „szpiegostwo na rzecz Polski”. Następne dwa etapy kwerendy przeprowadziliśmy w Kijowie. Do kontynuowania prac potrzebujemy pieniędzy. Do tej pory finansowałem je w większości z własnych środków – teraz musieliśmy z tego powodu wstrzymać poszukiwania.



Tablica na budynku dawnej katolickiej kaplicy w Winnicy odsonięta 31 sierpnia 2014 r. Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcickiego

Na początku maja tego roku dotarł do nas sygnał o planach wsparcia naszych inicjatyw ze strony Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Może już wkrótce zdołamy opracować kolejną część skanów z kijowskiego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, gdzie są przechowywane materiały NKWD. Chodzi o dokumenty, które potwierdzą, że ofiary były mordowane właśnie w Winnicy, Berdyczowie, Płoskirowie, Mohylewie Podolskim... Musimy mieć dowody, żeby udaremnić starania obrońców komunizmu, którzy podważają nasze ustalenia.

W związku z mordem winnickim miał pan kontakt z Jackiem Pawłowiczem, wówczas pracującym w IPN, a teraz dyrektorem Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL.

Jacek Pawłowicz odwiedził Winnicę, oglądaliśmy polski cmentarz, a także miejsca, w których grzebano ofiary. W siedzibie IPN w Warszawie odbierałem od niego nagrody dla młodzieży polskiego pochodzenia. Przekazałem też Jackowi Pawłowiczowi informacje pozyskane z archiwów. Bardzo interesował się tematem naszego „podolskiego Katynia”, był konsultantem przy produkcji filmu *Ojcu* o Adamie Bandrowskim, Polaku aresztowanym i zamordowanym w Winnicy w ramach „operacji



Grób ks. Erazma Wierzejskiego w Mohylewie Podolskim.
Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcickiego

polskiej”. Nakręcenia tego filmu podjęły się zamieszkała w Montrealu Diana Skaya, siostrzenica córki Bandrowskiego, oraz aktorka Liliana Komorowska.

Nie jestem historykiem z zawodu, uważam jednak, że trzeba odkrywać korzenie kultury europejskiej, przede wszystkim polskiej, zarówno w byłym województwie braclawskim I Rzeczypospolitej, jak i na całej Ukrainie. Jeżdżąc po wschodnim i centralnym Podolu, ze zdumieniem odkrywałem coraz to nowe ślady polskości – stare krzyże, kościoły, pałace i rezydencje.

Polskie nekropolie przy głównych drogach w obwodach winnickim oraz chmielnickim były celowo dewastowane przez bolszewików. Trzeba było zapuścić się dalej, 15–20 kilometrów od większych szlaków, gdzie polskie cmentarze zachowały się w dość dobrym stanie. Przetrwały przepiękne rzeźby i nagrobki z XVIII i początku XX w., napisy w języku polskim. Część odnalezionych cmentarzy opisaliśmy na portalu www.nekropolis.in.ua.

Niedawno odsłoniliśmy w Ilińcach tablicę poświęconą dziewiętnastowiecznemu polsko-ukraińskiemu poecie i kompozytorowi Tomaszowi Padurze – autorowi pieśni *Hej, sokoły*, tłumaczowi *Konrada Wallenroda* Mickiewicza na język ukraiński, uczestnikowi Powstania Listopadowego. Kilka tygodni później krajoznawcy z Koziatynia odnaleźli jego mogiłę w Machnówce, gdzie mieszkał. Stało się to tuż po przywróceniu wsi starej nazwy – bo przez siedemdziesiąt lat nazywała się Komsomolskie. ■



Jerzy Wójcicki (ur. 1976) – z pochodzenia Polak, jest katolikiem. Mieszka w Winnicy na Podolu. Absolwent Politechniki Winnickiej oraz Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Rzeszowie. Redaktor portalu, gazety i programu radiowego „Słowo Polskie” (słowopolskie.org), członek Zarządu Związku Polaków na Ukrainie, prezes Chrześcijańsko-Demokratycznego Związku Polaków. Uhonorowany nagrodą „Świadek Historii” przez Instytut Pamięci Narodowej w 2016 r.

Dawid Zagził

IPN Olsztyn

Polscy komuniści: cena zaprzaństwa

Przywódca Komunistycznej Partii Polski, Julian Leszczyński-Leński, został aresztowany w Moskwie w czerwcu 1937 r. Oskarżono go o współpracę z polskim wywiadem oraz o udział w organizacji „szpiegowsko-terrorystycznej” i po krótkim śledztwie 21 września skazano na karę śmierci. Wyrok wykonano natychmiast. Ten sam los spotkał pozostałych członków KPP: partyjne „doły” i gremium kierownicze, „mniejszość” i „większość”. Nielicznym życie ocaliły... kraty polskich więzień.

Zaplanowany i przeprowadzony w latach trzydziestych XX w. w Związku Sowieckim Wielki Terror pochłonął blisko milion istnień. Jak kraj długi i szeroki, siepacze Józefa Stalina likwidowali wszelką – najczęściej wymyśloną – opozycję, topiąc we krwi jej potencjalnych orędowników. Machina terroru nie oszczędziła nikogo, dotknęła w pierwszym rządzie mniejszości narodowe. Wrogiem numer jeden stali się Polacy – uznani za przeciwników systemu, zostali skazani na zagładę decyzją szefa NKWD Nikołaja Jeżowa. Na mocy rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 r. w ciągu czternastu miesięcy rozstrzelano ponad 111 tys. osób, a dziesiątki tysięcy zesłano do łagrów.

Represje dotknęły wszystkich Polaków, bez względu na przynależność klasowo-społeczną. Także polskich komunistów – wśród nich zaś największych apologetów stalinizmu.

Zgodnie z rozkazem nr 00485 aresztowaniu podlegali m.in. „przybyli z Polski emigranci polityczni i osoby pochodzące z wymiany więźniów politycznych”. Mowa tu o działaczach i zwolennikach Komunistycznej Partii Polski (KPP), którzy z różnych powodów znaleźli się w wirze szalejącego terroru. Bez względu na to, czy przybyli do Kraju Rad „na chwilę” czy „na dłużej” – granic ZSRS już nie opuścili. I choć decyzja o rozwiązaniu kompartii zapadła na przełomie lat 1937 i 1938, już wcześniej więzienie lub/i śmierć dosięgły wielu, z sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego KPP na czele.



Julian Leszczyński-Leński. Fot. Wikimedia Commons

Leszczyński-Leński – stalinista

Julian Leszczyński – bo o nim mowa – urodził się 8 stycznia 1889 r. w Płocku, jako syn Juliana i Stefanii z domu Sיעińskiej. Ukończył miejscowe gimnazjum, następnie rozpoczął studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Związany ideowo ze skrajną lewicą, wstąpił w szeregi Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL), przyjmując pseudonim „Leński”. Aresztowany w 1913 r. i zesłany w głąb Imperium Rosyjskiego, stanął u boku bolszewików (redagował prasę rewolucyjną, m.in. polskojęzyczną „Trybunę”). Nawiązał bliskie kontakty z innymi komunistami polskiego pochodzenia, w tym z Józefem Unszlichtem – późniejszym członkiem Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski (Polrewkomu) i wiceszefem sowieckiej bezpieki (Czeki), z którym nawet przez pewien czas mieszkał. Obaj nie podejrzewali, że po latach ich znajomość będzie naznaczona piętnem.

Tymczasem w grudniu 1918 r. na arenie życia politycznego II RP doszło do fuzji dwóch ugrupowań – SDKPiL i PPS-Lewicy, co dało początek Komu-

nistycznej Partii Robotniczej Polski (nazwa obowiązywała do 1925 r. – później istniała KPP). Na tle innych kompartii KPRP/KPP wyróżniała się względny liberalizmem pogładowym, czego przykładem było współistnienie opozycyjnych frakcji: „większościowców” i „mniejszościowców”. Ci zaś, w ferworze walki ideologicznej, dodatkowo osłabiali pozycję własnego środowiska – brakowało jednomyślności w kwestiach programowych i spójnej wykładni, m.in. wobec niepodległości Polski czy współpracy z lewicą polityczną. Początkowo ster władzy przejęła „większość” – skupiona wokół tzw. grupy 3 W (Adolf Warski, Wera Kostrzewa, Henryk Walecki), jednakże śmierć Włodzimierza Lenina (1924 r.) zmieniła układ sił na Kremlu, na czym skorzystali partyjni oponenty. Gwoździem do trumny „większościowców” stał się tzw. błąd majowy, tj. poparcie przez KPP zamachu stanu Józefa Piłsudskiego w 1926 r. W oczach Stalina i Kominternu (III Międzynarodówka, koordynująca pracę partii komunistycznych na świecie) był to jawny akt zdrady, obie strony konfliktu – Piłsudskiego i tzw. rząd Chjeno-Piasta – postrzegano bowiem jako „obozy faszystowskie”, wrogie hasłom marksizmu-leninizmu. Co więcej, Stalin rozprawiał się wówczas ze swoim największym wrogiem, Lwem Trockim, tropiąc jego stronników w szeregach Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i partii satelickich – również KPP. Tu zaś pierwszoplanową rolę zaczął odgrywać Leszczyński-Leński.

Lider „mniejszościowców” utrzymywał kontakt z KPRP od chwili jej powstania, w dalszym ciągu przebywając w Kraju Rad. Wewnątrzpartyjne spory wykorzystał do zbudowania własnej pozycji i przejęcia władzy, co nastąpiło dość szybko. Podczas IV Konferencji KPP w 1925 r. wybrano go do KC, a dwa lata później, na IV Zjeździe, był już faktycznym przywódcą „mniejszości”, frakcji wiernej linii stalinowskiej. Z namaszczenia Kominternu 25 czerwca 1929 r. został sekretarzem generalnym KC KPP. Funkcję tę pełnił do końca istnienia... swojego i partii.

Wydawać by się mogło, że roszady personalne i oddanie władzy bezgranicznie lojalnym „mniejszościowcom” zadowolą Stalina. Nic bardziej mylnego. Dała o sobie znać obsesja szpiegostwa i poszukiwania „wrogów ludu”, choć w przypadku polskich towarzyszy argumentów dostarczali oni sami. Jak zauważył Nikołaj Iwanow, badacz ludobójstwa Polaków w Związku Sowieckim: „Zniszczenie polskiego komunizmu w ZSRS ułatwiała [...] bardzo istotna okoliczność: konfliktom w KPP towarzyszyła niezwykle ostra retoryka dyskusyjna, bardzo często ze wzajemnym oskarżaniem

się o najcięższe przewinienia, ze zdradą i szpiegostwem włącznie. Cały ten brud wzajemnych oskarżeń, kajania się i bezpodstawnych świadectw obficie wylewał się na strony polskiej prasy sowieckiej¹. Podejrzani byli wszyscy – niezależnie od frakcji i stopnia sowietyzacji; aresztowań dokonywano już z początkiem lat trzydziestych (m.in. w sierpniu 1933 r. zatrzymano Jerzego Czeszejkę-Sochackiego, przedstawiciela KPP przy Komitecie Wykonawczym Kominternu). Ostateczną decyzję o rozwiązaniu polskiej kompartii („z powodu jej zaśmiecenia szpiegami i prowokatorami”) Międzynarodówka Komunistyczna podjęła 16 sierpnia 1938 r. Wcześniej projekt uchwały zaakceptował Stalin. „Z rozwiązaniem spóźniliście się o dwa lata – pisal. Rozwiązać trzeba, ale ogłaszać w prasie – moim zdaniem – nie należy”².

Leszczyński-Leński został aresztowany w czerwcu 1937 r. w Moskwie – dwa miesiące przed wydaniem rozkazu nr 00485! Oskarżono go o współpracę z polskim wywiadem oraz udział w organizacji „szpiegowsko-terrorystycznej” i już 21 września skazano na karę śmierci (wyrok wykonano natychmiast). Ten sam los spotkał pozostałych: partyjne „doły” i gremium kierownicze, „mniejszość” i „większość” (rozstrzelano grupę 3 W).

W zeznaniach składanych NKWD Leński „potwierdził”, że w działalność szpiegowsko-terrorystyczną byli zaangażowani, prócz niego, inni polscy komuniści. Zdraycy mieli opanować zarówno szeregi KPP, jak i ogniwa partii sowieckiej. Padło wówczas nazwisko Józefa Unszlichta, weterana komunizmu i przyjaciela Leńskiego z okresu rewolucji.

Unszlicht – stary bolszewik

Należący do tzw. starych bolszewików Unszlicht był o dziesięć lat starszy od swego kamrata. Urodził się 19 listopada 1879 r. w Mławie, w spolonizowanej rodzinie żydowskiej. Jego młodszy brat Julian, po uzyskaniu dyplomu i przygodzie z SDKPiL, wyemigrował do Francji, gdzie został księdzem; siostry, Zofia i Stefania, poszły w ślady starszego z braci, agitując na rzecz „czerwonej” Polski (notabene, obie aresztowano w okresie czystek). Sam Unszlicht wstąpił do SDKPiL w 1900 r. Więziony w słynnym X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej i zesłany do carskiej Rosji, podobnie

¹ N. Iwanow, *Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina – „operacja polska” 1937–1938*, Kraków 2014, s. 210.

² H. Cimek, *Komuniści – Polska – Stalin (1918–1939)*, Białystok 1990, s. 123.



Józef Unszlicht, 1935 r. Fot. Wikimedia Commons

jak Leński znalazł swoje miejsce u boku Lenina. Począwszy od 1917 r. był m.in. członkiem Rewolucyjnej Rady Wojennej oraz Kolegium Czeki, a także współorganizatorem oddziałów Armii Czerwonej na Litwie i Białorusi. W czasie wojny polsko-bolszewickiej współtworzył marionetkowy Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, który z chwilą upadku Warszawy miał obwieścić narodziny Polskiej Republiki Rad. Unszlicht w Komitecie zajmował się sprawami partyjnymi, oddając pierwszeństwo bardziej „zasłużonym” kolegom – Julianowi Marchlewskiemu (współzałożycielowi SDKPiL, formalnemu przewodniczącemu) i Feliksowi Dzierżyńskiemu

(twórcy Czeki, faktycznemu liderowi zdradzieckiego komitetu). Nie przewidywali oni, że historia Polrewkomu dobiegnie końca ledwie po miesiącu funkcjonowania.

Po powrocie do Moskwy, w 1921 r., Unszlicht awansował na wiceszefa Czeki. Odpowiadał za wywiad i funkcjonowanie siatek szpiegowskich w państwach zachodnich, m.in. w ramach operacji „Trust” – prowokacji polegającej na stworzeniu fikcyjnego ośrodka opozycji antybolszewickiej, celem rozbicia jej rzeczywistych struktur (głównie na emigracji). Ponadto zainicjował budowę Obozu Specjalnego Przeznaczenia na Wyspach Sołowieckich (SŁON), będącego w latach dwudziestych największym obozem pracy w ZSRS i symbolem martyrologii tysięcy ludzi. Zastępcą Dzierżyńskiego pozostał do 1923 r., pełniąc w kolejnych latach wiele intratnych funkcji, w zależności od partyjnych upodobań.

Unszlichta aresztowano 11 czerwca 1937 r. W przeddzień „operacji polskiej” NKWD miało więc w rękach szefa KPP oraz najwyżżej postawionego w sowieckiej nomenklaturze komunistę polskiego pochodzenia. Przypadek tego drugiego był jednak szczególny.

Z końcem lat dwudziestych organy bezpieczeństwa nasiliły represje wobec Polaków żyjących w Związku Sowieckim. Miało to związek z tzw. sprawą POW. Wskazanym osobom imputowano szpiegostwo na rzecz Polskiej Organizacji Wojskowej, która – mimo że w okresie I wojny światowej i późniejszym faktycznie posiadała ośrodki w Moskwie czy Petersburgu – teraz służyła jedynie za *casus belli* przeciwko polskiej mniejszości. Co ważne, pod ostrzałem znaleźli się polscy komuniści piastujący różne posady w aparacie partyjno-państwowym. W postanowieniu Biura Politycznego KC WKP(b) z maja 1934 r. czytamy: „Zezwolić OGPU [Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny, powstały w miejsce Czeki] wykonywać wyroki w stosunku do przywódców wykrytej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) oraz prowokatorów z Komunistycznej Partii Polski”³. To jednak nie wystarczyło. Trzy lata później sprawa POW stała się kanwą rozkazu nr 00485, kreując mit Polaka – również komunisty – jako wroga wewnętrznego. Jeżow przekonywał: „[...] głównym zadaniem organów GUGB [Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, następcy OGPU] na dzień dzisiejszy jest rozbicie działalności antysowieckiej wywiadu polskiego i całkowita likwidacja nietkniętego do tej pory szerokiego, dywersyjno-powstańczego zaplecza POW i podstawowych ludzkich rezerw wywiadu polskiego w ZSRS”⁴.

Domniemanym szefem POW w ZSRS miał być nie kto inny jak... Unszlicht. Wskazał na niego m.in. Leński, „dodając” przy tym, że do POW należało 90 proc. delegatów na VI Zjazd KPP (październik 1932 r.). Współpraca Unszlichta z polskim wywiadem miała z kolei trwać nieprzerwanie od 1918 r. „W okresie całego 1917 r. – informowano w tajnym piśmie do rozkazu nr 00485 – członkowie centralnego kierownictwa »POW« przebywający wtedy w Moskwie i Piotrogradzie [...] wciągnęli w szeregi »POW« wielu polskich socjaldemokratów i członków PPS-Lewicy, którzy później przeniknęli na wysokie stanowiska w sowieckim aparacie państwowym: UNSZLICHT (były zastępca przewodniczącego OGPU i RWS [Rewolucyjna Rada Wojskowa]), LESZCZYŃSKI (sekretarz KC Komunistycznej Partii Polski) [...] i WIELU innych, którzy w 1918 r. założyli moskiewskie

³ *Wielki Terror: operacja polska 1937–1938*, oprac. zbiorowe, Warszawa – Kijów 2010, t. 1, s. 79.

⁴ *Rozkaz operacyjny nr 00485 Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS N. Jeżowa*, [w:] *ibidem*, s. 259.

centrum »POW« i zarządzali działalnością »POW« na terytorium ZSRS⁵. Ponadto zarzucono Unslichowi odpowiedzialność za porażkę w wojnie 1920 r. („przekazał Polakom plan natarcia na Warszawę”), spiskowanie z Michaiłem Tuchaczewskim („[porozumieli się] co do wspólnych działań, ukierunkowanych na likwidację władzy sowieckiej”), dywersję gospodarczą, „sekciarstwo” oraz infiltrację i rozbitcie – wspólnie z Leszczyńskim-Leńskim – KPP. „Ostatnimi laty – czytamy dalej – wszystkie starania warszawskiego i moskiewskiego centrum »POW« w stosunku do ich pracy wewnątrz Komunistycznej Partii Polski były ukierunkowane na zniszczenie frontu ludowego w Polsce i – przede wszystkim – wykorzystanie komunistycznej partii do antysowieckich działań w czasie wojennego napadu Polski na ZSRS. W tym kierunku UNSZLICHT i LESZCZYŃSKI prowadzili specjalną pracę nad wykorzystaniem partyjnych kanałów dla służb łączności polskiego wywiadu w czasie wojny [i] rozpracowali plan licznych politycznych akcji prowokacyjnych⁶.”

Jeśli wierzyć przekazom, były czekiista twardo zaprzeczał oskarżeniom i nie poszedł na współpracę z „nowymi” służbami. Nie pomogły nawet osobiste polecenia Stalina, jak te z września 1937 r, kiedy grzmiał: „Zbijcie Unslichta za to, że nie wydał agentów polskich w obwodach (Orenburg, Nowosybirsk itd.)⁷”. W efekcie zrezygnowano z procesu pokazowego i 28 lipca 1938 r. przy drzwiach zamkniętych orzeczono karę śmierci. Dzień później Unslicht został rozstrzelany na terenie obiektu NKWD Butowo-Kommunarka.



Stanisław Kosior. Fot. Wikimedia Commons

lucena Stalina, jak te z września 1937 r, kiedy grzmiał: „Zbijcie Unslichta za to, że nie wydał agentów polskich w obwodach (Orenburg, Nowosybirsk itd.)⁷”. W efekcie zrezygnowano z procesu pokazowego i 28 lipca 1938 r. przy drzwiach zamkniętych orzeczono karę śmierci. Dzień później Unslicht został rozstrzelany na terenie obiektu NKWD Butowo-Kommunarka.

Kosior – gensek Ukrainy

Wśród komunistów polskiego pochodzenia byli też tacy, którzy z gorliwością i wręcz fanatycznym zaangażowaniem prześladowali swoich rodaków. Modelowym przykładem jest

⁵ *Uzasadnienie rozkazu nr 00485*, [w:] T. Sommer, *Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938. Dokumenty z centrali*, Warszawa 2010, s. 93–95.

⁶ *Ibidem*, s. 119.

⁷ N. Iwanow, *Zapomniane ludobójstwo...*, s. 273.

I sekretarz partii komunistycznej na Ukrainie – Stanisław Kosior. Ostatecznie i jego samego dosięgły kule enkawudzistów.

Przyszły gensek urodził się 18 listopada 1889 r. w Węgrowie (wówczas gubernia siedlecka). Gdy był jeszcze chłopcem, rodzina przeniosła się „za chlebem” do Sulina, jednego z ośrodków Donieckiego Zagłębia Węglowego. Po ukończeniu szkoły zawodowej młody Kosior pracował jako ślusarz. Zapisał się do Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (SdPRR). Zaangażowany w działalność wywrotową, podróżował po Ukrainie, a nawet dotarł do Moskwy. W 1915 r. został zesłany na Syberię. Dwa lata później pojawił się w Piotrogradzie, gdzie stanął na czele bolszewickiego skrzydła SdPRR. Śladem polskich współtowarzyszy, na fali październikowego przewrotu obejmował co rusz nowe „posady”, aż w 1925 r. został sekretarzem KC WKP(b). Usłużny Stalinowi, trzy lata później otrzymał stanowisko sekretarza generalnego Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy – KP(b)U.

Przez kolejne dziesięciolecie Kosior rządził ukraińską republiką, budując, na podobieństwo wodza narodu, własny kult jednostki. Ulice, szkoły, fabryki, nawet rozgłośnia radiowa – wszędzie „utrwalano” jego imię. Jednocześnie posłuszenie wypełniał zarządzenia „góry”. Te zaś były straszliwe. Hekatombą okazała się polityka przymusowej kolektywizacji rolnictwa, którą w 1929 r. rozpoczęto w ZSRS. W połączeniu z akcją „rozkułaczania” i konfiskatą zboża, kolektywizacja doprowadziła w latach 1932–1933 do klęski głodu, powodując śmierć co najmniej 6 mln ludzi, w tym ok. 3,5 mln na terenie Ukraińskiej SRS (USRS). W tym czasie Kosior bezwzględnie realizował nakazy Stalina (m.in. tzw. dekret o pięciu kłosach, przewidujący karę łągru lub śmierć za kradzież plonów), stając się współodpowiedzialnym tragedii *Hołodomoru*.

Z nadejściem Wielkiego Terroru nikt nie mógł czuć się bezpiecznie – nawet najwyżsi rangą komuniści. Doskonale wiedział o tym Kosior, który od 1930 r. zasiadał w Biurze Politycznym KC WKP(b). Stalin kierował do niego zastrzeżenia związane z procesem kolektywizacji (!), wobec czego należało „odkupić winę” w kolejnej fazie represji. W 1934 r. gensek USRS – wspólnie z NKWD – przystąpił do masowych przesiedleń polskiej ludności z terenów przygranicznych. Tysiące ludzi deportowano w stronę Donbasu i Kazachstanu. Zlikwidowano Marchlewszczyznę (polski rejon autonomiczny na Ukrainie), zamknięto polskie szkoły i ośrodki, a podejrzanych o działalność szpiegowską

aresztowano. Antypolskie prześladowania przypieczętował rozkaz nr 00485, zatwierdzony m.in. przez Kosiora (jako członka politbiura).

W styczniu 1938 r. Kosior został wezwany do Moskwy, gdzie otrzymał stanowisko wiceprzewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych. Pomimo awansu, z tygodnia na tydzień jego pozycja w hierarchii słabła. W kwietniu aresztowano jego młodszego brata Kazimierza, zastępcę ludowego komisarza przemysłu leśnego USRS. W liście skierowanym do Stalina starszy Kosior odciął się od brata, przekonując, że nie miał pojęcia o jego wyrotowych działaniach. Jednocześnie zapewniał o swojej wierności partii i wodzowi. Na próżno – 3 maja 1938 r. NKWD aresztowało Stanisława Kosiora, a Jeżow skierował nań ostrze najcięższych zarzutów, obejmujących m.in. kierowanie POW na Ukrainie i celowe wywołanie „sztucznego głodu” (na polecenie polskiego wywiadu!).

Podobnie jak Unszych, Kosior przez długi czas pozostawał nieugięty, mimo tortur i brutalności śledczych. Załamał się i przyznał do wszystkiego w chwili, gdy na jego oczach funkcjonariusze zgwałcili jego szesnastoletnią córkę Tamarę⁸. Represjom poddano też dalszą część rodziny – rozstrzelano żonę Elżbietę i trzech braci Kosiorów. Wyrok na byłym prominencie wykonano 26 lutego 1939 r. Nikita Chruszczow – następca Kosiora na stanowisku szefa KP(b)U – pisał we *Wspomnieniach*: „Gdy Kosior został wezwany na powrót do Moskwy, nagle, niedługo później, rozgłośnia radiowa, która wcześniej nosiła jego imię, przestała być tak nazywana [...]. Był to sygnał, że Kosior już nie żyje”⁹.

W latach pięćdziesiątych ten sam Chruszczow zrehabilitował Kosiora, Leńskiego i Unslichta jako „ofiary stalinowskich wypaczeń”. Paradoksalnie więc przywracano pamięć o ludziach, którzy „wypaczenia” współtworzyli. Za każdą cenę! ■

⁸ Po wyjściu na wolność córka Kosiora popełniła samobójstwo, rzucając się pod pociąg. Zob.: R. Medvedev, *Let History Judge. The origins and consequences of stalinism*, New York 1989, s. 490.

⁹ N. Krushchev, *Memoirs*, vol. I: *Commissar (1918–1945)*, Pennsylvania 2005, s. 182.



Dawid Zagził (ur. 1988) – historyk, pracownik Delegatury IPN w Olsztynie.

Henryk Stroński

Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie

Ukarana Marchlewszczyzna

Zorganizowanie w 1925 r. we wschodniej części Wołynia polskiego rejonu autonomicznego było jednym z istotnych elementów sowieckiej polityki narodowościowej. Tworzono na tym terenie szkolnictwo polskie, wydawano gazety i książki polskojęzyczne, wydzielono narodowościowe rady wiejskie w polskich wsiach, powołano polskie biura przy komitetach partyjnych, polskie kluby robotnicze i inne instytucje kulturalno-oświatowe. Paradoksalnie, wszystko to miało na celu sowietyzację polskiej ludności w ZSRS. Gdy plan się nie powiódł, miejscowych Polaków poddano straszliwym represjom.

Większość ludności Marchlewszczyzny (ok. 90 proc.) to potomkowie drobnej szlachty wołyńskiej. W przeszłości byli oni dzierżawcami niedużych gospodarstw rolnych i cieszyli się przywilejami stanowymi. Znaczna część tej ludności przybyła tu z centralnej Polski, Galicji, Litwy i Białorusi w XVIII w., ale największa – w XIX w. Została ona sprowadzona przez miejscowe rody magnackie Ilińskich, Steckich, Rzewuskich oraz innych właścicieli ziemskich. Wielu przybyszów zatrudniono do produkcji potasu i porcelany lub w hutach szkła, smolarniach, tartakach. Na początku XIX w. były to na Wołyniu dość częste zajęcia, oprócz dominującego rolnictwa.

Polski Rejon Narodowościowy im. Juliana Marchlewskiego na Ukrainie (1925–1935)



Ludność (stan na 1 stycznia 1932 r.) – 49,4 tys. (Polaków – 68,9 proc., Ukraińców – 19,2 proc., Niemców – 8,7 proc., Żydów – 2,5 proc., Rosjan – 0,4 proc., inni – 0,3 proc.)

Terytorium – 856,4 km. kw

Rady wiejskie – 38 (34 polskie, 2 niemieckie, 2 ukraińskie)

Polski rejon narodowościowy z centrum w Marchlewsku (do 1926 r. Dołbysz), nazywany potocznie „Marchlewszczyzną”, znajdował się niedaleko granicy państwowej z Polską i w zamierzeniu bolszewików miał odgrywać ważną rolę propagandowo-polityczną w oddziaływaniu na mieszkających po drugiej stronie Polaków. Na początku do rejonu siano znaczne środki finansowe na rozwój infrastruktury – na budownictwo obiektów administracyjnych i socjalnych, dróg, telefonizację. W tym czasie największym osiągnięciem był rozwój sieci szkół i innych obiektów kulturalno-oświatowych. Według stanu na 1 stycznia 1932 r., w polskim rejonie było 78 szkół, w tym 55 polskich, w których pracowało ponad 280 nauczycieli. Rejon stał się

chlubą komunistycznych emigrantów z Polski. Wielu z nich zatrudniono na odpowiedzialnych stanowiskach i wiązano z nimi daleko idące plany polityczne. Inny rejon polski, tzn. Dzierżyńszczyzna, istniał na Białorusi w latach 1932–1938. Na Ukrainie w 1932 r. były 22 podobne rejony narodowościowe. Marchlewszczyzna była jednym z największych pod względem terytorium (kilkaset km kw.) i ludności (w szczytowym okresie ponad 50 tys. mieszkańców).

Od 1933 r. sytuacja rejonu polskiego zaczęła się radykalnie pogarszać w związku ze zmianami polityki narodowościowej bolszewików – odejściem od poprzedniego liberalnego kursu społeczno-gospodarczego i umocnieniem dyktatorsko-totalitarnych porządków Józefa Stalina. Pewien wpływ na zmianę stosunku władz bolszewickich do Polaków, w tym do mieszkańców Marchlewszczyzny, mogło mieć fiasko dotychczasowej polityki, uwidaczniające się w utrzymującym się krytycznym nastawieniu Polaków do kolektywizacji i innych przedsięwzięć bolszewików, ich ucieczkach do Polski, a nawet w otwartych zbrojnych buntach i wystąpieniach w przygranicznych wsiach. Władzom bolszewickim nie udawało się z miejscowych Polaków pozyskiwać oddanych adeptów swojej polityki. Ludność polska na Marchlewszczyźnie trwała w mocnym przywiązaniu do tradycji narodowo-katolickich. Nastroje mieszkańców Polskiej Republiki Rad, jak nieco wcześniej nazywano Marchlewszczyznę w prasie komunistycznej, zupełnie nie odpowiadały założeniom jej twórców.

Na początku lat trzydziestych władze centralne po raz pierwszy uderzyły w Polaków. Usunięto bowiem z Marchlewszczyzny trzysta rodzin, tzw. polski i kułacki element kontrrewolucyjny, w ramach „likwidacji kułactwa jako klasy”. Jednocześnie wszczęto tam akcję osiedlania ludności niepolskiej, bardziej oddanej i pewnej pod względem politycznym.

Sytuację komplikowały także czynniki międzynarodowe. Perspektywa wszechświatowej rewolucji komunistycznej, m.in. w sąsiedniej Polsce, na co liczone przy organizacji Marchlewszczyzny („przyczółka Polski komunistycznej”, „kuźni polskiej kadry sowieckiej”), stawała się coraz mniej realna. Wywrotowe działania sowieckich agentów i wysłanników Międzynarodówki Komunistycznej w Polsce zostały udaremnione. Pogarszające się stosunki między ZSRS a II Rzeczpospolitą oraz chwilowe zbliżenie jej z Niemcami też pogłębiały negatywny stosunek Stalina do Polaków, szczególnie mieszkających w przygranicznych rejonach Kraju Rad.

1-szy Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Włościańskich

REJONU POLSKIEGO

imienia JULJANA MARCHLEWSKIEGO na Wołyniu.



30 marca 1926 r. zakończył swą pracę 1-szy Zjazd Rad Dołbyszańskiego rejonu polskiego.

Rejon ten został utworzony przez Władzę Radziecką we wrześniu 1925 roku ze wsi z ludnością polską.

Urzędowym językiem w tym rejonie jest język polski.

Pierwszy Zjazd Rad jednogłośnie postanowił nazwać rejon polski imieniem Juliana Marchlewskiego, który był założycielem Komunistycznej Partii Polski i wodzem polskich mas pracujących w ich walce przeciw burżuazji i obszarnikom.

Na fotografii, prócz delegatów z miejscowych wsi i fabryk, widzimy gości z Kijowa, Charkowa, Moskwy i innych miejscowości.

W środku grupy siedzą: 1) tow. FELIKS KON—przedstawiciel Komitetu Centralnego Wszeczwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików i Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Polski, 2) tow. B. SKARBEK—członek Wszeczwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad, 3) tow. SUMCOW—przewodniczący Komitetu Wykonawczego okręgu Żytomierskiego, 4) tow. OŁDAKOWSKI—przewodniczący Komitetu Wykonawczego rejonu polskiego, 5) tow. DZIERŻYŃSKA—kierownik Biura Polskiego Komitetu Centralnego Wszeczwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików, 6) tow. ŁAZOWERT—kierownik Biura Polskiego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy, 7) tow. STRUSIŃSKI—sekretarz Komitetu Partyjnego rejonu polskiego, 8) tow. SZMIDT—przedstawiciel polskiej ludności pracującej na Berdyczowszczyźnie.

Kijowski Okręgit № 16307.

Dodatek do № 16 „SIERPA”

„Kijew-Pieczat”, 4-ła druk. Zam. № 2986—4.500.

Delegaci I Zjazdu Rad Dołbyszańskiego Rejonu Polskiego. W środku pod nr. 1 siedzi Feliks Kon, a oznaczona nr. 5 — Zofia Dzierżyńska. Skan z gazety „Sierp” 1926, nr 10.



Porcelana produkowana w Marchlewsku. Fot. ze zbiorów autora

Kolektywizacja, głód, deportacje

Proces kolektywizacji w ZSRS, a Marchlewszczyzna nie była wyjątkiem, przybrał bardzo drastyczne formy. Towarzyszyły mu bezprawie i przemoc w stosunku do mieszkańców wsi. Gospodarstwa najpierw obkładano wysokimi podatkami pieniężnymi na rzecz państwa, a przy odmowie wstąpienia do kolchozu dokonywano „rozkułaczenia” – zabierano gospodarzom ziemię i wysyłano ich na Północ, na Syberię lub Ural, do obozów pracy. We wsi Pokostówka rozkułaczono ponad dziesięć rodzin. Okazało się, że „wszystkich mężczyzn z tych rodzin wysłano poza obręb okręgu”, czyli aresztowano i skierowano do więzień, gułagów, do budowy kanałów czy wyrębu lasów. Kobiety z dziećmi zostawiono na miejscu, bez dachu nad głową, bez jedzenia i środków do życia („wałęsają się po wsiach i opowiadają w szczegółach przebieg rozkułaczenia”).

Wzrastający opór ludności wiejskiej w przygranicznych wsiach Ukrainy zaniepokoił Stalina, który obawiał się wykorzystania tych zamieszek przez II Rzeczpospolitą i ukraińską emigrację polityczną. Do stłumienia oporu wysłano wojska OGPU. Aktywnych uczestników, zwłaszcza narodowości polskiej, wysiedlono. Z dokumentów archiwalnych dowiadujemy się, że zdesperowana ludność uciekała się do pogroźek: „Spalimy kołchoz i uciekniemy do Polski”, „Precz z władzą sowiecką, niech żyje Polska!”.

Kolektywizacja, poza wymienionymi negatywnymi zjawiskami,niosła w konsekwencji śmierć głodową wielu ludzi. Ta zbrodnia systemu stalinowskiego wobec własnych obywateli, zwana Wielkim Głodem w latach 1932–1933, nie ominęła także mieszkańców polskiego rejonu. Oprócz przymusowej kolektywizacji władze posunęły się do odbierania zboża i innych produktów rolnych oraz całkowitego ogołocenia chłopów. W krytycznym momencie Wielkiego Głodu, 10 marca 1933 r., odnotowano, że w rejonie marchlewskim głodowało (spuchnięci i wyczerpani) 654 dorosłych i 1106 dzieci. Badacze Wielkiego Głodu po udostępnieniu zasobów archiwalnych i zebraniu świadectw starszych ludzi sporządzają ciągle jeszcze niepełne zestawienia liczbowe, a także tworzą listy nazwisk ofiar tej tragedii na sowieckiej Ukrainie. Zgodnie z tymi danymi we wsiach niegdyś należących do Marchlewszczyzny z głodu umarło 348 osób.

Polacy z zachodnich regionów sowieckiej Ukrainy jako jedna z pierwszych grup narodowościowych doświadczyli deportacji z miejsc zamieszkania. Na początku kolektywizacji usuwano ich i inną ludność z przygranicznych rejonów na podstawie zarzutów klasowo-politycznych (rodziny „kułacko-kontrrewolucyjne”). W latach 1935–1936 po raz pierwszy zaczęto przesiedlać ich na wschód i do Kazachstanu ze względu na jej narodowościowe pochodzenie.

Przystąpienie do realizacji tego planu było podyktowane wciąż rosnącą podejrzliwością władz w stosunku do Polaków, a także dążeniem do zabezpieczenia zachodnich rubieży państwa bolszewickiego. To ostatnie było związane z budowaniem tzw. Linii Stalina – obronnych obiektów fortyfikacyjno-inżynierskich wzdłuż granicy z Polską i Rumunią. Nie bez wpływu na losy Marchlewszczyzny była budowa 7. Rejonu Umocnionego w okolicach Nowogrodu Wołyńskiego. Niektóre jego elementy znajdowały się blisko polskiego rejonu lub nawet w jego zachodniej części. Sowiecki kontrwywiad dążył do zapewnienia tajności przed-

» **Władzom bolszewickim nie udawało się z miejscowych Polaków pozyskiwać oddanych adeptów swojej polityki. Ludność polska na Marchlewszczyźnie trwała w mocnym przywiązaniu do tradycji narodowo-katolickich.** »

sięwzięcia – zakładano prowizoryczne obiekty i stosowano maskowanie z zamiarem wprowadzenia w błąd domniemyanych wrogów. Temu celowi miało służyć wysiedlenie ludności polskiej i niemieckiej mieszkającej blisko obiektów obronnych.

W styczniu 1935 r. Komitet Centralny Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy oraz rząd republiki podjęły decyzję o wysiedleniu 8,3 tys. gospodarstw z 24 przygranicznych rejonów (w tym z Marchlewszczyzny) oraz osiedleniu tam 4 tys. gospodarstw „lepszych kolchoźników z obwodów kijowskiego i czernihowskiego”. Wśród wysiedlonych znalazło się 2866 polskich rodzin i 1903 niemieckie. W nowym miejscu, na wschodzie Ukrainy, osiedlano ich w chatach ukraińskich chłopów, zmarłych z głodu w latach 1932–1933. Jak wynika z zachowanych dokumentów, wiosną 1935 r. z Marchlewszczyzny wysiedlono 1188 rodzin, co obejmowało ok. 5,7 tys. osób. Między 30 września a 3 października 1935 r. deportowano z Marchlewszczyzny jeszcze 306 rodzin, w tym 287 rodzin Polaków. Rejon opuściło tym razem 1668 osób – 432 mężczyzn, 468 kobiet oraz 768 dzieci. W rezultacie w 1935 r. do obwodów charkowskiego, dnipropietrowskiego i donieckiego przesiedlono prawie 1,5 tys. rodzin (7,3 tys. osób). Zdecydowaną większość z nich stanowili Polacy. W tym samym czasie na Marchlewszczyznę sprowadzono około tysiąca rodzin ukraińskich, które cechowała lojalność wobec władzy sowieckiej. Co ważne, byli wśród nich mężczyźni, którzy służyli wcześniej w Armii Czerwonej.

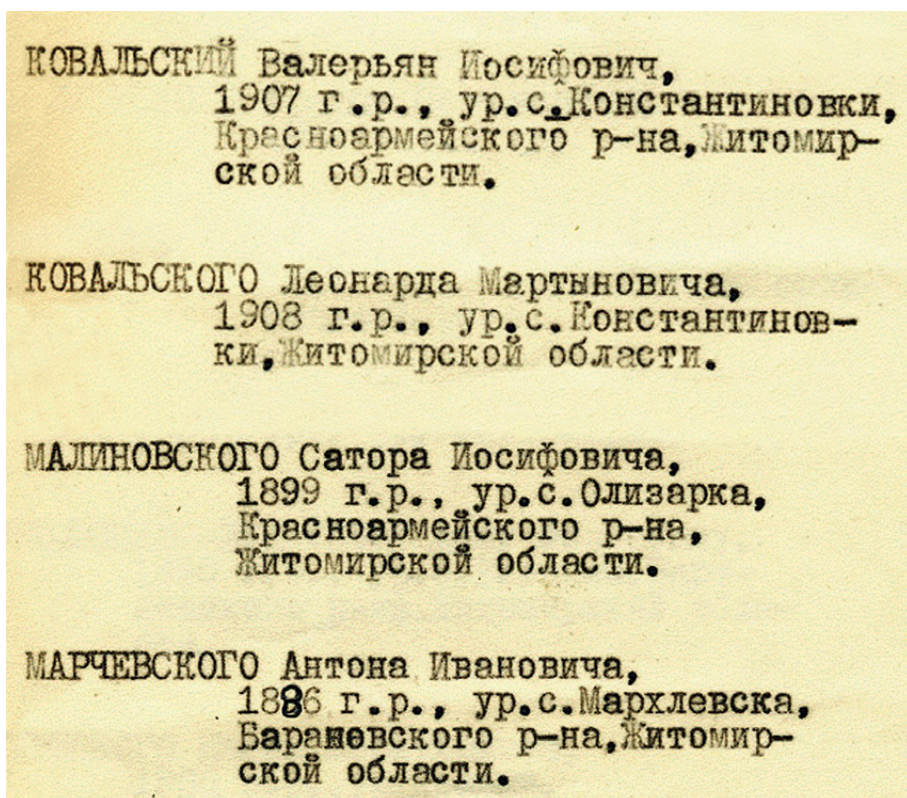
Po usunięciu z polskiego rejonu Polaków i osiedleniu na ich miejsce Ukraińców jego status narodowościowy stawał się nieaktualny. Tym bardziej że także z kierownictwa Marchlewszczyzny usuwano Polaków. 3 października 1935 r. w prasie opublikowano rozporządzenie centralnej władzy Ukrainy o likwidacji rejonu marchlewskiego.

Deportacja Polaków i Niemców do Kazachstanu została przeprowadzona w dwóch rzutach – na początku lata i jesienią 1936 r. Szef NKWD Ukrainy Wsiewołod Balicki 29 września 1936 r. raportował najwyższemu kierownictwu politycznemu republiki o deportacji 11 494 rodzin polskich i 3506 niemieckich

(w sumie 69 977 osób). Przy typowaniu do wywózek do Kazachstanu konkretnych rodzin rejonowym organom NKWD nakazywano zająć się: „oczyszczeniem wsi bezpośrednio przylegających do obiektów wojskowo-obronnych”; „oczyszczeniem wsi z polsko-niemieckiego elementu kontrewolucyjnego, obciążonych zagranicznymi kontaktami”; „oczyszczeniem wsi byłego rejonu Marchlewskiego, bez miary naszpikowanego elementami kontrewolucyjnymi”.



Książka wymeldowania Polaków ze wsi d. Marchlewszczyzny w związku z deportacjami do Kazachstanu w 1936 r. Fot. ze zbiorów Stefana Kuriaty



Fragment zatwierdzonej 18 października 1937 r. przez komisarza ludowego NKWD Nikołaja Jeżowa oraz prokuratora generalnego ZSRS Andrieja Wyszynskiego listy Polaków z Marchlewszczyzny przewidzianych do rozstrzelania w ramach „operacji polskiej”. Fot. ze zbiorów autora

Wielki Terror

Mimo likwidacji polskiego rejonu i masowych deportacji mieszkańców poza jego obręb, stalinowskie organa bezpieczeństwa kontynuowały ostre represje wobec pozostających tam jeszcze Polaków. Szczególnie nasiliły się one w latach Wielkiego Terroru 1937–1938. NKWD posłużyło się prowokacją, używając zarzutu o rzekomej działalności Polskiej Organizacji Wojskowej.

Represje skierowano przede wszystkim wobec dawnego kierownictwa polskiego rejonu i nauczycieli. Nie uniknęli ich też zwykli robotnicy, kolchoźnicy, gospodarze indywidualni, a nawet gospodynie domowe.

W nowo utworzonym obwodzie żytomierskim (wrzesień 1937 r.), do którego należały wsie dawnej Marchlewszczyzny, od 18 października 1937 r.

do 16 marca 1938 r. represjonowano 7993 osoby po tzw. polskiej linii, z których 7113 skazano na karę śmierci, 880 – pozbawienia wolności – od pięciu do dziesięciu lat łagrów. Warto zaznaczyć, że spośród skazanych na karę śmierci 5882 zostało rozstrzelanych w Żytomierzu, 18 zmarło w więzieniu, a pozostałych rozstrzelano w Berdyczowie.

Eskalacja antypolskich represji trwała do listopada 1938 r. W Żytomierzu od 20 września do 3 listopada 1938 r. skazano jeszcze 4203 osoby, w tym 4165 na karę śmierci. W tym końcowym okresie antypolskich represji dla zwiększenia liczby skazanych, czego wymagało kierownictwo NKWD w Moskwie i Kijowie, szeroko stosowano sprawy grupowe. Wszystkie one dotyczyły mieszkańców wsi dawnego polskiego rejonu. 22 września 1938 r. decyzją „trójki” NKWD obwodu żytomierskiego skazano na rozstrzelanie stuosobową grupę członków tzw. wołyńskiego centrum POW. Wyrok został wykonany 28 września.

Następnego dnia w Żytomierzu w podobny sposób pod identycznymi zarzutami rozstrzelano studwudziestodzieciuosobową grupę Polaków. Większość ofiar była mieszkańcami dawnej Marchlewszczyzny. Na czele tej domniemanej organizacji POW mieli stać: Ilija Piskorski – były ostatni zastępca rejonowej rady wykonawczej polskiego rejonu, Konstanty Wiśniewski – prezes rady wiejskiej z Marianówki, Konstanty Janczewski – pracownik huty szkła w Bykówce, Stanisław Kotwicki – leśniczy ze wsi Siaberka, Bolesław Żarski – kołchoźnik ze wsi Turowa, Józef Orczyński – pracownik rady miejskiej w Marchlewsku.

Aresztowanych Polaków fałszywie oskarżono o „przygotowanie powstania w momencie napadu Polski i innych państw kapitalistycznych na ZSRS”, „prowadzenie kontrrewolucyjnej agitacji antysowieckiej, polegającej na szkoleniu polityki partii komunistycznej i wychwalaniu Polski” itp. Tak jak w innych podobnych wypadkach w czasach Wielkiego Terroru, wszystkie ofiary „przyznały się” do winy, ale żadnych obiektywnych i przekonujących dowodów ich działań przestępczych w zachowanych sprawach śledczych nie wymieniono.

Kulisy prowokacji sowieckich służb bezpieczeństwa związane z POW zostały ujawnione dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX w. Ówczesne działania NKWD po wielu latach zakwalifikowano jako bezpodstawne, a wszystkie ich ofiary zostały zrehabilitowane.



Tablica pamiątkowa w kościele parafialnym w Dołbyszu z nazwiskami mieszkańców dawnego polskiego rejonu zamordowanych w latach 1935–1938. Fot. ze zbiorów autora

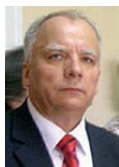
Cena polskości

Tragiczne doświadczenia Polaków z Marchlewszczyzny są wyjątkowe w dziejach martyrologii narodu polskiego. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie ludzie zapłaciliby tak wysoką cenę za to, że byli Polakami.

W ciągu wielu dziesięcioleci miejscowi Polacy byli skazani na niepamięć i wynarodowienie. Strach i wrogie nastawienie władzy nie pozwalały na chrześcijańskie uczczenie pamięci niewinnie pomordowanych. Ich potomkowie – znajdujący się dzisiaj w nieporównanie lepszych warunkach – pielęgnują swoje tradycje i usilnie odradzają polskość, za którą ojcowie i dziadkowie płacili poniewierką, cierpieniami, a nawet życiem. Nieocenione znaczenie ma różnorodna pomoc ze strony polskich instytucji państwowych i organizacji pozarządowych. W strasznych czasach stalinowskich państwo polskie nie było w stanie przyjść im z pomocą. Dziś powinno nadrobić tę zaległość. ■

BIBLIOGRAFIA

- Dönninghaus V., *W tieni „Bolszogo brata”*. Zapadnyje nacyonalnyje mieńszynstwa w SSSR 1917–1938 gg., Moskwa 2011.
- Iwanow N., *Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. Operacja polska 1937–1938*, Kraków 2014.
- Koprowski M., *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość*, Biały Dunajec – Ostróg 2014 (Biblioteka „Wołania z Wołynia”, t. 83).
- Kupczak J.M., *Polacy na Ukrainie w latach 1921–1939*, Wrocław 1994.
- Nikolśkij W., *Represywna dijalnist’ orbaniv derżawnoji bezpeky SRS w Ukraini (kineć 1920 – 1950-ti rr.)*. Istoryko-statystyczne doslidżennia, Donećk 2003.
- Polska droga do Kazachstanu. Materiały międzynarodowej konferencji naukowej*, Żytomierz, 12–14 października 1996 r., Warszawa 1998.
- Stroński H., *Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach 1929–1939*, Warszawa 1998.
- Stroński H., *Złet i padinnia. Polskij nacjonalnyj rajon w Ukraini u 20–30-ti roky*, Ternopil 1992.
- Wielki Terror. Operacja polska 1937–1938*, t. 1–2, Warszawa – Kijów 2010 („Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych”, t. 8).
- Żytomyrska obłast’*, kn. 1–6, Żytomyr 2006–2013 („Reabilitowani istorijeju u 27-i tomach”). *Nacjonalna knyha pamiaty żertw hołodomoru 1932–1933 rokiw w Ukraini. Żytomyrska obłast’*, Żytomyr 2008.



Henryk Stroński (ur. 1952) – historyk, prof. dr hab., prezes Stowarzyszenia Uczonych Polskich Ukrainy. Autor książek: *Złet i padinnia. Polskij nacjonalnyj rajon w Ukraini u 20–30-ti roky* (1992); *Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach 1929–1939* (1998) i in.



Oddział operacyjny NKWD wykonujący egzekucję w okolicach Dołbysza.
Fot. ze zbiorów Stefana Kurjata

Serhij Kokin

Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy

Zbrodniarze z NKWD przed sądem

Przypadek Żytomierza

Część funkcjonariuszy NKWD, którzy z wielkim zaangażowaniem brali udział w Wielkim Terrorze lat 1937–1938, niedługo później – w ramach tzw. Beriowskiej czystki – została oskarżona o to, że podczas represji dopuścili się „pogwałcenia socjalistycznej praworządności”. Byli wśród nich enkawudziści z obwodu żytomierskiego, odpowiedzialni za przeprowadzenie na tym terenie „operacji polskiej”.

Obwód ten został utworzony 22 września 1937 r., a już kilka dni później powstało UNKWD¹. Od 1 października 1937 r. naczelnikiem był Ławrientij Jakuszew (Babkin), który przedtem był zastępcą naczelnika UNKWD obwodu kijowskiego. Jego zastępcą został Grigorij Griszyn (Szenkman), były naczelnik III wydziału UNKWD obwodu odeskiego. Ten tandem powołał do życia narkom² spraw wewnętrznych Ukraińskiej SRS Izrail Leplewski.

Po tym jak 25 stycznia 1938 r. narkomem spraw wewnętrznych USRS został Aleksander Uspienski, nastąpiły poważne zmiany kadrowe. 26 lutego 1938 r. Jakuszew został zdjęty ze stanowiska i oddelegowany do Moskwy, a na jego miejsce powołano Grigorija Wiatkina. W kwietniu 1938 r. Griszyzna przeniesiono do Kijowa, do NKWD USRS. Zastępcą naczelnika UNKWD został Andriej Łukjanow, jednakże już 9 września 1938 r. przeniesiono go na nowe miejsce służby, do Odessy.

Obawiając się aresztowania, 14 listopada 1938 r. Uspienski uciekł z Kijowa i zaczął się ukrywać. Dwa dni później aresztowano Wiatkina. Śledczym udało się w krótkim czasie odtworzyć pełny obraz przestępstw w UNKWD. Obejmowały one m.in. bezpodstawne aresztowania niewinnych osób; bicie i torturowanie aresztowanych podczas śledztwa, co czasem kończyło się ich śmiercią; fałszowanie akt śledztwa, którego dopuszczali się sędziowie śledczy i kierownictwo UNKWD.

System zbrodni

Jak zeznawali świadkowie, przypadki nieludzkiego znęcania się nad aresztowanymi stały się częstsze po przybyciu do Żytomierza Griszyzna. Upowszechniły się one szybko w UNKWD i przybrały charakter systemowy. Inspiratorem wyjątkowo odrażających okrucieństw był naczelnik V wydziału Wasilij Lebiediew. Kiedy trzeba było zorganizować masowe egzekucje w UNKWD, Jakuszew powierzył to „staremu czekaście” Lebiediewowi. Przez ręce tego kata-fachowca od października 1937 r. do stycznia 1938 r. przeszły również ofiary „operacji polskiej”. Ich „skazanie” przez „najwyższą dwójkę” w osobie narkoma spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaja Jeżowa i prokuratora ZSRS Andrieja Wyszynskiego było przykładem

¹ UNKWD – Zarząd (lokalny, republikański) NKWD; ros. *управление*.

² Narkom (skrót od *narodnyj komissar*) – komisarz ludowy, w systemie sowieckim odpowiednik ministra.

dokonanego z premedytacją, biurokratycznie zorganizowanego masowego mordu. A wykonanie ich decyzji było już tylko koszmarnym finałem dramatu.

Odbywało się to z zachowaniem wszelkich formalności i sporządzaniem raportów. Na przykład raport z 1 listopada 1937 r. o wykonaniu decyzji owej „dwójki” zgodnie z protokołem nr 130 z 18 października 1937 r. zawierał listę 55 osób rozstrzelanych przez Lebediewa i komendanta UNKWD, Grigorija Timoszenkę. Za beznamiętnym raportem kryły się bestialskie pobicia i sadystyczne znęcanie się nad ludźmi skazanymi na śmierć. Często rozstrzeliwano ich dużymi partiami po 50–100, a nawet 200–250 osób. Ofiarom związywano ręce, ustawiano je w szeregu i tych na przedzie rozstrzeliwano na oczach pozostałych. Ludzie czekali na swoją kolejkę, słyszeli strzały i widzieli zwłoki zabitych. Aby uniemożliwić próby oporu, brutalnie ich bito. W styczniu 1938 r. Jakuszew, Griszyn, Lebediew i Timoszenko dopuścili się ciężkiego pobicia i tortur z użyciem ognia i zakatowali na śmierć jedenaście osób, które podjęły próbę ucieczki z więzienia, ale zostały schwytane.

Lebediew, Jakuszew i Griszyn wprowadzili do systemu proceder przywłaszczania lub odsprzedawania przez katów rzeczy należących do ich ofiar. Od grudnia 1937 r. do stycznia 1938 r. Lebediew i Timoszenko sprzedali władzom więziennym, działając w imieniu innej instytucji, sześć ciężarówek odzieży rozstrzelanych osób. Otrzymane pieniądze – 37 tys. rubli – przeznaczyli na remont mieszkań lub podzielili pomiędzy członków brygady egzekucyjnej. Lebediew ponadto polecił funkcjonariuszom, aby odbierali osobom skazanym na śmierć pokwitowania na pieniądze lub kosztowności oddane przez nich do depozytu w więzieniu, a następnie przekazywali jemu te pokwitowania.



Grigorij Wiatkin. Fot. Wikimedia Commons

W styczniu 1938 r. Lebediew wyjechał z Żytomierza i kontynuował służbę na Syberii, w UNKWD na Kraj Krasnojarski. Materiały dotyczące jego przestępstw zostały wyłączone do odrębnego postępowania. Według informacji ukraińskiego badacza Wadima Zołotariowa, 14 maja 1940 r. Lebediew został wydalony z Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) „za stosowanie wypaczonych metod w trakcie wykonywaniu wyroków śmierci oraz bezprawne aresztowania w Żytomie-



Ławrientij Jakuszew. Fot. Wikimedia Commons

ru”. Został aresztowany i skazany na pięć lat pozbawienia wolności. Jednak już w 1941 r. wyrok został uchylony i Lebediewa zwolniono. W okresie wojny niemiecko-sowieckiej był angażowany do pozafrontowej działalności organów NKGB i został odznaczony aż czterema orderami. W 1945 r. był naczelnikiem wydziału w NKGB ZSRS, miał stopień pułkownika bezpieczeństwa państwowego.

Poza Lebediewem i Timoszenką w egzekucjach więźniów brało udział wielu funkcjonariuszy

UNKWD – wypróbowywano w ten sposób ich niezłomność. Najwyraźniej zwierzchnicy chcieli połączyć węzłem udziału w krwawej rozprawie wszystkich funkcjonariuszy i osobiście dawali przykład podwładnym, jak postępować z ofiarami.

Jakuszew, Griszyn i Lebediew w UNKWD obwodu żytomierskiego między październikiem 1937 r. a styczniem 1938 r. stworzyli zbrodniczy system barbarzyńskich tortur i eksterminacji.

Kaci w roli oskarżonych

Po wyjeździe z Żytomierza 3 maja 1938 r. Jakuszew został mianowany zastępcą narkoma, a 4 sierpnia – narkomem spraw wewnętrznych Krymskiej ASRS. Aresztowano go 18 grudnia 1938 r. Dochodzenie przeciwko niemu toczyło się w Moskwie. Kolegium wojskowe Sądu Najwyższego ZSRS 20 czerwca 1939 r. skazało go na dwadzieścia lat pozbawienia wolności w obozie pracy, jednak już w październiku 1941 r. został zwolniony. Do czerwca 1942 r. przechodził specjalne szkolenie w brygadzie strzelców zmotoryzowanych NKWD, a następnie zajmował stanowiska kierownicze w grupach operacyjnych NKWD/NKGB. W lutym 1945 r. ponownie podjął służbę w ludowym komisariacie obrony ZSRS. Uzyskał stopnie podpułkownika służby bezpieczeństwa państwowego oraz pułkownika Armii Sowieckiej.

Griszyn, aresztowany 30 maja 1938 r., przebywał w ośrodku odosobnienia w Kijowie. Organa śledcze ustaliły jego rolę w wykonywaniu rozkazu NKWD ZSRS nr 00486, dotyczącego represjonowania członków rodzin osób aresztowanych w trakcie „operacji polskiej”. Zgodnie z tym rozkazem, aresztowaniu podlegały żony osób skazanych – niezależnie od tego, czy miały one jakikolwiek

» **Ofiarom związywano ręce, ustawiano je w szeregu i tych na przedzie rozstrzelowano na oczach pozostałych. Ludzie czekali na swoją kolejkę, słyszeli strzały i widzieli zwłoki zabitych.** »

związek z „działalnością” swoich mężów – jak również ich dzieci powyżej piętnastego roku życia, jeśli uznawano je za „społecznie groźne i zdolne do aktywnych działań antysowieckich”. Żony zsyłano do obozów z wyrokiem pięciu–ośmiu

lat, a dzieci powyżej piętnastu lat, w zależności od ich subordynacji, wysyłano do obozów albo do domów dziecka o specjalnym rygorze.

Śledztwo wykazało, że z polecenia Griszyna na terenie obwodu żytomierskiego aresztowano 820 krewnych osób skazanych w ramach „operacji polskiej”. Griszyn polecił natychmiast sprzedać mienie aresztowanych kobiet, a ich dzieci umieścić w domach dziecka. Zamierzając represjonować maksymalną liczbę osób, Griszyn świadomie decydował się na naruszanie norm procesowych. Uważał, że śledztwa zanadto przeciągają się z powodu przesłuchiwanie świadków na okoliczność „antysowieckiej działalności” kobiet i nakazał zaprzestać tych przesłuchań, oświadczając, że jest rzeczą śmieszną nawet myśleć o tym, że takie sprawy będą rozpatrywane na specjalnej radzie przy NKWD ZSRS. Z całego materiału tych akt, jak mówił, zostaną wykorzystane jedynie nazwiska kobiet, wobec których w UNKWD wytoczono sfabrykowane sprawy sądowe. Powoływał się przy tym na rozporządzenie narkoma spraw wewnętrznych USRS Leplewskiego o konieczności „wyczyszczenia” pasa przygranicznego z żon Polaków i Niemców, skazanych na mocy zarządzenia nr 00485, i żądał aresztowania ich wszystkich. Chociaż specjalne domy dziecka do przetrzymywania dzieci represjonowanych były już przepełnione, polecił kontynuować aresztowania, pozostawiając dzieci na utrzymaniu kolchozów.

Po zmianach w kierownictwie UNKWD zaniechano tych aresztowań i zwolniono ponad 350 osób bezpodstawnie aresztowanych. Zwolnione kobiety zaczęły się zwracać do UNKWD, prokuratury i innych organów szczebla obwodowego z żądaniem zwrotu bezprawnie zagarniętego mienia oraz oddania im dzieci. Wieści o tym dotarły do mieszkańców regionu i wywołały wśród nich oburzenie działaniami organów NKWD.

4 lipca 1939 r. zakończyło się posiedzenie trybunału wojskowego NKWD okręgu kijowskiego w sprawie Griszyna oraz ośmiu innych funkcjonariuszy UNKWD.



Prokurator Andrzej Wyszynski w 1938 r.
Fot. Wikimedia Commons

funkcjonariuszy UNKWD w trakcie egzekucji. Trybunał nie uwzględnił ustaleń śledztwa, że Jakuszew i Griszyn stworzyli bezprawny system represji, poczynając od bezpodstawnych aresztowań i tortur podczas dochodzeń, a kończąc na bezczeszczeniu zwłok bestialsko zakatowanych ofiar. Trybunał wojskowy skazał Griszyna na dziesięć lat pozbawienia wolności w obozie pracy. Jednak 9 października 1939 r. kolegium wojskowe Sądu Najwyższego ZSRS uchyliło wyrok jako zbyt łagodny i zażądało przekazania sprawy Griszyna do ponownego rozpatrzenia przez ten sam trybunał, lecz w innym składzie sędziów. W listopadzie 1939 r. odbyło się powtórne posiedzenie trybunału wojskowego. Jednakże nowy skład sędziowski wydał taki sam wyrok. W kwietniu 1940 r. wyrok w Moskwie zatwierdzono i 9 lipca 1940 r. Griszyn został wysłany w celu odbycia kary do Północnego Kolejowego Obozu Pracy NKWD ZSRS. Co się później z nim stało – nie wiadomo.

„Spiskowcy” w organach NKWD

Objęcie stanowiska naczelnika UNKWD przez Wiatkina odbyło się w okresie wdrażania nowych represyjnych dyrektyw płynących z Kremla. „Ręka Moskwy” dała o sobie znać między innymi w postanowieniu Politbiura KC WKP(b) z 31 stycznia 1938 r. o przeprowadzeniu dodatkowych represji na Ukrainie, jak również w dyrektywach narkoma spraw wewnętrznych ZSRS Jeżowa, wydanych przez niego w lutym 1938 r., w trakcie wizyty w Kijowie. Z Moskwy do Kijowa zostały przemycone pogłoski o „całych antysowieckich nacjonalistycznych dywizjach”, „szalejących w podziemi” na Ukrainie.



Tablica z wykazem ofiar NKWD przy kościele w Dołbyszu. Fot. AIPN

W 1938 r. funkcjonariusze NKWD USRS intensywnie „demaskowali” ukraińskie i polskie „antysowieckie podziemie nacjonalistyczne”. W obwodzie żytomierskim wykryto jakoby „dużą organizację POW”, która miała liczyć ponad 3 tys. osób. W celu przyspieszenia likwidacji tego „podziemia”, jesienią 1938 r. Moskwa poleciła utworzyć przy wszystkich UNKWD sprawdzony podczas Wielkiego Terroru organ – specjalną „trójkę” (nazywano ją również „narodowościową”, bo miała zadanie dokończenia operacji narodowościowych NKWD).

Działalność „trójki”, której przewodniczył Wiatkin, po jego aresztowaniu przykuła uwagę śledczych. Stwierdzono nadużycia w samym trybie jej działalności, popełniane przez jej członków – naczelnika UNKWD, sekretarza komitetu obwodowego KP(b) oraz prokuratora obwodowego, którzy podejmowali decyzje o rozstrzelaniu więźniów bez zapoznania się z ich aktami, a nawet bez formalnego zakończenia śledztwa. Niekiedy „trójka” obradowała w niepełnym składzie.

Po pierwszym takim posiedzeniu Wiatkin nakazał komendantowi UNKWD przeprowadzić egzekucję, chociaż protokół jeszcze nie został sporządzony (protokoły obejmowały 350–500 osób i maszynistki nie nadążały z ich przepisywaniem). W chwili aresztowania Wiatkina spośród trzynastu protokołów z posiedzeń „trójki” aż sześć, dotyczących 2178 osób, było bez podpisów członków tego zbrodniczego gremium. Spośród wspomnianych 2178 osób nie rozstrzelano zaledwie dwudziestu – tylko dlatego że nie odnaleziono ich w miejscowym więzieniu.

Zbrodnie Wiatkina były ewidentne. Oskarżono go o udział w „spisku” związanym w organach NKWD, a 22 lutego 1939 r. kolegium wojskowe Sądu Najwyższego ZSRS skazało go na najwyższy wymiar kary. Został rozstrzelany w Moskwie. Jego dawnego zastępcę, Łukjanowa, aresztowanego 1 lipca 1939 r., trybunał wojskowy okręgu kijowskiego skazał go 1 lutego 1940 r. na dziesięć lat pozbawienia wolności w obozie pracy.

Najsurowiej ukarani zostali kierownicy UNKWD średniego szczebla. W latach 1939–1940 rozstrzelano szefów trzech głównych wydziałów UNKWD (III, IV i V) – Nauma Riemowa-Pobieriozka, Daniila Małukę, Daniila Mańkę, Michaiła Fiodorowa oraz Matwieja Lesnowa (Izrailewa). Uczyniono z nich – wraz ze „spiskowcem” Wiatkinem – głównych „naruszycieli socjalistycznej praworządności” w UNKWD obwodu żytomierskiego.

Stalinowskie kierownictwo w Moskwie ograniczyło się do ukarania pojedynczych „wrogów, którzy perfidnie zagnieździł się w organach bezpieczeństwa”. Przy tym najokrutniejsi żytomierscy oprawcy, Jakuszew i Lebidiew, zostali skazani jedynie na pozbawienie wolności. Tłumaczyć to można „pragmatycznymi” motywami, jakimi kierowała się sowiecka władza. Kiedy decydowano o ich losie, od razu uznano za celowe darowanie im życie. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zwolniono ich i wykorzystywano do działań operacyjnych NKWD-NKGB. Obaj przeżyli wojnę i zostali zasłużonymi weteranami. Lebidiew zmarł w 1970 r., a Jakuszew – w 1986 r. ■

Tłumaczył z rosyjskiego Jerzy Szokalski

BIBLIOGRAFIA

- Pietrow N., Roginskij A., „Polskaja operacija” NKWD 1937–1938, [w:] *Riepriessii protiw polakow i polskich grażdan*, Moskwa 1997.
- Pietrow N., Skorkin K., *Kto rukowodił NKWD. 1934–1941. Sprawocznik*, Moskwa 1999.
- Reabilitowani istorijeju. Żytomirska obłast*, t. 1–7, Żytomir 2006–2015.
- Wielki terror. Operacja polska 1937–1938*, Warszawa – Kijów 2010.
- Wydzielone Archiwum Państwowe Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, f. 5, teczki nr 67839, 67841.



Serhij Kokin (ur. 1959) – historyk, dr, wicedyrektor Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Autor książki *Anotowany pokazczyk dokumentów z historii OUN i UPA u fondach Derżawnoho archiwu SBU* (2000); współredaktor książek: (z Markiem Junge) *Wielki terror w Ukraini. „Kurulska operacja” 1937–1938 r.*, t. 1–2 (2010); *Sprawa „Polskoj Orhanizaciji Wijskowoj” w Ukraini 1920–1938 r. Zbiryk dokumentow ta materialiw* (2011); (z Wasylem Danylenką) *Radianski orhany derżawnoji bezpeky u 1939 – czerwni 1941 r. Dokumenty HDA SB Ukrainy* (2009, 2013) i in.



Anna Czocher

IPN Kraków

Najważniejszy jest człowiek

Chrzanowscy i Szlenkierowie

Chrzanowscy – ziemianie z Podlasia, spowinowaceni z rodziną Joachima Lelewela i Henryka Sienkiewicza, katolicy. Szlenkierowie – spolonizowana rodzina przemysłowców i filantropów, ewangelicy. Rodziny połączył w 1899 r. ślub Wandy Szlenkierówny z Ignacym Chrzanowskim, późniejszym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Łączyły je również głęboki patriotyzm i idee społecznikowskie.

Hekatombą dla Chrzanowskich i Szlenkierów okazała się wojna, która się rozpoczęła we wrześniu 1939 r., a ofiara krwi poszczególnych członków tych rodzin jest odbiciem losów narodu. W czasie obrony stolicy ginie Andrzej Chrzanowski, bratanek Ignacego. W zajętej przez Niemców Warszawie, w pierwszych dniach okupacji, umiera pozbawiona możliwości leczenia Zofia Szlenkier, siostra Wandy.

Tragiczny dla rodziny stał się rok 1940. Najpierw 19 stycznia w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen umiera, aresztowany w ramach Sonderaktion Krakau, prof. Ignacy Chrzanowski. W kwietniu w Katyniu zostaje rozstrzelany jego syn – por. Bohdan Chrzanowski, zwany w rodzinie Dań; był, podobnie jak ojciec, akademikiem, doktorem filozofii, nauczycielem gimnazjalnym. W tym samym roku w wyniku chorób w obozie przesiedleńczym w Łodzi umierają siostra Wandy – Maria Wydzga – oraz jej synowa i wnuczka. Syn Jan Wydzga zaginął w Związku Sowieckim (był prawdopodobnie na Kołymie).

Z kolei brat Wandy, Karol Stanisław Szlenker, doktor nauk fizyczno-matematycznych i przemysłowiec, zostaje rozstrzelany przez Niemców w siedzibie gestapo przy al. Szucha w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Kilka dni później, w niewyjaśnionych okolicznościach, ginie jego żona Halina.

W służbie nauce i człowiekowi

Jednak nie tylko śmierć dla ojczyzny, lecz przede wszystkim życie i działalność na rzecz jej obywateli była najistotniejszym rysem decydującym o wielkości i patriotyzmie poszczególnych członków rodziny. Łączyła ich idea służby człowiekowi, adekwatnie do okoliczności, w jakich przyszło im działać.

Profesor Ignacy Chrzanowski był w czasie swej trwającej niemal pół wieku działalności naukowej jednym z najwybitniejszych znawców dziejów piśmiennictwa polskiego, zwłaszcza staropolskiego. W 1910 r. objął Katedrę Historii Literatury Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukochany uczeń, a potem młodszy kolega Chrzanowskiego, prof. Stanisław Pigoń, wspominał: „Dzisiejszy student uniwersytetu trudno ma sobie wyobrazić, jaką rewolucję niesło z sobą to wstąpienie [na katedrę – przyp. red.]. Tryb nauczania historii literatury polskiej w Krakowie przeistoczył się od razu do gruntu. Wspaniała, efektowna prelekcja, to był punkt ambicji profesorskiej [...]. W wykładzie jego atoli nie górowała retoryka [...]. Profesor miał na uwadze pojętność słuchaczy i pojętność tę systematycznie, celowo podnosił”. I dodał: „Nie ma przesady w stwierdzeniu, że wstąpienie Chrzanowskiego w Krakowie, jak ongiś Lelewela w Wilnie – stało się w nauczaniu uniwersyteckim istotną rewolucją”.

Podczas jego wykładów aula Collegium Novum pękała w szwach. „Na Chrzana” uczęszczali nie tylko studenci, lecz także osoby spoza uczelni. Jed-



Zofia Szlenkier, Paryż, 1904 r. Fot. www.wmpp.org.pl

Nic zatem dziwnego, że wykładowca o takiej osobowości wykształcił zastępy znakomitych filologów. Od swoich studentów wymagał rzetelnej pracy, ale nie narzucał im swoich poglądów i tematów. „Stosował się do umysłowości i zainteresowań ucznia. Starał się poznać każdego, aby w sposób właściwy pokierować pracą indywidualną” – wspominała prof. Zofia Szmydtowa. Kontakt profesora ze studentami nie ograniczał się do konsultacji naukowych. Nad zdolnymi seminarzystami rozciągał opiekę niemal ojcowską, drukował – często własnym sumptem – ich prace doktorskie, zabiegał o stypendia dla nich. „Ponieważ pierwsze

na z jego uczennic stwierdziła: „Prof. Chrzanowski spełniał nasz postulat uczonego i patrioty, rozpałał kult dla literatury polskiej, dla wielkiej przeszłości, której był zresztą sprawiedliwym krytykiem”. Profesor popularyzował wiedzę nie tylko słowem, lecz również piórem. Wśród licznych publikacji szczególne miejsce zajmuje podręcznik *Historia literatury niepodległej Polski*, który kształtował świadomość patriotyczną i literacką Polaków w czasach zaborów i po roku 1918. Chrzanowski odważnie prezentował swoje poglądy, np. podpisując protest przeciwko procesowi brzeskiemu. Odpowiedzialność za losy kraju i uniwersytetu kazała mu iść, mimo statusu emeryta, na wyznaczone przez niemieckie władze okupacyjne spotkanie 6 listopada 1939 r., które okazało się pułapką zastawioną na krakowskich profesorów.

lata niepodległości były dla studentów niełatwe pod względem materialnym, Profesor dzięki swoim osobistym stosunkom z wybitym ekonomistą Władysławem Grabskim [...] starał się dla nas o stypendia lub sporadyczne zasiłki finansowe, o których wiadomości przychodziły na jego ręce. Do dziś zachowały się w moich pamiętkach uniwersyteckich tzw. skrytki od Profesora, zawiadamiające, że »flota napłynęła« – wspominała prof. Mieczysława Mitera-Dobrowolska.

Profesor Jan Nowakowski zachował w pamięci dyskusje w prywatnym mieszkaniu Chrzanowskiego: „Wizyta taka była przeżyciem niezapomnianym tak z uwagi na efekt naukowo-dydaktyczny, na inspiracje i wskazówki Profesora, jak dzięki spotkaniu z życzliwą kurtuazją, z jaką gospodarz traktował studenta, ze względu na atmosferę domu wreszcie, której współtwórczynią była też małżonka Profesora”.

Przemysłowcy i filantropi

Wanda Chrzanowska była córką Karola Jana i Marii Szlenkierów, siostrą Karola Stanisława, Marii i Zofii. Szlenkierowie na przełomie XIX i XX w. należeli do najbardziej znanych i zamożnych przemysłowców warszawskich. Do największego rozkwitu rodzinną fortunę doprowadził Karol Jan, ojciec Wandy. Rozbudował i unowocześnił rodzinne garbarnie, założył fabrykę firanek, tiulu i koronek, a jednocześnie dzięki trosce o robotników stał się znanym w mieście społecznikiem. Jego wnuczka Hanna Chrzanowska zanotowała: „Moi dziadkowie ze strony macierzystej byli najautentyczniejszymi filantropami. Wyrastałam w atmosferze pomocy drugim i tzw. wówczas dobroczynności jako w najnaturalniejszej aurze”.

Społeczne zacięcie odziedziczyły dzieci Karola Jana – syn Karol Stanisław finansował m.in. studia wybitnych artystów, córka Maria Anna była fundatorką szkoły rolniczej niedaleko Pińska, Wanda otwierała serce na potrzebujących, choć bez spektakularnych fundacji. Jednak największe zasługi na polu dobroczynności położyła Zofia Szlenkierówna, która cały odziedziczony majątek przeznaczyła na budowę szpitala dziecięcego na warszawskiej Woli. W 1913 r., kilka miesięcy przed otwarciem, przekazała szpital miastu, zastrzegając w akcie fundacyjnym zakaz dyskryminacji rasowej i religijnej przyszłych pacjentów. Nie ograniczyła swej roli fundatorki do sfinansowania budowy szpitala, lecz przejawiała stałą troskę o jego funkcjonowanie, o pacjentów. Jej nieocenioną zasługą było zorganizowanie nowoczesnego pielęgniarstwa według wzorców Florence Nightingale.

Zofia wiedzę medyczną i dotyczącą pielęgnacji chorych zdobywała jako młoda dziewczyna najpierw na Uniwersytecie Genewskim, a następnie w Londynie. Nie była to typowa droga życiowa ówczesnej „panny z dobrego domu”, tym bardziej że pozycja społeczna pielęgniarki była wtedy bardzo niska, a posługę przy pielęgnacji chorych wykonywały głównie siostry zakonne. Dzięki wiedzy i zaangażowaniu Zofii wybudowany w robotniczej dzielnicy Szpital Dziecięcy im. Karola i Marii stał się jednym z najnowocześniejszych w tamtych czasach.

Hanna, kandydatka na ołtarze

Działalność Zofii wywarła zasadniczy wpływ na wybory życiowe jej siostrzenicy Hanny Chrzanowskiej, córki Wandy i Ignacego. Urodzona w 1902 r. i starannie wykształcona, zaczęła podążać śladami ciotki. Pierwsze doświadczenia w pracy charytatywnej zdobyła w 1920 r. Mieszkając w Krakowie, który miał spore tradycje w organizacji działań filantropijnych, zbierała datki po domach, pracowała przy wydawaniu żywności potrzebującym oraz, po ukończeniu kursów pielęgniarskich, w Klinice Chirurgicznej, w której leczono żołnierzy rannych w dobiegającej końca wojnie polsko-bolszewickiej. W 1922 r. zgłosiła się do nowo otwartej szkoły pielęgniarskiej w Warszawie. Jak później zanotowała: „Moja decyzja spotkała się z aprobatą nie tylko matki, ale i ojca [...]. Natomiast tzw. opinia publiczna była mocno zdziwiona. Pewna pańcia tłumaczyła mi, że co innego pielęgnować żołnierzy podczas wojny, a co innego iść do zwykłego szpitala, gdzie właściwie nie ma co robić. (To znaczyło, nie ma co robić dla przyzwoitych osób). [...] To już Chrzanowscy tak nisko podupadli, że córkę dają na pielęgniarkę?”. Hanna zdobywała wiedzę w kraju i za granicą, a następnie sama podjęła się kształcenia przyszłych pielęgniarek. Wraz z Marią Starowieyską, z którą połączyła ją przyjaźń, redagowała prekursorski miesięcznik „Pielęgniarka Polska”. Była także autorką utworów literackich, które publikowała w latach trzydziestych XX w. pod pseudonimem... Agnieszka Osiecka.

Wrzesień 1939 r. zastał Hannę w Warszawie. Po śmierci ukochanej ciotki Zofii zdecydowała się wrócić do rodziców do Krakowa. Tam prof. Chrzanowski, widząc potrzebę niesienia pomocy ofiarom wojny, przeznaczył pieniądze na ten cel. „Darem swym zapoczątkował [...] powstanie Sekcji Opieki nad Jeńcami i Inwalidami w krakowskim PCK” – zapisano w sprawozdaniu z działalno-



Ignacy Chrzanowski i Wanda ze Szlenkierów – rodzice Hanny Chrzanowskiej. Fot. www.wmpp.org.pl

ści sekcji. Hanna ostatni raz widziała ojca 7 listopada 1939 r. w koszarach przy ul. Wrocławskiej, gdzie byli przetrzymywani krakowscy profesorowie aresztowani w ramach Sonderaktion Krakau. Kilka tygodni później pojechały z matką do obozu Sachsenhausen starać się o przewiezienie zwłok profesora do Krakowa. Po aresztowaniu Chrzanowskiego jego żona i córka zostały wyrzucone z mieszkania i musiały zamieszkać u swoich znajomych. Hanna nie zrezygnowała z działalności charytatywnej. Od połowy października 1939 r. do 31 marca 1945 r. pracowała w organizacjach pomocowych, które od maja 1940 r. działały pod egidą Rady Głównej Opiekuńczej. Zajmowała się przede wszystkim pomocą wysiedlonym, których tysiące trafiały do Krakowa z różnych stron Polski. Szczególnie troszczyła się o los osieroconych dzieci, szukając dla nich rodzin zastępczych. Początkowo kierowała działem opieki domowej, a w ostatnich tygodniach wojny, w dramatycznych okolicznościach, została przewodniczącą całej Sekcji Opieki nad Przesiedlonymi i Uchodźcami. Zmiana nastąpiła bowiem w wyniku aresztowania dotychczasowej szefowej, Marii Starowieyskiej, zaangażowanej w pracę konspiracyjną w Armii Krajowej. Chrzanowska prawdopodobnie formalnie nie należała do podziemia, ale ściśle współpracowała ze Starowieyską, prowadząc działania zagrożone represjami ze strony okupanta, takiej jak np. współpraca z „Patronatem”



Hanna Chrzanowska. Fot. www.wmpp.org.pl

(Sekcja Opieka nad Więźniami i ich Rodzinami) i ratowanie żydowskich dzieci. Niemal do końca 1944 r. za swoją pracę w RGO nie pobierała wynagrodzenia, pracowała, jak zapisano w dokumentach, „honorowo”, utrzymując się z własnych zasobów.

W powojennej Polsce kontynuowała pracę pielęgniarki i pedagoga. Przy udziale uczennic krakowskiej szkoły pielęgniarskiej zaczęła organizować pielęgniarstwo domowe, które było wówczas w Polsce nowością. Dzięki niemu docierała do osób żyjących niejednokrotnie w przerażających warunkach, do chorych, kalek i inwalidów, do ludzi zubożałych w wyniku wojny lub polityki komunistów. Stosunek władz komunistycznych do Hanny Chrzanowskiej był ambiwalentny. Na przykład w marcu 1958 r. odebrała nagrodę pieniężną i odznakę „Za wzorową pracę w Służbie Zdrowia” (otrzymywała również inne odznaczenia państwowe, m.in. w 1971 r. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski), jednocześnie dwa tygodnie później została pozbawiona pracy w związku z likwidacją Szkoły Pielęgniarstwa Psychiatrycznego w Krakowie-Kobierzynie, którą wówczas kierowała. Powodem takiego stosunku do Chrzanowskiej było jej zaangażowanie w pracę duszpasterską wśród chorych i pielęgniarek. „Oto myśl, co zaświtała mi w głowie: oprzeć opiekę nad chorymi o Kościół” – napisała w 1957 r. w swoim Pamiętniku. Po przejściu na wymuszoną okolicznościami rentę nauczycielską Chrzanowska rozpoczęła organizowanie pielęgniarstwa domowego w oparciu o parafie.

Obok codziennej opieki nad potrzebującymi urzędzała rekolekcje dla chorych i dni skupienia dla pielęgniarek. Te ostatnie spotkały się z szykanami ze strony Wydziału ds. Wyznań. Nieocenione wsparcie otrzymała za to od księdza infułata Ferdynanda Machaya, ówczesnego proboszcza parafii mariackiej, i ks. Karola Wojtyły, który także jako metropolita krakowski wspierał dzieło Chrzanowskiej. Przewodnicząc uroczystościom pogrzebowym (Hanna zmarła 29 kwietnia 1973 r.), podkreślał jej oddanie dla chorych i ubogich. Jego następca, kard. Franciszek Macharski, otworzył w 1998 r. jej proces beatyfikacyjny, który właśnie dobiega końca. Hanna Chrzanowska, będąc kontynuatorką rodzinnych tradycji, dodała do nich nowy, duchowy wymiar. ■

BIBLIOGRAFIA

- Akta Polskiego Komitetu Opiekuńczego Kraków-miasto 1939–1945, w zbiorach Archiwum Narodowego w Krakowie.
- Broszkowska I., *Szlenkierowie. Warszawski ród*, Warszawa 2016.
- Chrzanowska W., *Wspomnienia o Sachsenhausen*, „Litteraria: teoria literatury, metodologia, kultura, humanistyka” 1976, nr 8.
- Florkowska M., „Wnosił jasną smugę humoru”. *Profesor Ignacy Chrzanowski we wspomnieniach*, „Alma Mater” 2007, nr 92.
- Łojek M., *Ignacy Chrzanowski jako badacz literatury i profesor*, Bydgoszcz 1991.
- Matoga H., *W kręgu opiekuńczego czepka*, Kraków 1999.
- Oktabiński K., *Śladami filantropów. Rzecz o rodzinie Szlenkierów i ich podwarszawskiej wilegiaturze w XIX i XX wieku*, Warszawa 2007.
- Pigoń S., *Z Komborni w świat*, Warszawa 1983.
- Polski Słownik Biograficzny, t. XLVIII, Warszawa – Kraków 2012–2013.
- Radość dawania. Hanna Chrzanowska we wspomnieniach, listach, anegdotach*, oprac. M. Florkowska, Kraków 2010.



Anna Czocher (ur. 1975) – historyk i archiwista, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie. Autorka książki *W okupowanym Krakowie. Codziennosc polskich mieszkanców miasta 1939–1945* (2011).

Marcin Jurek

IPN Poznań

Polskie podziemie niepodległościowe w kinematografii PRL

Komuniści na wszelkie sposoby starali się zożydzić postaci powojennej konspiracji. Miały temu służyć także propagandowe filmy fabularne.

Kadr z filmu *Popiół i diament*.

Fot. FilMOTEKA Narodowa




Obraz jest jednym z najskuteczniejszych sposobów dotarcia do odbiorcy, toteż nic dziwnego, że stał się on bardzo szybko narzędziem wykorzystywanym w celach propagandowych przez różne systemy polityczne, zwłaszcza totalitarne. Zarówno III Rzesza, jak i Związek Sowiecki dla celów ideologicznych na masową skalę produkowały plakaty i cieszące się olbrzymią popularnością filmy (wszak już Lenin miał powiedzieć, że kino jest najważniejszą ze sztuk). Podobnie było w powojennej Polsce, gdy komuniści umacniali swoją władzę, a następnie zmonopolizowali wszystkie dziedziny kultury.

„Bandyti” na ekranach kin

Problematyka powojennego podziemia niepodległościowego nie stanowiła nigdy centralnego punktu komunistycznej propagandy. Jeśli już jednak była podejmowana, drugą konspirację przedstawiano w jednoznacznie negatywny sposób. Dotyczy to zarówno prasy, historiografii, beletryzowanych wspomnień i innego rodzaju literatury, jak i pomników oraz tablic ku czci „utrwalaczy władzy ludowej”, ale także, o czym często się zapomina, filmów. Obrazy te powstawały we wszystkich dekadach „ludowej” Polski i, choć dziś w większości zapomniane, stanowią interesujący przykład propagandowego obleczenia historycznych wydarzeń w szaty filmu fabularnego. Warto je przypomnieć.

Najbardziej znanym spośród nich jest z pewnością *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy, ze scenariuszem na podstawie powieści Jerzego Andrzejewskiego pod tym samym tytułem. Powstały w 1958 r. film uchodzi za czołowe osiągnięcie tzw. polskiej szkoły filmowej. Głównym bohaterem jest Maciek Chełmicki – żołnierz AK, który po zakończeniu wojny nadal trwa w konspiracji. Choć wizerunek podziemia daleki jest tu od pozytywnego, co z pewnością było na rękę władzom, to jednak trudno uznać ten film za dzieło czysto propagandowe. Uwaga widza skupia się raczej na dylematach moralnych bohaterów czy, szerzej, tragizmie całego wojennego pokolenia. Uwidacznia się to najbardziej w dramatycznej scenie śmierci Maćka. Nie bez znaczenia był fakt, że w 1958 r. pokazano wreszcie AK-owców na wielkim ekranie nie jako „zapłutych karłów reakcji” czy uosobienie wszelkiego zła, lecz jako ludzi z krwi i kości.

Z filmów jednoznacznie propagandowych należy wymienić: *Cień* Jerzego Kawalerowicza z 1956 r. ze scenariuszem napisanym na podstawie opowiadania Aleksandra Ścibora-Rylskiego; *Rok pierwszy* (1960) Witolda Lesiewicza (ekra-



Kadr z filmu *Ogniomistrz Kalenia*.
Fot. FilMOTEKA Narodowa

nizację powieści Aleksandra Ścibora-Rylskiego *Styczeń*); *Milczące ślady* (1961) Zbigniewa Kuźmińskiego (na podstawie powieści Mariana Kozłowskiego *Droga przez front*); *Ogniomistrza Kalenia* (1961) Ewy i Czesława Petelskich (ekranizację powieści Jana Gerharda *Łuny w Bieszczadach*); *Akcję „Brutus”* (1970) Jerzego Passendorfera (ze scenariuszem opartym na powieści Zbigniewa Nienackiego *Worek Judaszów*); *Znikąd donikąd* (1975) Kazimierza Kutza; *Krótkie życie* (1976) Zbigniewa Kuźmińskiego (ze scenariuszem na podstawie opowiadania *Żandarmieria* pióra Stanisława Wałacha, weterana walk z podziemiem i długoletniego funkcjonariusza UB/SB); *Wierne bliźny* (1981) Włodzimierza Olszewskiego (ekranizację powieści Jerzego Grzymkowskiego).

Niemal wszystkie wymienione filmy powstawały na podstawie utworów literackich o wyraźnie propagandowej wymowie. W każdym przypadku mamy do czynienia z fikcyjną fabułą. Zwykle przedstawiany jest bliżej niesprecyzowany oddział podziemia, choć w wielu obrazach nawiązywano do prawdziwych wydarzeń, niekiedy występują w nich nawet rzeczywiste postaci. Niewykluczone, że chodziło o to, by nie wspominać konkretnych ludzi, oddziałów czy organizacji, bo mogłoby się to przyczyniać do przywrócenia ich obecności w pamięci społecznej. W przypadku *Milczących śladów* możemy się domyślać, że inspiracją było zgrupowanie Józefa Kurasia „Ognia”, o czym świadczą m.in. górskie sceneria, osadzenie części akcji w Krakowie, działalność grupy operacyjnej „Nowy Targ” oraz występujący pośród partyzantów Józef Świder i „Powicher”. Z kolei akcja *Znikąd donikąd* rozgrywa się w nieokreślonej wiosce na Żywiecczyźnie, co może sugerować nawiązanie do operującego na tym

» **Rażące jest ukazywanie w kinie PRL zupełnej bezideowości oddziałów podziemia. Wydaje się, że do walki z komunistami pcha tych ludzi jedynie zwykły bandytyzm lub niechęć do uczciwej pracy.** »

obszarze oddziału Narodowych Sił Zbrojnych kpt. Henryka Flamego „Bartka”. Sporadycznie na ekranie pojawiają się autentyczne postaci. W *Ogniomistrzu Kaleniu*, oprócz wykazujących się okrucieństwem partyzantów ukraińskich z oddziałów UPA, występuje również mjr Antoni Żubryd „Zuch”. W czołówce *Akcji „Brutus”* znajduje się informacja, że film nawiązuje do dziejów walk z oddziałami kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”, dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Ukazano likwidację jednego z oddziałów KWP po aresztowaniu jego dowódcy: we wrześniu 1946 r. grupa Adama Dulęby „Jura” miała rzekomo zostać przetrzucona na Lubelszczyznę. Za sprawą agenta „Anglika” (Zygmunt Lercel) wpadła jednak w zasadzkę, w której zginęli wszyscy partyzanci. W filmie przedstawiono to jako przypadkową strzelaninę, a nie zaplanowaną egzekucję. Reżyser w jednym z wywiadów prasowych tak oto pokrętnie przedstawiał swoje intencje: „Zależy mi na pokazaniu prawdy o tych latach. Wiele spraw było dotychczas przemilczanych. Niektóre celowo, inne nie. Najwyższy już czas, by powiedzieć, że po drugiej stronie barykady [...] było wielu uczciwych Polaków, prawdziwych patriotów, którzy po prostu źle rozumieli przyszłość Polski. Byli tam oczywiście również tacy, dla których polityka stanowiła jedynie pretekst dla uprawiania bandyckiego rzemiosła. Konfrontacja tych dwu postaw rodziła wiele dramatów, również osobistych”.

Dobrzy funkcjonariusze, źli partyzanci

We wszystkich omawianych filmach obecne są również silne akcenty propagandowe w przedstawianiu podziemia. Pojawiają się chociażby aspekty „klasowe”. Członkowie konspiracji reprezentują obowiązkowo „klasę wyzyskiwaczy”; i tak w *Roku pierwszym* działają oni przeciwko reformie rolnej. W ten sam schemat wpisuje się film *Cień*, pokazujący „bandę” rezydującą w ziemiańskim dworze przy suto zastawionym stole. Co ciekawe, bardzo krytyczną opinię o tym obrazie wyraził wówczas Jan Gerhard na łamach miesięcznika „Film”. Stawiając różne zarzuty, napisał m.in.: „[...] scena, w której chłop z oczyma w słup zjawia się w nocy na tle płonącej wsi i mówi: »Gdzie partia? Ja chcę do partii«, a dowódca ciska świecznikiem w ziemię,

» **Dzieła filmowe przyczyniały się do utrwalania czarnej powojennej konspiracji. Tworzyli je częstokroć znani reżyserzy i występowali w nich popularni aktorzy.** »

jest groteskowa i żenowałaaby nawet w epoce cukierniczej”. Rażąco jest także ukazywanie w kinie PRL zupełnej

bezideowości oddziałów podziemia. Wydaje się, że do walki z komunistami pcha tych ludzi jedynie zwykły bandytyzm lub niechęć do uczciwej pracy. W ten sposób pokazano np. poakowski oddział (tylko pozornie odgrywający rolę Milicji Obywatelskiej) w filmie *Rok pierwszy*. Jeszcze silniej widać to w obrazie *Znikąd donikąd*. W atmosferze kompletnej beznadziei oddział niejakiego „Groźnego”, przy wyraźnej niechęci mieszkańców, zajmuje kwaterę w jednej z górskich wsi, gdzie zatracą się w pijaństwie i okrucieństwie.

Brutalność partyzantów jest zresztą zawsze ważnym wątkiem ukazywanym w tych filmach. Żołnierze Antoniego Żubryda „Zucha”, torturując tytułowego bohatera Kalenia, niewiele ustępują wyjątkowo okrutnym członkom UPA. Również w filmie *Znikąd donikąd* w oddziale „Groźnego” jest czarny charakter „Fabian”, którego podkomendni m.in. gwałcą żonę miejscowego działacza Polskiej Partii Robotniczej i mordują mężczyznę, który stanął w jej obronie. Naturalnie brutalna przemoc charakteryzuje jedynie działania podziemia. W żadnym z omawianych filmów nie pokazano aktów okrucieństwa czy represji ze strony komunistów. Nie wspomina się w nich nigdy o Sowietach i ich kluczowym przecież udziale w zwalczaniu oddziałów podziemia w pierwszym okresie po wojnie. Taki wątek zostaje zasygnalizowany jedynie w późnym filmie *Wierne bliźni*. Opowiada on historię porucznika Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Stefana Madejskiego, skazanego na karę więzienia za puszczenie wolno swego kolegi, który był po drugiej stronie barykady. Choć wspomina się tu o brutalności oficera KBW, problem został zmarginalizowany. Za to szczegółowo śledzimy problemy Madejskiego z przystosowaniem się do normalnego życia.

Negatywne odczucia widza w stosunku do członków konspiracji starano się budować także przez sam wygląd bohaterów. Porucznik NSZ „Tatar” z *Roku pierwszego* prezentuje się wręcz groteskowo – odpychający wygląd koresponduje, w zamierzeniu twórców, z jego zupełną degrengoladą moralną. W podobny sposób przedstawiono członków „bandy” w filmie *Cień* – mogą oni wręcz budzić skojarzenia z hitlerowcami.

Z kolei komunistów, na zasadzie kontrastu, przedstawiano w tych filmach jako postaci na wskroś ideowe i pozytywne. Zazwyczaj to ich oczami śledzimy zmagania władzy z podziemiem, więc w naturalny sposób widz powinien się z nimi utożsamiać. Sprzyja temu zwykle postać głównego bohatera, który z jednej strony kieruje się pobudkami ideowymi, z drugiej zaś cechują go odwaga, spryt i duża inteligencja. Modelowymi przykładami takiego zabiegu są kapitan UB Stefan Morwa z *Milczących śladów* oraz sierżant MO Łukasz Otryna z *Roku pierwszego*. Podobne odczucia ma w założeniu twórców wywoływać także postać Alberta Niwińskiego, głównego bohatera *Akcji „Brutus”*. Ten zakonspirowany major UB przeprowadza skomplikowaną operację, mającą na celu ujęcie członków oddziału partyzanckiego. Naturalnie usiłuje uniknąć niepotrzebnych ofiar i wręcz troszczy się o przyszłość szeregowych żołnierzy podziemia – do jednego ze swych podwładnych mówi: „Tych, którzy wrócą do rodzin, obserwuj, ale nie ruszaj. Trzeba im dać czas na powrót do normalnego życia”.

Współtworząc czarną legendę

Omawiane filmy trudno jednoznacznie przyporządkować do konkretnego gatunku. Łączą w sobie elementy sensacji oraz kina wojennego czy historycznego. Obecnie większość z nich stanowi przede wszystkim interesujące źródło do badania obrazu podziemia niepodległościowego tworzonego w PRL na potrzeby komunistycznej propagandy. Dziś trudno jest ocenić jej zasięg i skuteczność, jednak z pewnością dzieła filmowe przyczyniały się do utrwalania czarnej legendy powojennej konspiracji. Tworzyli je przecież częstokroć znani reżyserzy, a występowali w nich popularni aktorzy, jak Witold Pyrkosz, Jerzy Trela, Leonard Pietraszak, Wiesław Gołas i Józef Nalberczak. Filmy te są dziś w większości zapomniane. Można je czasami zobaczyć w telewizji (pokazuje je np. Kino Polska). Szkoda tylko, że zwykle nie towarzyszy im choć słowo komentarza na temat ich propagandowego wydźwięku. ■



Marcin Jurek (ur. 1988) – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Lustracyjnego IPN w Poznaniu. Interesuje się historią PRL, szczególnie dziejami drugiej konspiracji. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą podziemia niepodległościowego w Wielkopolsce w latach 1945–1956.



Kolumna jeńców sowieckich z obozu w Rembertowie.
Fot. J. Zimowski/Muzeum Fotografii w Krakowie

Borys Sokołow

Ludzie, wojna i matematyka

Sprawa bolszewickich jeńców 1920 r

Ministerstwo Kultury Federacji Rosyjskiej w przededniu 77. rocznicy Zbrodni Katyńskiej oraz siódmej rocznicy katastrofy samolotu polskiego prezydenta Lecha Kaczyńskiego pod Smoleńskiem podjęło ewidentnie prowokacyjną akcję. W katyńskim miejscu pamięci, w którym znajduje się polski cmentarz wojskowy, otwarto wystawę poświęconą sowieckim jeńcom w Polsce w latach 1919–1921.

Polskie MSZ zareagowało na tę prowokację utrzymaną w ostrym tonie notą dyplomatyczną. Oburzenie Polaków łatwo zrozumieć. Na terenie nekropolii, w której upamiętnia się polskich oficerów rozstrzelanych przez NKWD w 1940 r., urządzono wystawę poświęconą ofiarom zupełnie innej wojny, które zmarły i zostały pochowane setki kilometrów

od Katynia¹. Co ważniejsze, ci czerwonoarmiści, w odróżnieniu od ofiar Katynia, nie zostali w Polsce rozstrzelani, lecz zmarli z powodu epidemii lub głodu. (Istniało dość wysokie prawdopodobieństwo śmierci z powodu niedożywienia i chorób również w przypadku żołnierzy, którzy nie dostali się do polskiej niewoli, lecz pozostali w szeregach Armii Czerwonej, a to z powodu panującego wówczas w Rosji Sowieckiej wielkiego chaosu gospodarczego).

Mamy więc tu do czynienia z reanimacją teorii z czasów późnosowieckich, zgodnie z którą Józef Stalin, mordując polskich oficerów w Katyniu, pragnął pomścić śmierć sowieckich jeńców w polskiej niewoli w latach 1920–1921. W rzeczywistości Stalin, dokonując tego mordu wiosną 1940 r., w ogóle nie myślał o losach czerwonoarmistów, którzy trafili do niewoli w Polsce w 1920 r. Żołnierze wzięci do niewoli – jak to pokazały wydarzenia II wojny światowej – byli dla niego zdrajcami ojczyzny. Powodem dokonania zbrodni w Katyniu było zapewne to, że latem 1940 r. Stalin zamierzał dokonać napaści na Niemcy. W takiej sytuacji polski rząd na uchodźstwie stałby się jego potencjalnym sojusznikiem i wówczas musiałyby zapewne uwolnić aresztowanych polskich oficerów i umożliwić stworzenie nowej polskiej armii. Jednak armia ta nie byłaby podporządkowana ZSRS, a Stalin chciał mieć wojsko posłusznie wykonujące jedynie jego polecenia. Dlatego właśnie w trybie natychmiastowym kazał zlikwidować polskich oficerów².

Zawyżone liczby

W Rosji do dzisiaj są rozpowszechniane opinie, jakoby w polskiej niewoli w latach 1920–1921 zginęło 60, 80 a nawet 100 tys. osób. Tę ostatnią cyfrę podał minister kultury Rosji Władimir Miedinski³. Metodyka jego obliczeń jest dosyć prosta. Za punkt wyjścia są przyjmowane maksymalne szacunkowe liczby sowieckich jeńców: 157 tys., 165 550, 206 877 lub 216 tys., a od tego odejmuje się liczbę tych, którzy powrócili z niewoli – 67 tys. Takim sposobem uzyskuje się wynik rzędu 100 tys.

¹ *Polsza wozmutiałaś informacyjej o krasnoarmiejcach w Katyni*, „Sputnik”, 8 IV 2017 r., <https://ru.sputniknewslv.com/world/20170408/4401347/Polsza-Katyn-memorial-krasnoarmeicy-MID.html> [dostęp: 30 VI 2017 r.].

² Por. B. Sokołow, *Prawdy i mity Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941–1945*, Warszawa 2017, s. 64–65.

³ W. Miedinskij, *Kuda iszczegli 100 tysiacz plennych krasnoarmiejcew?*, „Komsomolskaja Prawda”, 10 XI 2014 r., <http://www.kp.ru/daily/26305.5/3183560/> [dostęp: 30 VI 2017 r.].

ofiar i więcej. Historyk Giennadij Matwiejew śmiertelność jeńców w polskiej niewoli ocenia zaś na 25–28 tys. osób. Na podstawie dokumentów polskiego sztabu generalnego za lata 1919–1920 stwierdza on, że ogółem w ciągu dwudziestu miesięcy do niewoli trafiło 206 877 czerwonoarmistów, z czego faktycznie przekazano do dyspozycji ministerstwa spraw wojskowych i poddano rygorom »niewoli wojennej« co najmniej 157 tys. osób⁴. Jednak obie te cyfry są znacząco zawyżone: 206 877 jeńców to półtora raza więcej, niż liczba żołnierzy walczących w szeregach sowieckiego Frontu Zachodniego w przededniu bitwy warszawskiej (130–150 tys. osób); przy tym warto podkreślić, że takie były szacunki Józefa Piłsudskiego, któremu bynajmniej nie zależało na pomniejszaniu liczebności wojsk sowieckich⁵. Przeważająca część jeńców została wzięta do niewoli w czasie bitwy o Warszawę lub później, przy czym byli to głównie żołnierze frontowi, jako że tyły, rozciągające się aż do Mińska, zdążyły się rozproszyć. Oprócz tego jeszcze ponad 40 tys. żołnierzy Frontu Zachodniego zostało internowanych w Prusach Wschodnich. Liczba 206 877 powstała w wyniku sumowania meldunków rozmaitych oddziałów i pododdziałów wojsk polskich, a tam na porządku dziennym było celowe zawyżanie liczby jeńców. Również różnica między całkowitą liczbą jeńców a liczbą tych, którzy trafili do obozów, obejmująca prawie 50 tys. osób, wygląda mało wiarygodnie. Tyłu ludzi nie mogło przecież wstąpić w szeregi armii Symona Petlury i Stanisława Bułak-Bałachowicza, które pod koniec wojny łącznie liczyły znacznie mniej niż 50 tys. żołnierzy.

Ilu czerwonoarmistów zmarło w polskiej niewoli?

Z Polski, według danych sowieckich, powróciło nie 67 tys., lecz 75 699 jeńców⁶. Praktycznie wszyscy trafili do niewoli w 1920 r. Oprócz tego w sierpniu i wrześniu tego samego roku, po klęsce pod Warszawą, ok. 43 tys. żołnierzy sowieckich zostało internowanych przez władze niemieckie w Prusach Wschodnich. Ilu spośród

⁴ G. Matwiejew, „U polakow takje ze impierskoje myszlenije, czto i u ruskich”, 2 III 2015 r., <https://lenta.ru/articles/2015/03/02/poland/> [dostęp: 30 VI 2017 r.]; G. Matwiejew, W. Matwiejewa, *Polskij plen. Wojennostużaszczije Krasnoj armii w plenu u polakow w 1919–1921 gg.*, Moskwa 2011, s. 43.

⁵ M. Tuchaczewski, *Pochod za Wistiu*; J. Piłsudski, *Wojna 1920 goda*, Moskwa, s. 105.

⁶ *Rossija i SSSR w wojnach XX wieka. Potieri woorużonnych sił. Statisticzeskoje issledowanije*, red. G. Kriwoszejew, Moskwa 2001, s. 128.

nich zmarło w czasie internowania – dokładnie nie wiadomo, jednak ta liczba była prawdopodobnie niewielka, ponieważ w połowie 1921 r. wypuszczono 40 986 osób, a część powróciła do kraju już wcześniej⁷. Śmiertelność była wśród internowanych przez Niemców znacznie niższa niż śmiertelność czerwoarmistów w polskiej niewoli. Można to tłumaczyć zarówno łżejszymi warunkami i krótszym okresem

Polskie władze nigdy nie zajmowały się świadomą eksterminacją sowieckich jeńców. I na tym polega zasadnicza różnica między wydarzeniami wojny 1920 r. a katyńskimi egzekucjami bez sądu.

przetrzymywania w przypadku internowanych, jak i tym, że w Niemczech nie było masowych epidemii. Mimo blokady ze strony państw Ententy kraj ten mniej ucierpiał z powodu wojny niż Polska,

k która stała się areną krwawych walk w czasie I wojny światowej.

Spośród całkowitej liczby jeńców sowieckich, którzy znaleźli się w polskiej niewoli, od 16 do 18 tys. zmarło, głównie z powodu epidemii. Około 25 tys. byłych czerwoarmistów wstąpiło do armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, oddziałów Borysa Sawinkowa i Bułak-Bułachowicza lub do innych formacji antybolszewickich, a po zawarciu rozejmu i podpisaniu pokoju ryskiego w zdecydowanej większości pozostali oni w Polsce bądź wyjechali do innych krajów Europy⁸.

Jeśli zsumować wszystkie polskie dane z ewidencji jeńców sowieckich w zobiciu na poszczególne operacje wojenne, uzyskamy wynik 118,3 tys. osób. I tak w 1919 r. trafiło do niewoli 7096 żołnierzy; 30 tys. – podczas operacji kijowskiej w kwietniu i maju 1920 r.; 41 161 – podczas kontrofensywy pod Warszawą w sierpniu i wrześniu 1920 r.; 40 tys. – w czasie ostatnich walk od 11 września do 18 października 1920 r.⁹ Oprócz tego ok. 1 tys. sowieckich jeńców zmarło już w 1919 r.¹⁰, a co najmniej 7 tys. zostało odbitych podczas kontrofensywy Armii

⁷ *Ibidem*.

⁸ Z. Karpus, W. Rezmer, *Priedistowije polskoj storony*, [w:] *Krasnoarmiejcy w polskom plenu w 1919–1922 gg. Sbornik dokumentow i matieriatow*, Moskwa 2004, s. 24.

⁹ D. Lipińska-Nałęcz, T. Nałęcz, *Naczato*, [w:] *Bielyje pjatna. Czornyje pjatna. Słożnyje woprosy w rossijsko-polskich odnoszenijach*, red. A. Torkunow, A. Rotfeld, Moskwa 2010, s. 70.

¹⁰ Z. Karpus, W. Rezmer, *Priedistowije polskoj storony*, [w:] *Krasnoarmiejcy w polskom plenu...*, s. 20.

Czerwonej na froncie południowo-zachodnim w maju i czerwcu 1920 r.¹¹ W sumie daje to liczbę 112,3 tys. jeńców, z czego 104,2 tys. przypada na 1920 rok – a to stanowi o 9,3 tys. więcej od oficjalnej liczby zaginionych bez wieści w 1920 r. na frontach zachodnim i południowo-zachodnim¹². Prawdopodobnie właśnie ta liczba – 112,3 tys. jeńców – jest najbardziej zbliżona do prawdy. Jeśli tak, to liczbę jeńców pozostałych w Polsce lub w innych krajach po zawarciu rozejmu można szacować na 19,6–20,6 tys. osób.

Nasze szacunki są zbieżne z ocenami polskiego historyka Zbigniewa Karpusa, który podaje, że po przerwaniu działań bojowych w połowie października 1920 r. w Polsce znajdowało się ok. 110 tys. jeńców sowieckich, w tym ok. 50 tys. wziętych do niewoli w walkach o Warszawę od początku sierpnia aż do 10 września; 40 tys. – od 11 września do 18 października oraz jeszcze 15–20 tys. osób schwytanych w okresie od lutego 1919 r. do lipca 1920 r. Spośród nich bez mała 25 tys. żołnierzy wstąpiło do sprzymierzonych z Polską oddziałów rosyjskich lub ukraińskich, 16–18 tys. zmarło, przy czym nazwiska ok. 12 tys. spośród nich zostały już – dzięki usilnym staraniom strony polskiej – ustalone, a około 67 tys. osób repatriowano¹³. Około 8 tys. sowieckich jeńców zmarło w obozie w Strzałkowie, blisko 2 tys. w Tucholi i 6–8 tys. w innych obozach. Nie jest wykluczone, że różnica w liczbie repatriowanych w ramach ustaleń sowieckich i polskich wynika z tego powodu, że do sowieckiej ewidencji osób repatriowanych wniesiono jeńców odbitych przez Czerwoną Armię podczas kontrofensywy w czerwcu i lipcu 1920 r.

Tymczasem według dokumentacji sowieckiej całkowita liczba zaginionych bez wieści na frontach zachodnim oraz południowo-zachodnim wyniosła 94 880, przy czym okazało się, że na froncie południowo-zachodnim jest ich o 12 730 mniej aniżeli na zachodnim, a przecież większość jeńców Polacy wzięli do niewoli właśnie na froncie zachodnim¹⁴. Świadczy to o znacznym pomniejszeniu strat sowieckich, zwłaszcza na tym froncie.

¹¹ G. Matwiejew, *Priedistorije rossijskoj storony*, [w:] *Krasnoarmiejcy w polskom plenu...*, s. 14–15.

¹² *Rossija i SSSR...*, s. 124, tab. 64.

¹³ Z. Karpus, *Russkije i ukraińskie wojennoplennyje i internirowanyje w Polsce w 1918–1924 godach*, tłum. z polskiego, Toruń 2002, s. 70–72, 147–148.

¹⁴ *Rossija i SSSR...*, s. 124, tab. 64.

Żniwo chorób

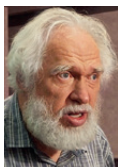
Liczebność Armii Czerwonej 1 czerwca 1920 r. wynosiła 4 424 317 żołnierzy¹⁵. W przeciągu tego roku z powodu chorób zakaźnych zmarło ich 208 519¹⁶. A zatem choroby zakaźne spowodowały zmniejszenie jej stanu osobowego o 4,7 proc. Kolejnych 39,3 tys. osób, a więc 0,9 proc., zmarło z powodu nieszczęśliwych wypadków oraz innych chorób. W polskiej niewoli, jeśli nawet przyjmiemy górną granicę 18 tys. zmarłych, umieralność była niewiele wyższa – 15,2 proc. Z powyższych statystyk wynika, że spośród 18 tys. czerwonoarmistów zmarłych w polskiej niewoli 6,3 tys. żołnierzy zmarłoby, nawet gdyby nie dostali się do niewoli, lecz znajdowali się nadal w szeregach Armii Czerwonej.

Oczywiście, polska niewola nie była dla czerwonoarmistów bynajmniej pobytom na wczasach, zwłaszcza jeśli pamięta się o panującym wówczas w Polsce kryzysie gospodarczym. Jednak polskie władze nigdy nie zajmowały się świadomą eksterminacją sowieckich jeńców. I na tym polega zasadnicza różnica między wydarzeniami wojny sowiecko-polskiej 1920 r. a katyńskimi egzekucjami bez sądu. ■

Tłumaczył z rosyjskiego Jerzy Szokalski

¹⁵ *Ibidem*, s. 117, tab. 59.

¹⁶ *Ibidem*, s. 131, tab. 167.



Borys Sokołow (ur. 1957) – historyk, filolog i publicysta rosyjski, dr hab. Autor książek: *Michaił Bułhakow. Leksykon życia i twórczości* (2003); *Polowanie na Stalina, polowanie na Hitlera. Mity i rzeczywistość. Tajne zmagania służb specjalnych w latach II wojny światowej*, (2010); *ZSRR pod okupacją. Fakty i mity* (2011); *Prawdy i mity Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941–1945* (2013) i in.



Fot. AIPN

Arkadiusz Kutkowski

IPN Radom

Śmierć ze znakiem zapytania

Wciąż nie jest jasne, kto odpowiada za śmierć ks. Romana Kotlarza w sierpniu 1976 r. Ale dzięki ostatnim działaniom pionu śledczego IPN wiemy coraz więcej o tej sprawie, a tym samym o mechanizmach działania PRL-owskiego aparatu represji wobec duchowieństwa katolickiego.

Ksiądz Kotlarz jest symbolem, swoistą „twarzą” protestu robotniczego w czerwcu 1976 r. Związane z tym wydarzenia są znane¹, przypomnijmy więc tylko, że liczący wówczas niespełna 48 lat kapłan towarzyszył radomskim robotnikom w czasie pokojowej części manifestacji 25 czerwca 1976 r. i najprawdopodobniej pobłogosławił ich w czasie przemarszu przed kościołem św. Trójcy w centrum Radomia. Po powrocie zaś do podradomskiego Pelagowa, gdzie pełnił obowiązki proboszcza, wygłosił kilka bardzo emocjonalnych kazań, w których upominał się o osoby represjonowane. Kazania te zarejestrowali funkcjonariusze SB i w kolejnych dniach ksiądz stał się obiektem szykan ze strony PRL-owskiej admi-

¹ Z wielu publikacji poświęconych ks. Kotlarzowi wymienimy kilka najważniejszych: T.A. Janusz, *Ksiądz Roman Kotlarz. Męczennik robotniczego protestu. Czerwiec 1976*, Sandomierz 1996, P. Sasanka, *Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2006, s. 312–324, S. Kowalik, *Historia badań okoliczności śmierci ks. Romana Kotlarza*, [w:] *Czerwiec 1976. Spory i refleksje po 25 latach*, red. P. Sasanka, R. Spałek, Warszawa 2003, s. 76–82, S. Kowalik, A. Kutkowski, J. Kutkowski, *...byłem z tymi ludźmi. Życie i działalność księdza Romana Kotlarza*, Radom 2007.

nistracji. 12 lipca 1976 r. został wezwany do Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu na tzw. rozmowę ostrzegawczą ze specjalnie przybyłym z Warszawy Zbigniewem Młynarczykiem, zastępcą dyrektora Departamentu Postępowania Karnego Prokuratury Generalnej, a 21 lipca 1976 r. do Kurii w Sandomierzu wpłynęło pismo Wydziału ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Radomiu informujące o „szkodliwej dla Państwa działalności ks. Romana Kotlarza z Parafii Rzymsko-Katolickiej w Pelagowie”. Równocześnie rozpoczęło się, mające już zdecydowanie kryminalny charakter, nękanie księdza przez tzw. nieznanymi sprawców, czyli funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, którzy bili go, czy wręcz torturowali na terenie plebanii w Pelagowie, a według późniejszych ustaleń prokuratury – także komendy MO w Radomiu. 15 sierpnia 1976 r. ksiądz zasnął w czasie Mszy św., nazajutrz został przewieziony do szpitala w Krychnowicach, gdzie 18 sierpnia 1976 r. zmarł. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było krwotoczne zapalenie płuc.

Śledztwo bez przełomu

Wielu mieszkańców Pelagowa już w 1976 r. nie wierzyło w podaną przez władze wersję o „naturalnym” charakterze zgonu księdza. Wątpliwości te pogłębiło stanowisko Komitetu Obrony Robotników, który w pierwszym numerze wydawanego przez siebie „Komunikatu” uznał kapłana za jedną z ofiar poczerwcowych represji². Ponieważ informacje te zbiegły się w czasie z pierwszymi oznakami liberalizacji ówczesnej, bardzo restrykcyjnej polityki karnej stosowanej wobec uczestników protestu – oznakami wymuszonymi przez stanowisko Kościoła i naciski międzynarodowej opinii publicznej – kierownictwo MSW uznało za konieczne „zajęcie się sprawą” przez podległe mu służby. W efekcie dokumentacja zgonu księdza na kilka miesięcy znalazła się w rękach SB, a czynności śledcze przyniosły próbę przedstawienia zarzutów... działaczom KOR (w tym Jackowi Kuroniowi), obwinianym o rozpowszechnianie fałszywych pogłosek na temat zgonu księdza. Niewiele w tej „narracji” zmieniło się nawet po powstaniu NSZZ „Solidarność”. Wprawdzie władze – uginając się pod postulatami związkowców – zgodziły się wszcząć śledztwo, mające wyjaśnić okoliczności sprawy, ale kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego,

² Komunikat nr 1 Komitetu Obrony Robotników, Warszawa, 29 IX 1976 r., [w:] *Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”*, oprac. A. Jastrzębski, Warszawa – Londyn 2004 r., s. 32.



Plebania w Pelagowie, w której mieszkał ks. Roman Kotlarz. Fot. AIPN

w marcu 1982 r., zostało ono umorzone wobec – jak stwierdził prowadzący postępowanie prokurator Jerzy Skrok z Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu – „niestwierdzenia faktu przestępstwa w części dotyczącej śmierci Romana Kotlarza”³.

Konkluzje te prokuratura próbowała sprawdzić już po przełomie ustrojowym w Polsce. Śledztwo w sprawie zgonu księdza w październiku 1990 r. podjęto na nowo, a czynności prokuratorskie objęły m.in. przesłuchanie niedostępnych wcześniej dla aparatu ścigania funkcjonariuszy SB zatrudnionych w Wydziale IV KW MO w Radomiu, odpowiedzialnym za zwalczanie Kościoła. Niestety, mimo tak znacznego poszerzenia materiału dowodowego, i to postępowanie zakończyło się umorzeniem. Prokuratura uznając bowiem za bezsporny fakt stosowania wobec księdza przemocy w okresie od 25 czerwca do 16 sierpnia 1976 r., uznała równocześnie za niemożliwe ustalenie ewentualnego związku przyczynowego między pobiciami a zgonem, czyli – mówiąc inaczej – stwierdzenia, że śmierć księdza posiadała przyczyny inne niż te podane już wcześniej, w sierpniu 1976 r. Prokuraturze nie udało się nawet ustalić nazwisk funkcjonariuszy winnych bicia księdza, i to pomimo zawężenie kręgu ewentualnych podejrzanych o te ekscesy do grona pracowników Wydziału IV KW MO w Radomiu (zidentyfikowanego zresztą błędnie jako komórka organizacyjna WUSW, czyli Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Radomiu)⁴.

³ AIPN 406/38, Postanowienie o umorzeniu śledztwa, 30 III 1982 r.

⁴ Archiwum Diecezji Sandomierskiej (dalej: ADS), Akta osobowe ks. Romana Kotlarza, k. 218–234.

Jednoznaczne wnioski niósł natomiast raport przygotowany jeszcze w listopadzie 1986 r. przez Wojciecha Ziemińskiego. Dokument ten, adresowany na ręce prymasa Polski kard. Józefa Glempa, stwierdzał wyraźnie: „Ksiądz Roman Kotlarz nie umarł śmiercią naturalną – a został zamęczony, zamordowany”⁵.

Funkcjonariusze zeznają

Za swoisty paradoks należy uznać, że nowy impuls sprawie nadały ustalenia grona uczniów VI LO im. Jana Kochanowskiego w Radomiu przygotowujących publikację o ks. Kotlarzu w ramach konkursu Ośrodka „Karta” i Fundacji Batorego na pracę o najnowszej historii Polski⁶. Uczniowie ci, zbierając materiały o szykanowaniu księdza już po proteście czerwcowym, trafili na relację byłego milicjanta Jacka Nowakowskiego, który opisał swojego kolegę, też funkcjonariusza MO, mającego bić księdza jako ostatni. „190 cm wzrostu, człowiek z desantu, jakby walnął, urwałby łeb” – brzmiało przesłanie Nowakowskiego. Trop ten podjęła najpierw prokuratura radomska, a później – po szeregu decyzji proceduralnych, niewymagających tu bliższego omówienia – także pion śledczy IPN, prowadzący postępowanie w sprawie funkcjonowania w MSW tzw. grupy „D”, czyli struktury odpowiedzialnej za najdrażniejsze szykany przeciwko księżom w czasach PRL, w tym skrytobójcze mordy.



Ks. Roman Kotlarz był znakomitym mówcą. Kazania, które wygłaszał, władze interpretowały często jako „antypaństwowe” i „polityczne”.

Fot. AIPN

⁵ Sprawozdanie dla prymasa Polski w sprawie śmierci ks. Romana Kotlarza, [w:] S. Kowalik, A. Kutkowski, J. Kutkowski, *...byłem z tymi ludźmi...*, s. 136–137.

⁶ Uczniami tymi byli: Szczepan Kowalik, Piotr Krakowski, Tomasz Pyziara i Jarosław Sako-wicz. Ich praca, zatytułowana *Ksiądz Roman Kotlarz – obrońca wolności, prawdy i sprawiedliwości*, zdobyła pierwsze miejsce w konkursie. Opiekę naukową nad pracą sprawowała dr Elżbieta Orzechowska.

W efekcie doszło do kolejnej serii działań śledczych, w czasie których przeprowadzono pogłębioną kwerendę w materiałach IPN-owskich, łącznie z analizą akt sprawy „Życzliwi/Maniacy”, obejmującej „rozpracowanie” środowiska współpracowników KOR w Radomiu w latach 1976–1978. Równie ważne było ponowne sięgnięcie do relacji funkcjonariuszy SB – także zatrudnionych w MSW – mogących posiadać wiedzę o represjonowaniu księdza, i analiza pod tym kątem ich teczek personalnych. Kwerendami objęto również osoby kontaktujące się z ks. Kotlarzem w ostatnich dniach jego życia oraz świadków składających wcześniej zeznania w jego sprawie⁷.

Jaki obraz wyłania się z tych czynności? Otóż – co najmniej zaskakujący. Wiele do sprawy wniosły przede wszystkim zeznania Ryszarda Rypińskiego, w 1976 r. naczelnika Wydziału IV KW MO w Radomiu. Według Rypińskiego, SB zajęła się księdzem po donosach sugerujących jego solidaryzowanie się z protestem czerwcowym, donosach – co ważne – spływających z terenu Pelagowa. Chcąc sprawdzić te informacje, kierownictwo komendy poleciło nagrać kazanie Kotlarza w czasie Mszy św. 11 lipca 1976 r. Zadanie to wykonała ekipa złożona z trzech funkcjonariuszy, z kpt. Władysławem Sentkiewiczem na czele. Kazanie rzeczywiście zawierało elementy nawiązujące do sytuacji osób protestujących, i dlatego Rypiński sporządził streszczający je meldunek służbowy, który z podpisem zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu, płk. Tadeusza Szczygła, trafił do Departamentu IV MSW. Wtedy zaczął się – jak stwierdził Rypiński – „dość krótkotrwały szum”, wydzwanianie z Warszawy z pretensjami, że do meldunku nie dołączono nagrania⁸.

Kluczowe dla sprawy okazało się jednak dopiero spotkanie zespołu ds. porządku publicznego w Radomiu w dniu 13 lipca 1976 r. Uczestniczyli w nim m.in. Janusz Prokopiak, I sekretarz KW PZPR w Radomiu, i Marian Mozgawa, komendant wojewódzki MO w Radomiu, a także – z uwagi na to, że jeden z punktów obrad dotyczyć miał ks. Kotlarza – Rypiński. Przebieg spotkania naczelnik Wydziału IV streścił następująco: „Podczas dyskusji przedstawiłem propozycję, aby do ks. Kotlarza wysłano posterunkowego lub komendanta z Kowali, który miałby zwrócić mu uwagę na – ogólnie mówiąc – niestosowność wtrącania się do polityki. Argumentowałem to tym, że parafia ks. Kotlarza jest bardzo mała, na obrzeżu, na sumie bywa najwyżej

⁷ M. Rusek, *Sprawiedliwości nie będzie*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Radomski”, 3 VI 2016 r.

⁸ Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (OKŚZpNP), Akta sprawy S. 17/06/Zk/XVI, Protokół przesłuchania świadka, 24 IX 2013 r., k. 1369.

do 50 osób, które nie »wynoszą« takich informacji na zewnątrz. Niestety ze strony Mozgawy nastąpiło veto, wręcz zmroził mnie swoim wzrokiem. Jego propozycja była inna, mianowicie chciał, aby na tzw. rozmowę profilaktyczno-ostrzegawczą wezwano ks. Kotlarza do Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. Podał nazwisko prokuratora, wicedyrektora departamentu z Prokuratury Generalnej. Ja zaprotestowałem, nawet wskazałem, że przypomina to strzelanie z armaty do wróbla. Nic to nie dało, zaaprobowano propozycję Mozgawy”⁹.

Przekaz ten rzeczywiście rzuca nowe światło na sprawę ks. Kotlarza. Ale referując go, należy pamiętać, że o podobnej sekwencji zdarzeń Rypiński nie wspominał w czasie swojego pierwszego przesłuchania w prokuraturze w listopadzie 1990 r. – nadmieniał wówczas jedynie ogólnikowo, iż wzmiankowaną rozmowę profilaktyczno-ostrzegawczą „dyskutowano z Wydziałem IV MSW i czynnikami politycznymi”. Żałować też należy, że przebiegu posiedzenia nie może skomentować komendant Mozgawa, który zmarł w 2005 r.

W cieniu grupy „D”

Czynności śledcze – co równie ważne – potwierdziły zainteresowanie sprawą ks. Kotlarza wspomnianej już grupy „D”. Dowodzą tego jednoznacznie materiały radomskiej SB, zwłaszcza opracowany 22 listopada 1976 r. „Plan operacyjnych przedsięwzięć w obrębie SOR »Maniacy«, który nakazywał przygotować wspólnie z grupą (nazwaną zespołem „D”) dokument dotyczący śmierci ks. Kotlarza w celu – zacytujmy – „wywołania odpowiednich reperkusji ze strony hierarchii kościelnej”¹⁰. Dokumentu tego nie udało się odnaleźć, ale wiadomo, że do grupy „D” trafiły też kolejne partie materiałów o księdzu, w tym listy obwiniające członków KOR o rozpowszechnianie fałszywych informacji na temat ofiar poczerwcowych represji. Przesłuchiwany na tę okoliczność Jan Turczynowski, zastępca naczelnika Wydziału IV SB KW MO w Radomiu, próbował marginalizować swoje zaangażowanie w tę operację, ale gdy prokurator okazał mu część akt SOR „Maniacy”, zdobył się na zaskakującą wypowiedź. Otóż jak stwierdził, „działania D” miały na celu „wyciszenie sprawy śmierci ks. Kotlarza [...], choć logicznie rzecz biorąc wydawałoby się,

⁹ *Ibidem*, k. 1369–1370.

¹⁰ AIPN Ra 05/226 t. 1, Plan operacyjnych przedsięwzięć w sprawie operacyjnego rozpracowania krypt. „Życzliwi”, 22 XI 1976 r., k. 43.



Pogrzeb ks. Romana Kotlarza w Pelagowie w sierpniu 1976 r. Fot. AIPN

iz skoro śmierć ks. Kotlarza była naturalna, to takie działania nie powinny być do niczego potrzebne”¹¹. Jeszcze istotniejsza była kolejna konkluzja Turczynowskiego, który pytany o bicie ks. Kotlarza zeznał najpierw, że nic mu nie wiadomo o „grupie funkcjonariuszy, która nocą jeździła do ks. Kotlarza i brała udział w jego pobiciu na plebanii w Pelagowie”, by w końcu, po serii „dociskających” pytań prokuratora, przyznać: „Dochodziły mnie sygnały, iż ksiądz Kotlarz był pobity przez milicję [...]. Wówczas był to gorący okres w Radomiu i myśląc o tej sprawie, nie wykluczałem jakiejś prowokacji wobec księdza ze strony funkcjonariuszy lub członków ORMÓ, lecz nie miałem na to żadnych dowodów”¹². Dodajmy, że przełożony Turczynowskiego, wspomniany już Rypiński, wcześniej wykluczył, by za jego kadencji na terenie podległej mu jednostki były realizowane jakiegokolwiek „działania specjalne”, a on sam nie wiedział nawet o istnieniu grupy „D”¹³.

¹¹ OKŚZpNP w Warszawie, Akta sprawy S. 17/06/Zk/XVI, Protokół przesłuchania świadka, 13 VI 2013 r., k. 1270.

¹² *Ibidem*.

¹³ OKŚZpNP w Warszawie, Akta sprawy S. 17/06/Zk/XVI, Protokół przesłuchania świadka, 24 IX 2013 r., k. 1371.

Kto bił księdza?

Niewątpliwie najbardziej „gorącym” wątkiem śledztwa była jednak sprawa pobić ks. Romana Kotlarza. Śledczy z IPN dysponowali relacją „wywołanego” przez pracę uczniów milicjanta Nowakowskiego, który zeznał, że na przełomie czerwca i lipca 1976 r. czterosobowa ekipa funkcjonariuszy pojechała samochodem służbowym do Pelagowa, by przeprowadzić z księdzem rozmowę ostrzegawczą. „Wizyta” przebiegała mało fortunnie, bo gdy funkcjonariusze już po zakończeniu swych „czynności” próbowali wyjechać z terenu plebanii, samochód ugrzązł w błocie i zakopał się. Chwilę później z plebanii wyskoczył ks. Kotlarz, który zaczął wykrzykiwać „bandyci!”, „bezpieka!”, „ratunku!”. Wówczas kierowca auta – zacytujmy – „myśląc, że jeszcze ich tu złapią ludzie ze wsi, wyskoczył zza kierownicy i pobiegł w kierunku księdza. Chciał go wepchnąć do mieszkania, ale ksiądz się nie dawał i w dalszym ciągu krzyczał. W końcu udało mu się wepchnąć księdza do środka mieszkania i aby go uciszyć, uderzył pięścią w twarz księdza. Ksiądz pod wpływem tego ciosu przeleciał przez jakąś wersalkę czy krzesło i upadł na podłogę”¹⁴.

Nowakowski w swojej relacji podał nazwisko kierowcy – okazał się nim ten sam funkcjonariusz, który jeździł później do Pelagowa nagrywać kazania ks. Kotlarza. Z jego teczki personalnej wynikało, że dwukrotnie uczestniczył w realizowanych przez Wydział IV KW MO w Radomiu „działaniach specjalnych”, odznaczając się przy tym „zdecydowaniem i odwagą”. Niestety – przesłuchanie go i ewentualne przedstawienie zarzutów okazały się niemożliwe, gdyż w czasie czynności śledczych już nie żył¹⁵.

Okoliczność ta przesądziła o stanowisku prokuratury, która uznała, że nie dysponując możliwością poszerzenia materiału dowodowego w sprawie, postanowiła nie podejmować umorzono w 1991 r. w śledztwa. Uzasadnienie tej decyzji było jednak znaczące. Jak stwierdzili śledczy: „Na skutek decyzji nieżyjącego już komendanta Mozgawy sprawa przeciwdziałania negatywnym dla ówczesnych władz wypowiedziom księdza zyskała bardzo dużą rangę i była prowadzona operacyjnie przy zaangażowaniu wielu funkcjonariuszy. W kontekście ujawnionych planów SB totalnej

¹⁴ *Ksiądz Roman Kotlarz (1928–1976)*, [broszura z serii *Patroni naszych ulic*], Warszawa 2016 r., s. 21.

¹⁵ OKŚZpNP w Warszawie, Akta sprawy S. 17/06/Zk/XVI, Notatka urzędowa, 17 X 2013 r., k. 1381.

rozprawy z uczestnikami robotniczego protestu [...] funkcjonowania nieformalnych grup funkcjonariuszy operacyjnych oraz chęci zrobienia przez nich karier zawodowych, doszło do co najmniej dwukrotnego pobicia ks. Kotlarza. Musi budzić [również] wątpliwość fakt, iż w opisie wyglądu zwłok księdza nie ujawniono zewnętrznych obrażeń ciała, które widzieli świadkowie na krótko przed pójściem księdza do szpitala”¹⁶.

Pytania wciąż bez odpowiedzi

Decyzja prokuratury nie musi oczywiście kończyć „sprawy” ks. Kotlarza. Na wyjaśnienie czekają chociażby kontrowersje związane z sekcją zwłok kapłana, przeprowadzoną – według zgodnych relacji funkcjonariuszy SB – na wyraźne życzenie komendanta Mozgawy. Można zapytać: skąd ta decyzja, skoro kierownictwo KW MO w Radomiu do końca utrzymywało, że „sprawy” księdza nie ma, a pogłoski o jego biciu ujawniły się dopiero po zgonie? Dalej: jak przebiegały czynności sekcyjne, skoro dokumentujący je protokół nie posiadał – i nie posiada nadal – pieczętki nagłówkowej i podpisu lekarza, na co zresztą zwrócili już uwagę funkcjonariusze Biura Śledczego MSW w lipcu 1977 r.? I wątpliwość zasadnicza: czy tak sporządzony protokół mógł w ogóle służyć jako dowód w sprawie?

Podobne pytania można mnożyć. Dobrą okazją, by podjąć próbę znalezienia na nie odpowiedzi, jest przypadająca w przyszłym roku dziewięćdziesiąta rocznica urodzin księdza. ■

¹⁶ *Ibidem*, k. 1384.



Arkadiusz Kutkowski (ur. 1958) – historyk, dr, pracownik Delegatury IPN w Radomiu, działacz opozycji w PRL. Autor . . . *jak my ich nienawidzimy. Represje sądowe po radomskim Czerwcu 1976 r.* (2016).



Fot. K. Raczkowiak

Łukasz Sołtysik

IPN Wrocław

Polowanie na ludzi

Zbrodnia lubińska 31 sierpnia 1982 roku

Czy protesty z pierwszych dni stanu wojennego oraz prężna działalność struktur podziemnej Solidarności wpłynęły na decyzję władz wojewódzkich, aby w drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych użyć siły i broni palnej przeciwko pokojowej manifestacji?

Prawie siedemdziesięcioletni Lubin na Dolnym Śląsku jest stolicą Zagłębia Miedziowego i siedzibą Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi. Wbrew obiegowej opinii o „czerwonym województwie”, społeczeństwa ówczesnego województwa legnickiego z lat osiemdziesiątych XX w. nie można określić mianem biernego i podporządkowanego władzy. Świadczą o tym strajki latem 1980 r. i okres szesnastu miesięcy Solidarności, kiedy zbudowano prężne struktury związkowe, współtworzące Region Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”. Po 13 grudnia 1981 r. zaskoczeniem dla władz okazała się liczba strajków w województwie (wyższa na tle innych podobnych województw) oraz silny opór załóg w niektórych zakładach KGHM.

Sytuacja Solidarności w Zagłębiu Miedziowym po 13 grudnia 1981 r.

Wprowadzenie stanu wojennego, represje oraz brutalna pacyfikacja protestów były dla Polaków szokiem. W województwie legnickim strajkowały załogi blisko dwudziestu zakładów (głównie KGHM). Najdłużej strajkowali hutnicy z Huty Miedzi „Głogów” w Żukowicach koło Głogowa, największym (ok. 7 tys. uczestników), a przy tym dramatycznym protestem był z kolei strajk w Zakładach Górniczych „Rudna” w Polkowicach. W kopalni „Rudna” strajkiem kierował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS), którego przywódcy (przewodniczący Andrzej Poroszewski, Franciszek Kamiński, Paweł Kotlicki i Grzegorz Laska) po pacyfikacji ukrywali się i organizowali działalność konspiracyjną. Tworzono tajne zakładowe ogniwa Solidarności, których członkowie zbierali składki na działalność podziemną oraz udzielali pomocy osobom ukrywającym się, internowanym, więzionym i zwolnionym z pracy. Od 19 grudnia 1981 r. ukrywający się członkowie MKS wydawali pismo „Biuletyn Informacyjny Stanu Wojny”, które od marca 1982 r. nosiło nazwę „Zagłębie Miedziowe”.

13 grudnia 1981 r. została internowana większość członków legnickiego Zarządu Wojewódzkiego Oddziału Delegatury Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. Niemniej już dwa dni później utworzono MKS NSZZ „Solidarność” w Legnicy, który w myśl instrukcji Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i Regionalnego Komitetu Strajkowego (RKS) NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk w podziemiu kontynuował działalność legalnie wybranych legnickich władz Związku. Zbierano składki związkowe, kolportowano własne pisma podziemne i sprowadzane z Wrocławia, prowadzono akcje ulotkowe i pisania haseł na murach. Najważniejszym orężem było wolne słowo. Do końca sierpnia 1982 r. działacze MKS w Legnicy wydawali kilka pism, m.in. „Na Bieżąco... Wojenny Serwis Informacyjny”, „Solidarność Zagłębia Miedziowego” i „Skos”.

Obie wspomniane ponadzakładowe struktury niezależnie od siebie utrzymywały stałą łączność z wrocławskim RKS, a od marca 1982 r. także ze sobą. Między majem a lipcem 1982 r. doszło do konsolidacji struktur wydawniczych i kolportażowych Zagłębia Miedziowego i Legnicy. W ich miejsce utworzono Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną (MKK) NSZZ „Solidarność” Województwa Legnickiego.

Przygotowania do obchodów

Nieskuteczna okazała się przeszło półroczna taktyka Solidarności polegająca na organizowaniu strajków i krótkich przerw w pracy. Po każdej akcji następowały kolejne represje, które rozбивały z trudem budowane tajne struktury zakładowe. Wysuwane apele do władz o zwolnienie pozbawionych wolności działaczy opozycji, zniesienie rygorów stanu wojennego oraz podjęcie rozmów w sprawie ugody narodowej nie znajdowały odzewu. We Wrocławiu 13 i 28 czerwca zorganizowane i przeprowadzone z sukcesem przez Solidarność Walczącą – nowo powstałą organizację podziemną – manifestacje uliczne pokazały, że w społeczeństwie dolnośląskim skumulowała się chęć wyrażenia sprzeciwu wobec polityki komunistów. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” 28 lipca 1982 r. wezwała do pokojowych manifestacji ulicznych we wtorek 31 sierpnia 1982 r. Apel ten poparły RKS Dolny Śląsk, MKS w Legnicy i MKK Województwa Legnickiego i został on opublikowany na łamach prasy podziemnej. W sierpniu Władysław Frasyniuk, przewodniczący RKS, spotkał się z przedstawicielami dolnośląskich struktur konspiracyjnych. W Lubinie odbyło się podobne spotkanie przedstawicieli kilkunastu miast województwa legnickiego. W Lubinie manifestację zaplanowano na pl. Wolności (dziś Rynek) o 15.30.

Od początku sierpnia o planowanej manifestacji informowały ulotki, kolportowane w całym województwie. Manifestanci mieli żądać zniesienia stanu wojennego, uwolnienia więzionych i internowanych, reaktywowania działalności zawieszonych organizacji zawodowych i społecznych, w tym NSZZ „Solidarność”. Podkreślano pokojowy charakter manifestacji. Zachęcano, aby uczestnicy przynieśli ze sobą kwiaty w celu ułożenia kwietnego krzyża. W ten symboliczny sposób chciano dać wyraz wierności ideom Solidarności.

Dla władz wojewódzkich nie było tajemnicą, że podziemna Solidarność przygotowywała pokojową manifestację. Rządząca od 13 grudnia 1981 r. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego dała Ministerstwu Spraw Wewnętrznych zielone światło na działania „łącznie z użyciem broni”. Takie dyspozycje wydał również płk Bogdan Garus, zastępca komendanta wojewódzkiego MO w Legnicy. Uczestników nielegalnych w oczach władz zebrań na placach należało traktować jak „twórców nielegalnych zgromadzeń, [a w konsekwencji] działać zdecydowanie”. W Lubinie „ład i porządek” planowano utrzymać z pomocą



„Nielegalne zgromadzenie” na pl. Wolności. Zdjęcie operacyjne SB. Fot. AIPN

218 funkcjonariuszy, w tym 71 milicjantów mundurowych, 20 w cywilu (operacyjnych), 6 ze Służby Ruchu Drogowego, 34 członków ORMO oraz 33 funkcjonariuszy ROMO. Większość z nich skierowano na pl. Wolności, który podzielono na trzy rejon. Dowódcami rejonów byli por. Stanisław Szymański, por. Zdzisław Kłęski i por. Jan Maj, który odpowiadał za całość zabezpieczenia prewencyjnego. Członkowie ORMO i funkcjonariusze ROMO byli wyposażeni w środki chemiczne, pałki i hełmy. Milicjanci otrzymali broń palną, głównie pistolety maszynowe Rak oraz dwa kbk-AK. Każdemu wydano po 90 sztuk amunicji.

Początek manifestacji

Po godzinie 14.00, kiedy w kopalniach pracę zakończyli górnicy pierwszej zmiany, w centrum miasta zaczęły się pojawiać grupy mieszkańców. O 15.00 pracę zakoń-

czyli pracownicy innych zakładów pracy i na pl. Wolności naprzeciwko Ratusza i wokół nieistniejącego już pawilonu handlowo-usługowego, gdzie mieściła się restauracja „Ratuszowa”, zaczęli gromadzić się ludzie. Naprzeciwko zebranych, przed ratuszem, w odległości 10–15 m, stało osiemdziesięciu funkcjonariuszy NOMO, ROMO i ORMO. W chwili rozpoczęcia manifestacji na miejscu przebywało do 2 tys. osób, w tym kobiety i dzieci. W ciągu kolejnych kilkunastu minut liczba uczestników rosła. Sekwencja wydarzeń jest trudna do precyzyjnego ustalenia, niektóre działy się bowiem równolegle, częściowo się nakładały lub następowały krótko po sobie.

O 15.30 przez plac przejechała na sygnale karetka pogotowia, która zatrzymała się wśród zgromadzonych ludzi na rogu pl. Wolności i ulicy biegnącej ku kościołowi pw. Matki Boskiej Częstochowskiej. Wsiedli z niej dwaj mężczyźni (kierowcą był Józef Pietkiewicz), którzy dołożyli wiązanki kwiatów do układanego

Funkcjonariusze wielokrotnie bez powodu strzelali pociskami z gazem łzawiącym, petardami oraz z ostrej amunicji do ludzi spokojnie idących ulicami, stojących na przystankach autobusowych, w oknach i balkonach mieszkań, a nawet na placach zabaw.

już w tłumie na ulicy przez Stanisława Śniega i Jana Madeja krzyża z kwiatów. Po nich czynili to dalej inni ludzie. Następnie manifestację poprowadził jej współorganizator – Stanisław Śnieg. Powiedział krótko o jej celu i o rocznicy podpisania porozumienia gdańskiego. Podkreślił, że zebranie ma charakter pokojowy. Zaintonował hymn narodowy, potem

Rotę i *Boże coś Polskę*, które przeplatano skandowanymi hasłami, m.in. „Uwolnić internowanych”, „Znieść stan wojenny”. Kiedy jeszcze ludzie śpiewali, milicjanci obrzucili tłum granatami z gazem łzawiącym. Po drugiej stronie na pl. Wolności wjechały dwie ciężarówki z I plutonem ZOMO z Legnicy. Przybyli funkcjonariusze pobrali z nich broń i amunicję. Następnie ustawili się w szyku razem z pozostałymi funkcjonariuszami, twarzą w kierunku manifestantów, mając za plecami Ratusz. Nadjechał wóz milicyjny, z którego przez głośniki wzywano do rozejścia się. Widząc to, Śnieg ogłosił, że cel manifestacji został osiągnięty, uznał ją za zakończoną i wezwał ludzi do rozejścia się do domów. Niektórzy mieszkańcy miasta powoli zaczęli się rozchodzić, lecz z powodu wysokiej frekwencji nie dzia-

ło się to zbyt szybko. Potem wypadki przybrały nieoczekiwanie tragiczny bieg. Z perspektywy dowodzących akcją MO, tłum natychmiast nie podporządkował się poleceniu przerwania manifestacji i nie rozszedł się. Nie dano czasu ludziom na spokojne rozejście się i zdecydowano się na brutalne rozpędzenie „bezprawnego zbiegowiska”.

„Jeździli jak kowboje”. Zbrodnia w relacjach¹ świadków

Stanisław Śnieg: „Niektóre granaty wystrzeliwane pod nogi manifestującym odbijały się od bruku i uderzały w ludzi. Zauważyłem, że jednego mężczyznę granat ugodził w klatkę piersiową. Przy próbie odrzucenia go dłoń mu zaczęła płonąć. Nie wytrzymałem nerwowo, wrzasnąłem »Po cholere strzelacie?! Przecież ludzie już się rozchodzą!«. Wówczas jeden z nich podbiegł do mnie z zamiarem uderzenia mnie pałką szturmową. [...] Zamknąłem na moment oczy [...]. Gdy je otworzyłem, ujrzałem, że uzbrojoną w pałkę dłoń milicjanta trzymał jakiś oficer MO, który powiedział: »Panie Śnieg – do domu! Do domu!«. Odrzekłem: »Dlaczego przeszkadzacie nam iść do domu?!«”.

Mirosław Bodnar: „Zauważyłem, że milicjanci przegrupowali się i zwartym szykiem stanęli pomiędzy tłumem [...] a Ratuszem. Zaczęli strzelać ludziom pod nogi z pocisków z gazem łzawiącym. Plac wypełnił się gęstymi oparami gazów. W tym czasie wiatr wiał od Osiedla Przylesie i chmury gazu dławily ludzi. Poczęli się rozbiegać, biegli w miejsca, gdzie zagęszczenie gazu było mniejsze. [...] Od Rynku w kierunku ul. Odrodzenia zwartym kordonem szli milicjanci, towarzyszyły im nyski i strzelali do ludzi, początkowo pociskami z gazem łzawiącym. My obeszlśmy kościół i podeszliśmy pod zabytkowe mury obronne. [...] I tam przekonałem się, że milicjanci strzelają z ostrej amunicji, bo ze ścian budynku sypał się tynk. Strzelano również w kierunku muru obronnego. Tu postrzelony został mężczyzna w brzuch i rękę. Ludzie natychmiast udzielili mu pomocy. Przenieśli go do prywatnego samochodu”. Strzelano

¹ Wszystkie za: *Wywiady i relacje*, [w:] S. Śnieg, *Alarm dla miasta Lubina!*, Lubin 1992, s. 39–64. Więcej dokumentów i protokołów przesłuchań świadków zob.: *Zbrodnia Lubinińska 1982. Dokumenty*, t. II: *Dochodzenie do prawdy*, cz. 1: *Bezpieczne przekraczanie progu sierpniowego*, cz. 2: *Kiedy opadł gaz łzawiący*, cz. 3: *W drodze do raportu*, wstęp, wybór i oprac. P. Piotrowski, M. Zawadka, Lubin – Wrocław 2008.



Fot. K. Raczkiwiak

do ludzi z kilkudziesięciu metrów na wprost. „Ja skryłem się za drewniany barak stojący przy budowanej wówczas plebanii. Pociski uderzały w deski tak, że sypały mi się drzazgi na głowę. Uciekłem pod bramę Małego Kościoła [pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa]. Ciągłe strzelano, podziurawiono drzwi kościoła. Skryłem się za kościół”.

Ireneusz Lao: „Po ułożeniu krzyża z kwiatów, właściwie ten krzyż nie był jeszcze dokończony. Tam był napis »Niech żyje Solidarność« i coś jeszcze. Nie doszedłem tam, bo zaczęli rąbać z petard i gazów łzawiących. Ludzie się rozpiechli. Oni zaczęli gonić w stronę Baszty Głogowskiej. Ten krzyż rozdeptali, kwiaty porzucali, cofnęli się z powrotem pod bar samoobsługowy koło ul. Mieszka I, strzelając cały czas. Działo się to ok. 15.30. Ludzie ponownie zaczęli układać krzyż z kwiatów. [...] Oni [...] raz strzelali w jedną, raz w przeciwną. Strzelali z granatów łzawiących. Wiatr wiał w kierunku ludzi [...]. Większa ilość poszła w kierunku

Małego Kościoła. Ludzie odrzucali granaty z gazem w kierunku milicjantów, ale żadne cegły czy inne ostre przedmioty nie były w ogóle używane. Oni zrobili kordon i szli przez trawnik koło baru, zaczęli strzelać w kierunku [Osiedla Przylesia]. Jeszcze przedtem ktoś przyniósł kulę i mówił: »Uważajcie, bo strzelają z ostrych«. Nikt z początku nie wierzył. Ale później, gdy oni zaczęli siekać, a tynk zaczął odlatywać, ludzie się przestraszyli. Najpierw z ostrych strzelali [...] po asfalcie. Rykoszety szły prosto na ludzi. Nie widziałem, by tam ktoś w tym momencie dostał, bo był duży tłok. Słyszałem jakieś jęki, ale nie widziałem tego osobnika. Wtedy [...] przeszedłem w stronę plebanii koło Małego Kościoła i tam chciałem odrzucić granat z gazem łzawiącym, który upadł koło mnie. Wtedy puścili serię. Jedna z kul trafiła mnie w nogę. Szli od strony Rynku. Zrobili tyralierę. Było ich z piętnastu. Część z nich strzelała z grantów łzawiących a część z ostrej amunicji. [...] Jakbyśmy chcieli rzucić kamieniami, to przeciętny człowiek na pewno by nie dorzucił. A oni mówią, że brukami. A tam bruków w ogóle nie ma. Tam jest asfalt wylany”.

Witold Kowalczyk: „Znalazłem się na skrzyżowaniu ulicy Kopernika z ul. Odrodzenia koło Poczty Głównej. Będąc tam, zauważyłem, że u wylotu ulicy Odrodzenia na pl. Wolności stoi duży kordon milicjantów, zwrócony frontem w kierunku Małego Kościoła. Część tego kordonu przegrupowała się i ruszyła ulicą w naszym kierunku. Zaczęliśmy się wycofywać z ul. Odrodzenia w kierunku pijalni piwa Gwarek. Milicjanci, znalazłszy się na opuszczonym przez nas skrzyżowaniu, oddali w naszym kierunku salwę z pistoletów KBKA[K]. Po oddaniu strzałów wycofali się. Gdy ludzie się rozpierzchli, zauważyłem, że dwóch mężczyzn leży przy krawężniku ul. Kopernika”. Byli to śmiertelnie ranni Andrzej Trajkowski i Mieczysław Poźniak.

Jan Madej: „Zarówno piesi milicjanci, jak również funkcjonariusze znajdujący się w nyskach strzelali z ostrej amunicji w kierunku zgromadzonych ludzi. [...] Udało mi się [...] przebiec od skrzyżowania ulicy Kopernika z ul. Odrodzenia. Niedaleko tego skrzyżowania stała grupa ludzi koło dużej grubej krwawej plamy. Powiedziano mi, że to właśnie zabito dwóch ludzi”.

Edward Wertka: „[...] Duża grupa ludzi stała nad strumykiem Baczyną. W ich kierunku milicjanci stojący w Rynku strzelali z petard i z ostrej amunicji. Ludzie nie odrzucali nawet petard, bowiem odległość była zbyt wielka. [...] W tym czasie

trzy milicyjne nyski urządziły rajd w kierunku owej grupy ulicą, po trawnikach i skwerkach. Podjechawszy bliżej grupy ludzi, rozpoczęli ostrzeliwać ją z granatów i ostrej amunicji. Widziałem w górnym łuku wychyłego milicjanta strzelającego z pistoletu maszynowego KBK-AK. Z otwartych drzwi bocznych milicjanci rów-

» **Po demonstracji władze natychmiast przystąpiły do zacierania po niej śladów. Funkcjonariuszom wydano polecenie, aby nie przyznawali się do używania broni z amunicją bojową.** »

niez strzelali. [...] Jak puszczano serię, to piach podskakiwał. Niektórzy ludzie kładli się, inni znów uciekali. Nyski wracały do Rynku, by po chwili ponownie ruszyć z nagonką. Rajdy te powtarzały się kilkakrotnie. Jeździli jak kowboje, strzelając za uciekającymi ludźmi”.

Mirosław Kwiatkowski: „[...] Uciekałem w kierunku Dużego Kościoła

[pw. Matki Boskiej Częstochowskiej – Ł.S.], chciałem się w nim skryć, lecz zauważyłem, że milicjanci wyciągają ludzi z kościoła i biją ich pałkami. Widziałem, jak bili pałkami starszą kobietę. Uciekłem do Bramy Głogowskiej, gdzie stał szpaler ormowców. [...] Stojąc na murku i obserwując strzelających milicjantów, zostałem postrzelony w głowę. Strzelono do mnie z tyłu. Zostałem ugodzony w kość ciemieniową. Podbiegły dwie kobiety i zaprowadziły mnie do klatki schodowej, gdzie obandażowały mi głowę. Potem ludzie odprowadzili mnie pod Dom Kultury Zagłębia Miedziowego, skąd do szpitala zabrała mnie karetka pogotowia”.

Henryk Huzarewicz: „W trwającym grzmocie petard i granatów łzawiących rzeczywiście można było odróżnić grzechot wystrzałów z pistoletów maszynowych, ale byłem przekonany, że strzelają ślepyi. Przeciąwszy ul. Ścinawską, podwórkami przeszliśmy pod stare mury obronne. Tam, stojąc z rękoma w kieszeniach, przyglądałem się tyralierze ZOMO-wców, idących od strony Ratusza. Poczujęł gwałtowny ból lewej dłoni. Wyciągnąłem ją z kieszeni, była poszarpana i tryskała krwią. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało. Później okazało się, że jestem ranny także w prawe przedramię i w brzuch. Stałem bowiem bokiem do linii wystrzału i kula, przeszywając mi lewą dłoń, przeszła przez brzuch, a następnie przez prawe przedramię, gdzie znalazła swój wylot. Miałem jeszcze tyle sił, że starczyło na ucieczkę. Kolega podarł swoją koszulę i opatrzył mi rękę. Traciłem siły. Pamiętam jeszcze, że czterech przygodnych

ludzi niosło mnie w kierunku Małego Kościoła. Po drodze jacyś ormowcy usiłowali nas wylegitymować. Pogoniono ich. Wsadzono mnie do małego fiata i przewieziono [Jan Madej] do szpitala przy ul. Bema”.

Andrzej Dudziak: „Gdy koło nas uspokoiło się na chwilę, usiadłem na murku koło gabloty z ogłoszeniami i zapaliłem papierosa. Byłem odwrócony tyłem do Rynku. Wówczas zostałem postrzelony w piszczel lewej nogi oraz w prawą stopę. Zauważyłem, że gablota jest również postrzelana. [...] Przypuszczam, że była to seria oddana w moim kierunku. Wstałem i chciałem iść, lecz poczułem silny, drętwy ból i upadłem na trawnik. Podbiegli do mnie ludzie, ułożyli mnie na ławce, założyli opatrunek uciskowy. Po pewnym czasie [...] przyjechała karetka pogotowia i odwiozła mnie do szpitala...”.



Grupa mężczyzn ze śmiertelnie postrzelonym Michałem Adamowiczem. Fot. K. Raczkowiak

Trzecią ofiarą śmiertelną był Michał Adamowicz, trafiony, gdy przebiegał przez mostek nad potokiem Baczyna.

Mateusz Borkowski: „Ktoś krzyknął: »Na mostku leży ranny!«. Podbiegłem do mostku i zobaczyłem mężczyznę leżącego twarzą do betonu. Z przestrzelonej potylicy głowy płynęła krew. Ktoś na ranę położył chusteczkę do nosa, by zatamować płynącą krew. Ktoś pomógł mi go odwrócić. Twarz jego była zmasakrowana, postrzępiona. Zamierzaliśmy go nieść, lecz ktoś krzyknął: »Jadą samochody!«. Po łące od strony ronda jechała milicyjna nyska. W otwartych drzwiach bocznych siedzieli milicjanci, strzelając w naszym kierunku. Widać było, jak pociski zrywają kępki traw. Położyliśmy się na ziemi. Nyska pojechała w kierunku ul. Sikorskiego. Podnieśliśmy się, chwyciliśmy rannego za ręce i nogi i biegiem ponieśliśmy go do ronda. Ktoś, kto biegł wcześniej, przy przystanku autobusowym zatrzymał jakiś prywatny wóz osobowy [...]². Po wyjęciu tylnych siedzeń i zapakowaniu ich do bagażnika ułożyliśmy tam rannego i jeden z naszej grupy siadł do wozu, podtrzymując mu głowę. [...]. Zbliżając się do ul. Świerczewskiego, zauważyliśmy, że biegnie dwóch mężczyzn, uciekając przed ścigającym ich samochodem milicyjnym. Jeden z nich skręcił gwałtownie w bok między drzewa. [...] Drugi mężczyzna uciekał zygzakiem przed tą nyską. Usłyszałem strzał. Uciekający upadł, a nysa przejechała go w ten sposób, że mężczyzna znalazł się między kołami. Po chwili wóz zatrzymał się i cofnął, mijając leżącego bokiem. Wyskoczyło dwóch milicjantów i wrzucili rannego do wozu przez otwarte boczne drzwi...”. Był to Ryszard Stefanowicz.

Ryszard Stefanowicz: „Dochodząc do ul. Wrocławskiej, zauważyłem, że od strony Małego Kościoła w moim kierunku jedzie nyska milicyjna. Byłem przekonany, że idąc spokojnie, samotnie, nie będę atakowany przez milicjantów. Lecz zauważyłem, że nyska jedzie prosto na mnie. Gdy zbliżyła się do mnie na odległość 5 metrów, zawróciłem i zacząłem uciekać. Słyszac za placami warkot silnika, uciekałem zygzakiem. Koło mych uszu gwizdały kule. Uciekając [zauważyłem] kątem oka, że mam pokrwawioną koszulę. Nogi mi się ugięły. W tym momencie poczułem uderzenie w plecy. Straciłem przytomność. Po odzyskaniu

² Samochód należał do Teresy i Jana Kiperów (informacja z filmu dokumentalnego *Krótką seria*, scenariusz i reż. G. Braun, TVP 2001 (<https://www.youtube.com/watch?v=6yedG2D883I>) [dostęp: 31 V 2017 r.]).

przytomności usłyszałem: »Zabrać go do szpitala«. Wrzucono mnie do samochodu i zawieziono do szpitala...».

Edward Wertka: „Wróciłem pod Mały Kościół. Stamtąd obserwowałem, jak milicjanci strzelają, popisując się przed sobą nawzajem. [...] Usłyszałem świst kul. Widziałem, jak kilku milicjantów wyraźnie celuje i strzela w naszym kierunku. Od-

Rodziny zabitych doznawały różnego rodzaju szykan, przykrości i represji ze strony prokuratorów, SB oraz w pracy.

wróciłem się, by szybciej uciec. Gdy tylko się odwróciłem i nie zdążyłem zrobić dwóch kroków, poczułem silny ból w prawym ramieniu. Udało mi się jeszcze samodzielnie dojść do dużej lipy rosnącej koło

kościółka. Podbiegli do mnie dwaj [...] mężczyźni i pomogli mi dojść do plebanii. [...] Na plebanii była siostra, która posiadała bandażę i obandażowała mi ranę. [...] W szpitalu stwierdzono ranę postrzałową od tyłu prawego barku na wylot z uszkodzeniem kości».

Relacje mieszkańców miasta świadczą też o tym, że funkcjonariusze wielokrotnie bez powodu strzelali pociskami z gazem łzawiącym, petardami oraz z ostrej amunicji do ludzi spokojnie idących ulicami, stojących na przystankach autobusowych, w oknach i balkonach mieszkań, a nawet na placach zabaw, na których bawiły się dzieci. Działania te miały sterroryzować lubinian. Brygada Wieczerek po Mszy św. (po 18.30), wracając do domu, została nieopodal Al. Niepodległości postrzelona przez milicjanta jadącego w nysce z odległości kilku metrów: „[...] Poczulałam ból w nodze. Noga mi zdrętwiała, chciałam jeszcze uciekać, lecz upadłam. Wozy milicyjne pojechały dalej, nie zatrzymując się”. Lekarka Józefa Paluch, idąc z komendy MO przy ul. Traugutta, zauważyła jadącą z naprzeciwka nyskę milicyjną, z której wychylił się milicjant i rzucił jej pod nogi petardę. Bolesław Werner widział, jak strzelano granatami z gazem łzawiącym ponad dachami budynków i nawet do mieszkań. Wskutek tego typu ostrzału okien, przed 17.00 wybuchł pożar w mieszkaniu przy ul. Piastowskiej 4/16 (IV piętro)³.

³ AIPN Wr, 407/3, Odpis notatki służbowej z udziału jednostek straży pożarnych w akcjach interwencyjnych w dniach od 31 VIII 1982 r. do 2 IX 1982 r. w Lubinie oraz w dniu 31 VIII 1982 r. w Głogowie, Legnica, 11 IX 1982 r., k. 216.

Aktów bezmyślnego terroru było więcej. Wiele szczęścia miała Walentyna Żabska, pracownica salonu fryzjerskiego zlokalizowanego na rogu pl. Wolności, ul. Piastowskiej i Chrobrego: „Usłyszałam huk i brzęk tłuczonej szyby. W tym czasie byłam schylona nad głową klientki. Podniosłam głowę i zauważyłam w szybach niewielkie dwa otwory po pociskach... Wróciwszy do domu opowiedziałam, mężowi o tym incydencie. Wówczas mąż powiedział: »Przecież ty masz jeszcze szkło we włosach«. Wybierając szkło z mych włosów, znalazł w nich spłaszczony pocisk karabinowy”. Z kolei Elżbieta Kwiatkowska, lokatorka mieszkania przy ul. Krasickiego 5, po 17.00 wyszła z matką, siostrą i półtora-roczną córką na podwórze. Usiedli na ławce przed blokiem, a córka bawiła się w piaskownicy: „Po pewnym czasie między nasze bloki mieszkalne wjechała milicyjna nyska i z otwartych drzwi milicjant rzucił do piaskownicy pomiędzy dzieci granat z gazem łzawiącym. Porwałyśmy dzieci i chciałyśmy się skryć do klatki schodowej naszego bloku, lecz koło drzwi stali milicjanci. Wpadłyśmy do końcowej klatki schodowej naszego bloku i piwnicami dotarłyśmy do naszej



Fot. AIPN

klatki. Wróciliśmy do mieszkania. Ja wyszłam po chwili na balkon, by zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz budynku. Podjechało jeszcze kilka wozów milicyjnych, z których wysiedli milicjanci i krążyli wokół budynków, przyglądając się oknom mieszkań. Zostałam raptownie szarpnięta przez ojca za rękę i to uratowało mnie przed uderzeniem granatu z gazem łzawiącym, który wybił szybę i odbiwszy się od framugi, upadł na podłogę balkonu. Ta noc była nocą straszną... Na dachach domów umieszczono kilka reflektorów o bardzo silnym świetle, które szperały po oknach mieszkań. Po ulicach i podwórkach jeździły milicyjne suki i chodziły patrole, strzelając do okien. Strzelanina trwała do wczesnych godzin porannych.

Tego dnia walki uliczne w Lubinie trwały do późnych godzin wieczornych. Odgłosy wystrzałów słyhać było jeszcze o 20.00. Już w trakcie strzelaniny i walk w miejscach, gdzie po rannych znajdowały się krwawe plamy krwi, ludzie układali kwiaty, palili znicze i malowali na chodniku napisy „Zginęli z rąk władzy ludowej”. Ustawiono też prowizoryczne krzyże. W niektórych punktach miasta (m.in. na Osiedlu Mickiewicza) mieszkańcy budowali prowizoryczne barykady, które miały uniemożliwić samochodom milicyjnym rajdy i strzelanie do okien. 1 i 2 września wzburzeni lubinianie kontynuowali protesty i znów doszło do walk ulicznych. 1 września wzięło w nich udział nawet 10 tys. osób (co siódmy mieszkaniec miasta). W tych dniach funkcjonariusze nie użyli już broni z amunicją bojową.

Bilans ofiar

Sekwencja wydarzeń na Rynku wskazuje, że siły porządkowe ewidentnie miały za zadanie siłą rozpędzić tłum. Pomimo kończącej się manifestacji nie dano czasu ludziom na rozejście się i z premedytacją zaczęto strzelać najpierw pociskami z gazami łzawiącymi i petardami, a wkrótce z broni palnej amunicją ślepą i bojową. Najpierw po 16.00 przy ul. Kopernika od śmiertelnych postrzałów zginęli Andrzej Trajkowski (osierocił czworo dzieci) i Mieczysław Poźniak (kawaler), a 5 września w szpitalu zmarł Michał Adamowicz (osierocił dwoje dzieci), trafiony pociskiem w głowę. Kolejnych jedenaście osób zostało rannych w wyniku ran postrzałowych i trafień granatami z gazem łzawiącym: Henryk Huzarewicz, Ireneusz Lao, Kazimierz Rusin, Ryszard Stefanowicz, Edward Wertka, Brygida Wiczorek, Andrzej Dudziak, Szymon Stafiniak, Ryszard Tereszkiewicz, Mirosław Kwiatkowski i Mieczysław Chmielewski. Łącznie w ciągu trzech dni demonstracji w Lubinie

zatrzymano 250 osób, a w kolejnych dniach następne 72. To miało być święto ludzi pracy, a w Lubinie władze zamieniły tę wyjątkową rocznicę w najnowszej historii Polski w najbardziej tragiczny dzień.

Pogrzeb Trajkowskiego odbył się w Lubinie 3 września, a Adamowicza – dziesięć dni później. Wzięło w nich udział odpowiednio 3 i 4 tys. osób. 5 września na cmentarzu w Orzeszkowie k. Ścinawy został pochowany Poźniak. W ostatniej drodze towarzyszyło mu ok. 700 osób. Tego samego dnia w południe w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Lubinie w Mszy św. w intencji zabitych wzięło udział ok. 10 tys. osób.

Zacieranie śladów

Po demonstracji władze natychmiast przystąpiły do zacierania po niej śladów. Funkcjonariuszom wydano polecenie, aby nie przyznawali się do używania broni z amunicją bojową. Przede wszystkim „wysprzątano” miasto z łusek i pocisków. Przez lubińskich księży zwrócono się nawet do mieszkańców, aby przynosili tego typu dowody. Od 2 września przystąpiono do usuwania z budynków śladów po kulach (tynkowano dziury), wymieniano przestrzelone bądź wybite szyby w oknach i witrynach, a także znaki drogowe itd. Ponadto funkcjonariusze nie rozliczyli pobranej amunicji (uczynili to dopiero 14 września) ani nie zdali broni. Na polecenie ministra spraw wewnętrznych, gen. Czesława Kiszcza, prokuratura musiała zwrócić przejęte sztuki broni, z której strzelano. Potem nikt jej nie zabezpieczył, a wręcz przestrzelono ją. Badanie kilku sztuk broni wykonano dopiero w grudniu 1982 r. (dało wynik negatywny), a następnie, w celu usunięcia dowodów, sprzedano wszystkie karabiny do Algierii. 8 kwietnia 1983 r. zostało umorzone pierwsze śledztwo w sprawie śmierci demonstrantów. Twierdzono, że użycie broni było uzasadnione⁴.

Wyjaśnianie zbrodni

Po 1989 r. sprawą Zbrodni Lubińskiej zajęła się Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zdania Działalności MSW, której przewodniczącym był Jan Rokita. W raporcie komisji zawarto wniosek, że uzasadnienie umorzenia sprawy z 1983 r. jest

⁴ Zob. AIPN Wr, 691/1, t. 1–65 i IPN Wr 466/611, t. 1–6.



Fot. K. Raczko

obciążone poważnymi błędami i uchybieniami. Ponadto wskazano krąg potencjalnych sprawców. W 1991 r. Prokuratura Wojewódzka w Legnicy wznosiła śledztwo i w 1992 r. do Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu trafił akt oskarżenia przeciwko siedmiu funkcjonariuszom (Bogdan Garus, Jan Maj, Tadeusz Jarocki, Marek Ochocki, Franciszek Góral, Bolesław Dyka i Krzysztof Cepeda). Zostali oskarżeni o kierowanie zbrodnią, a w dwóch przypadkach – także o bezpośrednie strzelanie do demonstrantów. W 1995 r. czterech oskarżonych uniewinniono, a wobec Garusa, Jarockiego i Maja sprawę umorzono. Rok później Sąd Apelacyjny uchylił ten wyrok i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. W 1998 r. sąd uznał, że oskarżeni „wyczerpali znamiona przestępstw”, jednocześnie na podstawie amnestii z lipca 1984 r. umorzył wobec nich postępowanie. W tym samym roku Sąd Apelacyjny z powodów proceduralnych unieważnił to orzeczenie, a w 1999 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że sprawcy przestępstw nieściganych w latach 1944–1989 z przyczyn politycznych nie podlegali amnestii i abolicji.

Proces rozpoczął się więc po raz trzeci i w 2003 r. zapadł kolejny wyrok – Garus i Maj zostali skazani na karę 15 miesięcy więzienia, a Jarocki na 2,5 roku. W toku apelacji w 2004 r. podwyższono wyrok dla Garusa (2,5 roku), a w 2007 r. dla Maja (3,5 roku). Jarocki i Garus odbyli kary więzienia, natomiast do dziś nie odbył jej Maj. Dotąd nie ustalono, kto strzelał do demonstrantów.

Pamięć o ofiarach

Rodziny zabitych doznawały różnego rodzaju szykan, przykrości i represji ze strony prokuratorów, SB oraz w pracy. Różne problemy i kłamstwa napotymano już na etapie wydawania ciał ze szpitala, potem podczas prowadzonego przez prokuraturę śledztwa. SB dbała, aby na grobach na tablicach informujących o zabitych 31 sierpnia znalazły się „właściwe” informacje dotyczące daty i okoliczności śmierci. Włożono też wiele wysiłku w to, aby w rocznicę tragicznej śmierci lubinian na grobach nie zbudowano pomników.

O ofiarach i ich rodzinach pamiętali działacze podziemnej Solidarności Zagłębia Miedziowego. W miejscach, w których padły śmiertelne strzały, montowano metalowe tabliczki z napisem „Pomordowanym przez Władzę Ludową – Solidarność”. Działania te SB uważała za antypaństwowe, a ich sprawców starano się za wszelką cenę wykryć⁵. Do 1989 r. podziemie niesło rodzinom zamordowanych pomoc prawną, rzeczową i finansową. Organizowano ją poprzez różne zbiórki w zakładach KGHM, lubińskich parafiach, a także uzyskiwano ją z Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego we Wrocławiu i Komitetu Pomocy Represjonowanym w Głogowie. Co roku pod koniec sierpnia zamawiano Msze św. w intencji ofiar Zbrodni Lubińskiej i ich rodzin. Często dochodziło po nich do manifestacji. Ostatnia nielegalna uroczystość odbyła się w 1989 r. i wzięło w niej udział 15 tys. osób.

W 1987 r. działacze podziemnej Międzyzakładowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Zagłębie Miedziowe postanowili powołać Komitet ku Czci Ofiar Lubina '82. Z obawy przed represjami nie znaleziono grupy osób „nieobciążonych politycznie”, które podjęłyby się zarejestrowania Komitetu w Urzęd-

⁵ Przykładowo w ramach SOS krypt. „Tablica” ustalono, że w latach 1982–1983 wykonywali je i montowali Stefan Mileszko i Szczepan Maciorowski (AIPN Wr, 022/532, Meldunek operacyjny Wydziału III KW MO w Legnicy z 12 V 1983 r., k. 1).

dzie Wojewódzkim w Legnicy, a potem przystąpiły do działań mających na celu upamiętnienie w przestrzeni publicznej ofiar Zbrodni Lubieńskiej oraz pomoc ich rodzinom. Dopiero na początku 1989 r. udało się powołać Komitet Założycielski Towarzystwa Pamięci Ofiar Lubina '82, który 26 czerwca 1989 r. został zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Legnicy. 31 sierpnia 1989 r., w siódmą rocznicę Zbrodni Lubieńskiej, został poświęcony kamień węgielny pod pomnik⁶. 30 sierpnia 1992 r. odsłonięto monument autorstwa Zbigniewa Frączkiewicza. Składają się na niego głazy symbole: na jedenastu wyryto napis „Solidarność”, trzy „kamienie świadkowie” upamiętniają miejsca, w których zginęli Adamowicz, Poźniak i Trajkowski, a wiele innych symbolizuje rannych i osoby kryjące się przed kulami ZOMO.

Dlaczego Lubin?

Nie ma wątpliwości, że Komenda Wojewódzka MO w Legnicy miała zgodę MSW na użycie broni. Nie wiadomo tylko, dlaczego wybrano województwo legnickie. Można też zadać pytanie: dlaczego Lubin, a nie Głogów (tam też po manifestacji zakończonej pod Pomnikiem Dzieci Głogowskich rozchodzących się mieszkańców zaatakowali funkcjonariusze MO i doszło do walk ulicznych)? Czy to był przypadek, nieświadome zaniechanie bądź niekompetencja, że dowodzący pacyfikacją Lubina nie wydał funkcjonariuszom rozkazu niestrzelania z broni amunicją bojową? Zaraz po pierwszych ofiarach można było zmienić decyzję i wycofać z ulic funkcjonariuszy z bronią. Na te pytania można snuć domysły i interpretacje: w województwie był silnie rozwinięty przemysł górniczo-hutniczy (KGHM), w Legnicy znajdowało się dowództwo Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (a na terenie województwa jej garnizony i poligony), po 13 grudnia 1981 r. robotnicy stawili silny opór, a następnie w 1982 r. rozwinęły się podziemne struktury Solidarności wydające i kolportujące wiele wydawnictw niezależnych. Lubin był stolicą Zagłębia Miedziowego (a Głogów pełnił rolę „sypialni”). Być może trzy wyżej wymienione argumenty przemawiają za tym, że w Lubinie komunistyczna władza przeprowadziła krwawą pokazową lekcję adresowaną do całego polskiego społeczeństwa.

⁶ W 1989 r. TPOL'82 było rozpracowywane przez SB w ramach SOS krypt. „Pomnik” (AIPN Wr, 022/1160).

BIBLIOGRAFIA

- A okazało się, że Lubin! 31 sierpnia – 2 września 1982: pacyfikacja miasta*, red. M. Łątkowska, zdj. K. Raczkowskiak, Warszawa 2007.
- Archiwum „Ośrodka Pamięć i Przyszłość” we Wrocławiu, AHM-21, Wywiad z Ireną Bober z 8 VIII 2011 r. przeprowadzony przez Grzegorza Kowala.
- Dokumenty władz NSZZ „Solidarność” 1981–1989*, wstęp, wybór i oprac. J. Olaszek, Warszawa 2010.
- Kordas J., *Wydarzenia 31 sierpnia 1982 r. na Dolnym Śląsku. Geneza, przebieg, skutki*, Wrocław 2010.
- Krótką serią* (film dokumentalny), scenariusz i reż. G. Braun, TVP 2001, <https://www.youtube.com/watch?v=6yedG2D883I> [dostęp: 28 VI 2017 r.].
- Kamiński Ł., *Drogi do wolności Zagłębia Miedziowego*, Legnica 2006.
- Kamiński Ł., *Region Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”*, [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989*, t. 6: *Polska południowa*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010.
- Lubin 31 VIII 1982. Krzysztof Raczkowskiak. Fotografie*, red. i projekt graficzny J. Bortkiewicz, współpraca red. O. Nazarkiewicz, J. Sobolewska, autorzy tekstów M. Zawadka, C. Łazarewicz, Wrocław 2007.
- Oddziałowe Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu.
- Raport Rokity. Sprawozdanie Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW*, wstęp J. Rokita, posłowie A. Dudek, Kraków 2005, s. 130–132.
- Samoticha M., *Jan M. ma odsiedzieć wyrok w Łodzi*, <http://regionfan.pl/jan-m-ma-odsiedziec-wyrok-w-lodzi/>, [dostęp: 28 VI 2017 r.].
- „Solidarność Zagłębia Miedziowego” 1982.
- Sołtysik Ł., *Ku odnowie. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” w Głogowie (1980–1981)*, [w:] *Głogów 1945–1990. Studia z dziejów miasta*, red. R. Klementowski, K. Szwaagrzyk, Wrocław 2014.
- Śnieg S., *Alarm dla miasta Lubina!*, Lubin 1992.
- Zbrodnia Lubińska 1982. Dokumenty*, t. II: *Dochodzenie do prawdy*, cz. 1: *Bezpieczne przekraczanie progu sierpniowego*, cz. 2: *Kiedy opadł gaz łzawiący*, cz. 3: *W drodze do raportu*, cz. 4: *Materiały Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności Ministerstwa Spraw Wewnętrznych*, wstęp, wybór i oprac. P. Piotrowski, M. Zawadka, Lubin – Wrocław 2007–2008.
- „Z Dnia na Dzień” 1982.



Łukasz Sołtysik (ur. 1975) – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN we Wrocławiu. Autor książek: (z Mariuszem Olczakiem) *Zarys dziejów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Bolesławcu 1980–1989* (2010); *Solidarność w Polarze. NSZZ „Solidarność” w Zakładach Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom-Polar” „Polar” we Wrocławiu w latach 1980–1989* (2016).

Zamów Biuletyn IPN bezpośrednio do domu!

Koszt rocznej prenumeraty (obejmującej 10 kolejnych numerów, w tym dwa numery podwójne) wynosi 60 zł.

Zamówienie prenumeraty można przesłać pocztą elektroniczną:

prenumerata@ipn.gov.pl

lub na adres pocztowy:

Instytut Pamięci Narodowej – Księgarnia IPN

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Wszelkie informacje pod numerami: **(22) 581-86-78, (22) 581-86-79**

ДЛЯ ПАМЯТИ.

Дано сіе въ томъ, что статья метрики о рождении
и крещеніи *Дворянки Могилевской*

г-ды Маріи Степановны

Тетеро

родивш *сентя* 1912 года *Урочіе 8*

дня записана въ книгѣ Могилевскаго Каѳедральнаго

костела подъ № *57* за *1912* годъ

за Настоятель костела *Ка. Т. Шалекинъ*
Adam Hlebowicz

IPN

Mohylewianka

Zapiski Marii Jefimow (1912–2006)

„Co może być gorszego niż nasze obecne położenie? Wieczny strach, przerażenie i tak mało radości”. Te dwa zdania napisane przez Marię Pieczorankę, po mężu Jefimow, w sposób najbardziej lakoniczny oddają ducha tego, co w okresie międzywojennym musieli przeżyć Polacy pozostawieni własnemu losowi na dalszych Kresach, czyli nad Berezyną, Dnieprem, Prypecią, Teterewem i Słuczą.

Zostali pozostawieni sobie, bo odrodzona Rzeczpospolita nie tylko traktatem pokojowym w Rydze odgrodziła się od tysięcy rodaków mieszkających od stuleci na tych terenach, ale też niewiele mogła uczynić, żeby realnie odmienić ich losy. A losy te, od początku znalezienia się pod władzą sowiecką – totalitarną, ateistyczną, antynarodową, antyklasową – były wyjątkowo okrutne. Szczególne zaś nasilenie represji nastąpiło w drugiej połowie lat trzydziestych.

Choć od wydarzeń z lat 1937–1938, czyli wielkiej akcji ludobójczej władzy sowieckiej dokonanej na Polakach, mija osiemdziesiąt lat, nadal na jej temat wiemy zbyt mało. Brakuje zwłaszcza świadectw ludzi, których te represje dotknęły. Powodów tego stanu rzeczy jest kilka. Pierwszy, najbardziej prozaiczny jest taki, że ogromna większość ofiar tamtego czasu została zamordowana. Ich bliscy – żony, dzieci, dziadkowie, krewni, sąsiedzi – bądź zostali przesiedleni, bądź trafili do łagrów. Powszechnym wówczas zjawiskiem było przyjęcie zasady: „zapominamy o języku polskim, zapominamy o tym, że jesteśmy Polakami, chcemy przeżyć”¹.

Tak się złożyło, że kilka bezcennych świadectw, jeszcze w postaci rękopisów, trafiło w moje ręce, żeby potem mogły dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców. Myślę tu nie tylko o naukowym opracowaniu losów syberyjskiej wsi Białystok, lecz także o wspomnieniach mieszkanki przedwojennego Mińska Anny Niciejewskiej² czy zapiskach więźnia Sołówek ks. Wincentego Ilgina³. Warto wymienić ponadto prekursorskie wspomnienia Grażyny Lipińskiej, która przeżyła „marsz śmierci” Mińsk-Czerwień w 1941 r., wykonywała pracę wywiadowczą na rzecz AK, a potem spędziła długie lata w łagrach i jako jedna z pierwszych opisała losy Polaków na sowieckiej Białorusi w okresie międzywojennym⁴.

Losy zapomnianych Kresowiaków

Wróćmy do Marii Jefimow. Jej ojciec, Stanisław Pieczoro, zesłany do Kotłasu w 1930 r. pracował przy wyрубie lasu. Zwolniony trzy lata później wrócił do Mohylewa. Jako były więzień polityczny nie mógł dostać pracy, miał się więc różnych zajęć. Aresztowany w ramach „operacji polskiej” w czerwcu 1938 r., torturowany, został zamęczony w więzieniu w Mohylewie. Miejsce jego pochówku nie jest znane.

Matka Marii, Lidia z domu Buuk, była Estonką wyznania luterańskiego. Została aresztowana i uwięziona w Mohylewie. W 1943 r. uciekła z Marią i czworgiem wnuków do Wilna, jak się wtedy wydawało – do Polski. Maria wyjechała

¹ W. Haniewicz, *Tragedia Syberyjskiego Białegostoku*, Pełplin 2008.

² A. Niciejewska, „Uderzyłam pięścią w żelazną bramę...”, „Więź” 1992, nr 7.

³ Ks. W. Ilgin, *Wspomnienia kapłana z Sołówek. Jak to było w raju bolszewickim. Charków – Sołówki – Pineda – Moskwa – Warszawa (1917–1932)*, Lublin 2006.

⁴ G. Lipińska, *Jeśli zapomnę o nich...*, Paryż 1988.

jesienią 1945 r. do Gdańska, a ona została w Wilnie, czekając na powrót z łagrów drugiej córki – Julii. Miała pod opieką jej dwoje dzieci. Do Polski przyjechały obie z dziećmi w 1957 r.

Julia, siostra Marii, była organistką w katedrze mohylewskiej. Aresztowana w 1938 r., urodziła swojego syna Stanisława w więzieniu w Witebsku. W łagrach spędziła prawie dziesięć lat. Zwolniona w 1947 r., podjęła pracę na plebanii we wsi Dierkowszczyzna na północy Wileńszczyzny. Ponownie aresztowana w 1949 r., następnych pięć lat przeżyła w więzieniach i łagrach.

Brat Marii, Stanisław, w 1930 r. został wydalony z Polskiej Szkoły Podstawowej w Mohylewie. Jako uzdolniony plastycznie miał wykonać plakat informujący o potańcówce zorganizowanej przez władze szkolne w Wigilię. Aby młodzież mogła zdążyć na świąteczne uroczystości w domu, umieścił zbyt wczesną godzinę. Mimo że był wybitnym uczniem, w wieku czternastu lat musiał podjąć pracę zawodową. Po różnych perypetiach ukończył Leningradzki Instytut Transportu Wodnego z tytułem inżyniera. Zginął od pocisku niemieckiego w marcu 1942 r. w oblężonym Leningradzie. Miał 26 lat.

Mąż Marii, Paweł Jefimow, był Rosjaninem, prawosławnym. Jego brat został rozstrzelany w wyniku „operacji polskiej” za domniemane szpiegostwo na rzecz Polski. On sam, powołany do Armii Czerwonej w 1939 r., dostał przykazanie od żony, że „jeśli zabije choć jednego Polaka, to niech nie wraca do domu”. Był szoferem. Trafił do niewoli, pracował w kopalni miedzi na terenie Niemiec. Najprawdopodobniej został zamordowany przez Niemców w 1944 r., przed nadjeściem frontu. Miał 38 lat. Nie ma swego grobu.

Maria Pieczoro została wydalona z klasy maturalnej w Polskim Technikum Pedagogicznym w Leningradzie za odmowę wyrzeczenia się ojca i rodziny. Czterokrotnie aresztowana w latach trzydziestych za postawę religijną, za rzekome ukrywanie złota, za pracę organistki w kościele. Była osobą głęboko wierzącą, czego świadectwem są jej uduchowione zapiski *Kresowianka w młynach historii* (Gdynia 2016) – bezcenny dokument strasznej epoki. Czternaście razy była leczona w szpitalach. Cudem udało jej się opuścić Mohylew, a później także Wilno. Przeżywała w nim w latach 1943–1944. Miała kłopot ze znalezieniem pracy, ponieważ nosiła rosyjskie nazwisko. Ciężko pracowała fizycznie, żeby utrzymać dzieci i pomóc swojej mamie.



Uczennice polskiej szkoły w Mohylewie, 5 maja 1926 r. Fot. ze zbiorów Reginy Pawłowskiej

Piękno i ułuda fotografii

Wspaniale, że pani Marii i jej bliskim udało się ocalić z pożogi represji sowieckich i lat II wojny światowej tak wiele dokumentów i zdjęć. To prawdziwe rarytasy, unikaty, bardzo dziś rzadko spotykane, zwłaszcza w zbiorach rodzinnych. Fotografie, dobrze wykonane, zazwyczaj w zaciszach profesjonalnych atelier, przybliżają nam sylwetki opisywanych ludzi. Przypatrzmy się niektórym z nich.

Zdjęcie uczennic z polskiej szkoły w Mohylewie. Schyłek epoki NEP w Sowieciech, czyli politycznej i gospodarczej liberalizacji. Na fotografii sześć młodych pań. Marynarskie mundurki, berety na głowach, eleganckie buciki. Można powiedzieć: widok z pensji dla dobrze urodzonych pańien, gdzieś w Polsce. Warszawa, Wilno, może Toruń albo Łuck. A tymczasem nie, to jest Mohylew nad Dnieprem, Związek Sowiecki, rok 1926.

Inne ujęcie. Okres między 1934 a 1936 r. Na zdjęciu rodzina Pieczoro w komplecie. Pan Stanisław w garniturze, krawat mocno zawiązany pod szyją. Pani Lidia – czarna, elegancka suknia, może najlepsza w całej garderobie, na jaką wtedy było ją stać. Córki, Julia i Maria, w białych sukienkach, bez ozdób, ale elegancko. Jedyne syn Władysław odstaje od reszty. Jego szary mundurek z dużymi guzikami

bardziej przypomina Sowiety, a nawet komunistyczne Chiny, niż dawną Polskę i świat cywilizacji zachodniej. Więcej niż ze strojów można wyczytać z twarzy zgromadzonych. Są skupione, bez uśmiechu, może nawet czai się w nich lęk: kiedy nastąpi kolejne aresztowanie, czy będzie jeszcze okazja do takiego wspólnego zdjęcia, bo „co może być jeszcze gorszego niż nasze obecne położenie”?

Kolejna fotografia. Rok 1934. Soczi, znany kurort rosyjski nad Morzem Czarnym. Nowożeńcy na tle soczystych, rozłożystych palm. Paweł Jefimow siedzi w wiklinowym fotelu. Obok niego na poręczy przysiadła Maria z torebką w ręku. Oboje w białych strojach, przecież to lato, gorąco. Pierwsze tygodnie, miesiące po ślubie. Na twarzach widać niepokój, ale i odrobinę nadziei. Właśnie złożyliście sobie przysięgę małżeńską, może jednak nam się uda, może będziemy mieli szczęśliwe życie: Boga, dom, dzieci, pracę – mimo tego wszystkiego, co już przeszliśmy i co pewnie czai się już znowu gdzieś na horyzoncie?

Przenosimy się do Wilna. Jest rok 1944, dokładna data powstania fotografii nieznana. Ostatnie miesiące panowania Niemców w mieście – czy już nadeszli Sowieci? Jeden okupant zastąpi drugiego? Dla Marii ważne jest, żeby dokumentować chwile. Ważne, że są razem i jest okazja zapisać na błonie fotograficznej to, co za chwilę może się stać mglistym wspomnieniem. Na tej fotografii widzimy czwórkę dzieci sióstr Julii i Marii z domu Pieczoro. W kolejności wieku i wzrostu stoją Stanisław, Bronisław, Regina i Małgorzata. Wszyscy w białych, odświętnych koszulach. Dziewczęta starannie uczesane, Regina ma we włosach kokardę, Małgorzata zawieszona na szyi korale. Ona, najstarsza w tym gronie, jako jedyna się uśmiecha. Czy to koniec koszmaru, czy jest nadzieja na nowe, lepsze życie?

Kościół polski, Kościół katolicki?

Przez bardzo długi okres, można zaryzykować, przez ostatnie trzysta lat te pojęcia na szeroko rozumianym Wschodzie, czyli na obszarze Cesarstwa Rosyjskiego, były ze sobą utożsamiane. W liturgii dominowała łacina, wśród wiernych – oprócz Polaków – byli jeszcze Litwini, Łotysze, Niemcy, Białorusini, nieliczni Ukraińcy, Rosjanie, Żydzi. A jednak pojęcie „polskiej kastoł” było powszechne i doskonale rozumiane. Z pewnością polska kultura dominowała wśród katolików na tych rozległych terenach. Wiernymi było bardzo wielu przedstawicieli szlachty, czy to rozsianej w wyniku carskich represji po ogromnych terenach imperium, czy to szlach-



Od lewej: Stanisław Pieczoro, córka Julia, żona Lidia z d. Buuk, córka Maria, syn Władysław; Mohylew, lata trzydzieste. Fot. ze zbiorów Reginy Pawłowskiej

ty osiadłej, często zaściankowej, bardzo ubogiej, niewiele różniącej się dostatkami od chłopstwa, skupionej na ziemiach wokół Mińska, Orszy, Bobrujska, Mohylewa i bardziej na południe, w pobliżu Żytomierza, Zwiahła i Kamieńca Podolskiego.

Maria Jefimow pięknie i szczegółowo opisała katolicyzm mohylewski. Przedstawiła sylwetki znanych sobie duchownych pracujących w mieście nad Dnieprem – ks. Bolesława Słoskansa (Bołeslavs Sloskānsa), późniejszego biskupa i kandydata na ołtarze, Łotysza z urodzenia, i ks. Piotra Augły (Awgło), ostatniego proboszcza przedwojennego Mohylewa, męczennika, Białorusina. A jeszcze wcześniej są przedstawione losy ks. Eugeniusza Światopełk-Mirskiego, pochodzącego z książęcego rodu, który został bestialsko zamordowany przez bolszewików w 1918 r. To Polak. Polakami byli także księża Leonard Gaszyński, Antoni Jarmołowicz i Witold Paszkiewicz, wszyscy zamordowani przez NKWD. Ksiądz Józef Biełohołowy brał czynny udział w odradzaniu białoruskiej świadomości narodowej, jednocześnie był znakomitym administratorem katedry mohylewskiej. Aresztowany „za szpiegostwo na rzecz Polski”, więziony, w końcu zamordowany „przy próbie ucieczki”.



Zabawa karnawałowa w Domu Dziecka na Oruni w 1946 r. Powyżej s. Norberty z prawej – Regina Pawłowska.
Fot. ze zbiorów Reginy Pawłowskiej

Barwna mozaika narodowości, kultur, tradycji. A jednak bp Słuskans głosił kazania w katedrze po polsku. Później, już w czasach sowieckich, gdy w świątyni było coraz więcej Rosjan, zaczął przemawiać i po rosyjsku. Z bp. Słuskanssem łączy się taka historia opisana we wspomnieniach Marii Jefimow: któregoś 1 maja ulicami szedł pochód propagandowy. Gdy w tłumie pojawiła się postać biskupa, część uczniów-Polaków opuściła maszerującą kolumnę i przyklękła przed duszpasterzem. Takie zdarzenia miały brzemiennie skutki. Biskupa aresztowano w 1927 r. i zesłano na Wyspy Sołowieckie. Uwolniony trzy lata później, wolnością w Mohylewie cieszył się tylko kilka dni. Wrócił na Sołowki z wyrokiem dziesięciu lat łagru.

Rezurekcja, Zaduszki, uroczyste procesje, śpiew chóru katedralnego. Jakże barwnie i z przekonaniem opisuje te zdarzenia autorka. I dodaje z absolutnym przekonaniem – „tak pięknych procesji jak w Mohylewie nie było nigdy potem, ani w Wilnie, ani w Gdańsku czy Gdyni”. W samych procesjach szli tylko i wyłącznie młodzi ludzie. Choć Mohylew to w tamtym czasie przede wszystkim miasto ludzi wiary prawosławnej, to na takie szczególne uroczystości przyjeżdżali wierni, w tym młodzież, z okolicznych zaścianków i wsi; często dołączali też do nich miejscowi wyznawcy wschodniej odmiany chrześcijaństwa.

Maria Jefimow do chwili zamknięcia katedry w 1937 r. była w niej organistką. Kiedy cztery lata później, po wkroczeniu wojsk niemieckich – o paradoksie! – ka-

tedra została otwarta dla wiernych, Maria ponownie zasiadła przy instrumencie. Nie było stałego księdza. Czasem jakiś kapłan przyjechał odprawić Mszę św., niekiedy trafiał się niemiecki kapelan wojskowy. Ludzie jednak przychodzili na nabożeństwa. Śpiewali litanie, suplikacje, Gorzkie żale. Kiedy Sowietci ponownie tu wkroczyli, Marii w mieście już nie było. Katedra została zamieniona na archiwum. I tak było przez ponad 45 lat. Po odzyskaniu świątyni, po wznowieniu struktur Kościoła katolickiego na Białorusi, Ukrainie i w Rosji o „polskim kościele” mówi już tylko najstarsze pokolenie. Kościół się odrodził, ale dzisiaj jest już inny.

Dziedzictwo

Cennym uzupełnieniem zapisków z całego życia Marii są uwagi skreślone przez jej córkę, prof. Reginę Pawłowską. To ona w 1971 r. pojechała do swego miejsca urodzenia, żeby na miejscowym cmentarzu, na polskich mogiłach w Mohylewie, być świadkiem unikalnego nabożeństwa prowadzonego przez świeckich. Odbywało się ukradkiem, niemal w milczeniu, uczestniczyło w nim kilka kobiet w kraciatych chustach, pochylonych przed prowizorycznym ołtarzem.

Jednak najważniejsze dziedzictwo to takie, które matka samotnie wychowująca dwoje dzieci, niezwykle boleśnie doświadczana przez całe życie, przekazała w niezwykłej duchowości następnemu pokoleniu. „Bóg nie mógł stworzyć niczego złego, wszystko, co On zrobił, jest dobre” – to pierwsza i najważniejsza nauka. Druga – pamiętaj zawsze o innych. Nie jesteś sam, możesz się czymś podzielić, zrób to. A przecież rodzina Pieczoro, potem Jefimow, nie miała wiele.

Ciekawe jest to, co pisze prof. Pawłowska o swojej wielonarodowej i wielowyznaniowej rodzinie. Duńskie i estońskie korzenie ze strony babci. Rosyjskie ze strony ojca. Luterzańskie z jednej strony, prawosławne z drugiej i jeszcze katolickie. W jednej, bliskiej rodzinie trzy wyznania, cztery narodowości. Modlitwa przed ikonami u rodziców ojca, cicha modlitwa po niemiecku lub estońsku prowadzona wieczorami przez babcię. Jednak zawsze była to modlitwa szczerą, prawdziwą, nie na pokaz.

Znajdziemy tu jeszcze osobiste wspomnienie o nazaretankach wileńskich. Kiedy rodzina Jefimowów trafiła do Wilna w 1943 r., ich los wyglądałby zapewne inaczej, gdyby nie pomoc zakonnic. Co ciekawe, już wtedy przy kościele pw. Wszystkich Świętych były prowadzone specjalne katechezy z udzielaniem



Nabożeństwo na cmentarzu w Mohylewie w 1971 r.

Fot. ze zbiorów Reginy Pawłowskiej

sakramentów dla rodzin, które przybyły z głębi Sowietów. To była mądra i zorganizowana pomoc. Od kotłów z ziemniakami począwszy, przygotowanych dla uchodźców na wileńskim dworcu, po strawę duchową. Siostry Fides, Speranza i Caritas – takie zakonne imiona nosiły dla upamiętnienia wiary, nadziei i miłości – odegrały w losach rodziny Jefimowów niepoślednią rolę.

Ta skromna, nieduża objętościowo książeczka, wydana w śladowym nakładzie, pokazuje, jak wiele znaczą zapiski czynione przez nas przy różnych okazjach. Jak istotne jest dbanie o zdjęcia, o podstawowe dokumenty, zwłaszcza gdy żyje się w ciągłym lęku, gdy los i przyszłość niepewne. To zachęta także dla nas. Do poszukania, czy gdzieś wokół nas ktoś nie przechowuje takich niezwykłych pamiątek-relikwii. A jednocześnie podpowiedź, że może warto notować, zapisywać swoje życie, bo nigdy nie wiadomo, jak i kiedy takie zapiski zostaną wykorzystane. ■



Adam Hlebowicz (ur. 1962) – historyk i dziennikarz, wicedyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Kościół w niewoli. Kościół rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej* (1991); *Katolicyzm w państwie sowieckim 1944–1992* (1993); *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice* (2004); *Bilo-żowta Ukrainja* (2009); *Kaliningrad bez wizy* (2012) i in.



Andrzej Grajewski

„Gość Niedzielny”

Nie tylko dysydentka

Petruška Šustrová była jedną z wielu kobiet, które w Czechosłowacji występowały w obronie praw obywatelskich i swobód narodowych. Ale była jedną z niewielu, które tę działalność łączyły z wychowywaniem piątki dzieci.

Jej życiorys wiąże różne paradoksy. Nigdy nie ukończyła studiów, a jest jedną z najbardziej znanych i rozpoznawalnych dziennikarek swojego pokolenia. Choć nie zrobiła żadnych profesjonalnych kursów, mówi biegle po polsku i rosyjsku, a tłumaczy również z języka angielskiego. Dokonała przekładów z tych języków blisko pięćdziesięciu książek dla renomowanych czeskich oficyn wydawniczych. W dojrzałym wieku odkryła znaczenie filmu dokumentalnego – pisze scenariusze i realizuje ważne filmy o konfliktach na obszarze byłego Związku Sowieckiego.

Wychowała się w rodzinie ateistycznej, ale później świadomie stała się praktykującą katoliczką; jeden z jej synów wstąpił do zakonu karmelitów. Zawsze była zwolenniczką lustracji, ale kiedy została członkiem rady Instytutu Badania Reżimów Totalitarnych, czeskiego odpowiednika IPN, była atakowana za rzekome ochranianie komunistów. Od młodości miała wiele sympatii do Polski i jak mało kto potrafiła Czechom i Słowakom wyjaśniać w latach dziewięćdziesiątych zawiłości polskiej transformacji, a Polaków przekonywać do otwarcia archiwów bezpieki i lustracji polityków. Miała bardzo dobre relacje z Adamem Michnikiem i jego środowiskiem, ale po obaleniu rządu Jana Olszewskiego utrzymywała kontakty głównie z Antonim Macierewiczem i Piotrem Naimskim. Przetłumaczyła na czeski m.in. opracowanie historii Polski Andrzeja Paczkowskiego i dwie moje książki: wydany w podzie-

» **Chciała, aby jej dzieci
dorastały w świecie,
w którym nie będą musiały się
bać powtarzać w szkole tego,
co słyszały w domu.** »

miu szkic *Rosja i krzyż* oraz *Kompleks Judasza* o problemie rozliczenia się z komunistyczną przeszłością Kościołów w Europie Wschodniej¹. Książka stawiała tezę, że jeśli Kościół sam się nie rozliczy, zrobią to za niego – często w złej wierze – inni. W Czechach spotkała się z większym rozgłosem aniżeli w Polsce, gdzie dopiero ujawnienie agenturalnych uwikłań abp. Stanisława Wielgusa skłoniło episkopat do podjęcia poważniejszych działań w tym zakresie.

Życie na podśluchu

Dysydentkę ze Šustrovej zrobiła historia, która wraz z sowieckimi i niestety m.in. także polskimi czołgami wjechała w jej życie w sierpniu 1968 r. Późniejsza dziennikarka była wtedy studentką historii i filologii czeskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze. Po okresie demonstracji i protestów, gdy społeczeństwo Czechosłowacji pogodziło się z losem i z konieczności zaakceptowało tzw. normalizację wprowadzaną przez nowe kierownictwo partyjne pod przewodnictwem Gustáva Husáka, ona chciała protestować dalej. Dołączyła do środowiska lewicowych studentów o nazwie Hnutí revoluční mládeže (Ruch Rewolucyjnej Młodzieży). Po latach wspominała, że nie był to wybór ideowy. Po prostu była to jedyna aktywna grupa na uczelni, która nie zamierzała udawać, że wejście wojsk Układu Warszawskiego niczego w kraju nie zmieniło. Dla tej młodzieży zabicie nadziei, jakie wiąźali z reformami Praskiej Wiosny, oznaczało także dramat osobisty. Organizacja przedstawiała się jako środowisko trockistowskie. Rzeczywiście, jednym z jego liderów był, podkreślając swoje związki z trockistami, Petr Uhl, później więzień polityczny, postać ważna dla środowiska czeskich dysydentów. Nie wszyscy jednak byli trockistami, wśród liderów był także Jaroslav Bašta, związany w latach dziewięćdziesiątych z czeską socjaldemokracją, ostatni szef federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji i Demokracji (Úřad na ochranu ústavy a demokracie), który powstał po 1989 r. w miejsce zlikwidowanych komunistycznych organów bezpieczeństwa.

¹ A. Grajewski, *Jidášův komplex. Zraněná církev: křesťané ve střední a východní Evropě mezi odporem a kolaborací*, Praha 2002.

W grudniu 1969 r. Šustrová została aresztowana wraz z grupą innych działaczy ruchu i skazana na dwa lata więzienia za rzekomą próbę obalenia ustroju Czechosłowacji. Miała wówczas 22 lata. Siedziała w areszcie Praha-Ruzyně oraz w więzieniach we Všehrdech i Opawie. Zwolniono ją w 1971 r., ale na studia już wrócić nie mogła. Podjęła pracę jako urzędniczka na poczcie, później była sprzątaczką. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaangażowała się w Kartę 77, a w 1979 r. została członkiem Komitetu Obrony niesprawiedliwie Represjonowanych (Výbor na obranu nespravedlivě stíhaných). Poznała wówczas m.in. Václava Havla i innych najważniejszych dysydentów w Czechosłowacji. O tym, jak ważną pozycję zajmowała w tym środowisku, świadczy to, że w 1985 r. została jednym z trzech rzeczników Karty, a więc osobą sygnującą swym nazwiskiem wszystkie dokumenty tego ruchu. Wymagało to znacznie więcej odwagi aniżeli działalność w podziemnych strukturach Solidarności w Polsce, gdzie skala oporu, a także wsparcie ze strony społeczeństwa i Kościoła, były nieporównanie większe. Schyłek rządów Husáka, a potem rządu Miloša Jakeša, ostatniego szefa komunistycznej partii Czechosłowacji, nie należały do liberalnych. W tym okresie Šustrová była ustawicznie inwigilowana, wobec niej oraz jej rodziny stosowano różne szykany. Od 1982 do listopada 1989 r. nie mogła podjąć żadnej pracy, gdyż jej nazwisko zapisano na „czarnej liście” ludzi objętych zakazem zatrudnienia gdziekolwiek. Rewizje w jej domu, telefon na podsłuchu, ciągłe przesłuchania i groźby były codziennością. Śledzono nie tylko ją, lecz także jej dzieci. Wiedziały, że mają powód do niepokoju przy każdym nocnym telefonie czy stukaniu do drzwi. Jej rodzinę otaczała agentura. Dopiero po upadku komunizmu dowiedziała się, że bliska jej osoba, która chętnie oferowała się z samochodem, aby zabrać ją z dziećmi na wyjazd poza miasto, była agentem bezpieki. „Przyjaciel” nie tylko donosił o wszystkich ich rozmowach, lecz także wystawiał bezpiece rachunki za paliwo zużyte podczas tych wyjazdów. Mimo obowiązków rodzinnych nie rezygnowała z działalności politycznej, gdyż – jak przekonywała – chciała, aby jej dzieci dorastały w świecie, w którym nie będą musiały się bać powtarzać w szkole tego, co słyszały w domu.

W latach osiemdziesiątych współredagowała ważne podziemne czasopismo „Střední Evropa” (Europa Środkowa). Na jego łamach rozpoczęła się debata o nowym zagospodarowaniu regionu, która odegrała później ważną rolę w trakcie tworzenia Grupy Wyszehradzkiej. Šustrová brała także udział w działalności Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, inicjatywie przełamującej izolację dysydentów w poszcze-

gólnych krajach, istotnej zwłaszcza jesienią 1989 r., kiedy pomoc z Polski, głównie środowiska wrocławskiego, miała niemały wpływ na przebieg tzw. aksamitnej rewolucji.

Od dysydemty do ministra

Środowisko czeskich i słowackich dysydentów stanęło po 1989 r. przed nowymi wyzwaniem. Šustrová po upadku komunizmu została dziennikarką w tygodniku „Respekt”, ale po kilku tygodniach musiała porzucić tę pracę i zająć się sprawami państwowymi. Doszło wówczas w Czechosłowacji do ważnego sporu, jak rozwiązać problem bezpieczeństwa, czyli Státní bezpečnosti (StB). Stanowiła ona prawdziwe państwo w państwie, którego nie kontrolowały nawet struktury partyjne. StB została rozwiązana w styczniu 1990 r., ale nowe kierownictwo państwa musiało zdecydować, co zrobić z jej funkcjonariuszami, archiwami oraz agenturą w środowiskach politycznych, która – jak się okazało – miała wielkie wpływy także po 1989 r. Šustrová stała się jednym z najbliższych współpracowników federalnego ministra spraw wewnętrznych, znanego słowackiego dysydenta Jána Langoša. Później została jego zastępcą, jako wiceminister spraw wewnętrznych. Brała m.in. udział w pracy komisji weryfikacyjnych, które oceniały przydatność byłych funkcjonariuszy StB, a także wywiadu i kontrwywiadu do pracy w nowych służbach. Šustrová, podobnie jak Langoš, była zwolennikiem gruntownej przebudowy służb specjalnych, odsunięcia większości byłych funkcjonariuszy bezpieczeństwa oraz rozliczenia ich agentury. Przygotowywała także federalną ustawę lustracyjną, ale w praktyce musiała iść na wiele kompromisów. Wkrótce spór wokół tych kwestii stał się jedną z ważniejszych osi czechosłowackiej polityki i niewątpliwie przyczynił się do podziału federalnego państwa. Wyłonione po 1989 r. nowe słowackie elity wystąpiły przeciwko planom lustracyjnym, za którymi opowiadała się Praga.

Kariera polityczna Šustrovej zakończyła się wraz z podziałem Czechosłowacji i zwycięstwem wyborczym w Czechach Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS) oraz jej lidera Václava Klauša. Šustrová była jej przeciwnikiem, ale nie wsparła także kolegów, którzy tworzyli różne liberalno-lewicowe inicjatywy polityczne. Zajął się dziennikarstwem, publikując teksty analityczne, a także komentarze i felietony dla dziennika „Lidové noviny”. Współpracowała również z Czeskim Radiem oraz BBC. Dla Czeskiego Radia opisała szereg sylwetek polskich osobistości XX w., poczynając od okresu międzywojennego, a kończąc na Lechu Wałęsie i Janie Pawle II.

Szybko stała się jedną z najbardziej znanych komentatorek politycznych, a jej publicystyka spotykała się z szerokim rezonansem społecznym. Wspecjalizowała się w kwestiach polskich, rozsądnie i z dużą wiedzą tłumacząc czeskiej opinii publicznej zawiłości i niuanse polskiej polityki. W centrum jej zainteresowania pozostawała także sytuacja w krajach postsowieckich, w których miała wiele kontaktów jeszcze z czasów dysydenckich. Z ramienia międzynarodowych organizacji jako obserwatorka uczestniczyła w wyborach w Gruzji (1999 r.), trzykrotnie w Azerbejdżanie oraz na Białorusi. Dla czeskiej telewizji zrealizowała serię filmów dokumentalnych o konfliktach w Górskim Karabachu, wojnie domowej w Gruzji oraz sytuacji w Rumunii. Za pracę dziennikarską została wyróżniona dwiema prestiżowymi nagrodami – im. Karla Havlíčka Borovského oraz Ferdinanda Peroutky.

Z inicjatywy grupy senatorów Republiki Czeskiej powstał w 2007 r. Instytut Badania Reżimów Totalitarnych (Ústav pro studium totalitních režimů). Šustrová w 2008 r. została wybrana przez senat na członka jego Rady Wykonawczej. To gremium nadzorowało m.in. proces przejmowania archiwaliów z czeskich ministerstw spraw wewnętrznych i obrony oraz ich udostępnienia. Była dysydentka miała istotny wpływ na prace tej instytucji oraz budowała sieć międzynarodowych kontaktów, m.in. z Polską. Do dzisiaj jest aktywna, publikuje głównie w dzienniku „Lidové noviny”. ■

BIBLIOGRAFIA

<https://ferdinandperoutka.cz/laudatia-2009> [dostęp: 30 VI 2017 r.]

http://totalita.cz/ost/ustr_kandid_o_sustrovap.php [dostęp: 30 VI 2017 r.]

<http://www.moderni-dejiny.cz/clanek/film-zeny-v-disent-u-petruska-sustrova-a-jirina-siklova/> [dostęp: 30 VI 2017 r.]

Šustrová P., *Politické tanečky. Komentáře vyslané na vlnách Českého rozhlasu Regina 1999–2001*, Praha 2002.

Šustrová P., *Služebníci slova. Rozhovory s překladateli*, Praha 2008.

Šustrová P., *O světě kolem nás. Fejetony*, Praha 2012.



Andrzej Grajewski (ur. 1953) – historyk, dr nauk politycznych. Autor m.in.: *Tarcza i miecz. Rosyjskie służby specjalne 1991–1998* (1998); *Kompleks Judasza. Kościół zraniony. Chrześcijaństwo w Europie Środkowo-Wschodniej między oporem a kolaboracją* (1999); „*Papież musiał zginąć*”. *Wyjaśnienia Ali Agcy* (wraz z Michałem Skwarą, 2011).



U góry: Heinz Reinefarth (1903–1979) w czasie II wojny światowej. Fot. EastNews
Po prawej: ...i w latach sześćdziesiątych. Fot. Heinz Köster/DPA/PAP



Zbrodnie nierozliczone

Heinz Reinefarth i Powstanie Warszawskie

Z dr. Philippem Martim, autorem książki *Sprawa Reinefartha*, rozmawiają Filip Gańczak i Maciej Foks

Historia Heinza Reinefartha zaczyna się na długo przed II wojną światową. Od roku 1932 był członkiem NSDAP i SS, ale jego kariera w tym czasie nie była całkiem typowa w porównaniu z innymi ludźmi, którzy zajęli później wysokie stanowiska w państwie Adolfa Hitlera.

Tak. Od lat dwudziestych był zaliczany do kręgu tzw. volkistowskich nacjonalistów, a przekonany narodowym socjalistą był już przed przejściem władzy przez Hitlera. Należał do pionierów ruchu narodowosocjalistycznego w regionie Cottbus, gdzie pracował. Ale nie palił mostów łączących go ze światem mieszczańskim. Miało to związek z jego zajęciami zawodowymi – był adwokatem

i bardzo dobrze zarabiał. Jego znajomi z SS, zwłaszcza szef Policji Porządkowej Kurt Daluege, chcieli go wylansować i co jakiś czas składali mu propozycje, on jednak – jak wynika z zachowanych materiałów – nie widział dostatecznego powodu, by podjąć pełnoetatową pracę w aparacie SS i policji. O przyczynach można tylko spekulować. Wiele wskazuje jednak na to, że przeważały zalety zamożnego mieszczańskiego życia. Nie znaczy to, że nie mógł się angażować na rzecz sprawy narodowosocjalistycznej.

W książce *Generation des Unbedingten* (Pokolenie bezwarunkowości) Michael Wildt pisze o grupie ludzi, którzy – tak jak Reinefarth – urodzili się około roku 1900, pochodzili z klasy średniej, byli dobrze wykształceni (w większości humaniści lub prawnicy) i w czasach kryzysu gospodarczego, w wieku mniej więcej trzydziestu lat, dostrzegli możliwości kariery w SS. Reinefarth właściwie odpowiadałby temu idealnemu typowi esesmana. Jego kariera to jednak kariera wojenna. Można przypuszczać, że nie byłoby jej, gdyby nie wybuch wojny. Heinz Reinefarth poszedł na wojnę jako zwykły żołnierz Wehrmachtu. W SS był wprawdzie Hauptsturmführerem, co w regularnej armii odpowiadałoby kapitanowi, ale w Wehrmachcie na początku wojny był tylko szeregowcem rezerwy.

We wrześniu 1939 r. wziął udział w walkach w Polsce. Czy wiadomo coś więcej o tym epizodzie w jego życiu?

To okres, który raczej pozostaje w cieniu innych wydarzeń. Na przełomie lat 1939/1940 Reinefarth trafił do szkoły podoficerskiej, a wkrótce – oficerskiej. Wiosną 1940 r. walczył we Francji i za zasługi na froncie dostał Krzyż Rycerski. Wywołało to poruszenie, bo Reinefarth był jednym z pierwszych żołnierzy nieoficerów, którzy zostali uhonorowani tym odznaczeniem. Pomogło to jego karierze w SS. Oficjalnie jednak do 1942 r. Reinefarth pozostawał w Wehrmachcie i prowadził praktykę adwokacką, ze względu na nieobecność scedowaną na zastępców. Zrezygnował z praktyki dopiero wówczas, gdy w roku 1942 przeszedł do Policji Porządkowej. To też ciekawe: nie trafił do Policji Bezpieczeństwa, podlegającej wówczas Reinhardowi Heydrichowi, lecz do Policji Porządkowej Kurta Daluegego.

Reinefarth znalazł zatrudnienie w Protektoracie Czech i Moraw. Później objął w Poznaniu stanowisko wyższego dowódcy SS i Policji w tzw. Kraju Warty.

Na tym terenie byli już wówczas mordowani Żydzi. Dochodziło też do przymusowych deportacji Polaków. Na ile Reinefarth jest odpowiedzialny za te zbrodnie?

Jego osobistej odpowiedzialności nie należy z pewnością dezawuować. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że – choć w żaden sposób nie chcę go bronić – Reinefarth nie był wówczas konieczny do przeprowadzenia narodowosocjalistycznej polityki zagłady w Kraju Warty. To dziwne, bo formalnie był w tym okresie najwyższym rangą policjantem w okręgu. W rzeczywistości jednak polityka germanizacji i zagłady ruszyła już wcześniej. Reinefarth z pewnością był o wszystkim dobrze poinformowany. Starał się również odgrywać pewną rolę w tej polityce, ale z tego, co wiadomo, nie był kluczową figurą. Przybył nieco za późno. Decydująca była rola namiestnika Arthura Greisera i innych osób z SS, które przebywały w Kraju Warty od dłuższego czasu.

1 sierpnia 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. W jaki sposób Reinefarth trafił do Warszawy? Jaki był jego udział w zbrodniach z czasu powstania?

Za nominację Heinza Reinefartha odpowiadał szef SS Heinrich Himmler. Dostępne źródła nie dają jednak jasnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego został wybrany akurat Reinefarth. Być może dlatego, że cieszył się wówczas dobrą reputacją jako żołnierz frontowy. Z drugiej strony w roku 1944 nie wymagało się już tak dużego profesjonalizmu wojskowego jak w 1940. Trzeba pamiętać, że jedynym doświadczeniem wojskowym Reinefartha była do tego czasu służba porucznika Wehrmachtu. Nie miał on żadnego doświadczenia sztabowego. W tym czasie w III Rzeszy liczyły się jednak stabilność ideologiczna, domniemana odwaga i śmiałość. Osoby uznawane za pewne ideologicznie często były wynoszone na wysokie stanowiska wojskowe. Reinefarth jest tego dobrym przykładem. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. mocno improwizował. Zebrał jednostki policyjne z Kraju Warty, które razem z innymi siłami, jak specjalna formacja Oskara Dirlewangera, pojechały do Warszawy. Na początku powstania Niemcy byli w defensywie, ale dość szybko otrzymali posiłki.

Zadanie Reinefartha było jasne. Nie miała to być tylko akcja wojskowa, bo Armia Krajowa nie była uznawana przez Niemców za prawowite wojsko. Chodziło więc o akcję karną przeciwko powstaniu. Himmler chciał to zrobić dla przykładu. Los Warszawy miał promieniować na cały front wschodni. Nauka miała brzmieć: „Każdy opór zostanie złamany z całą brutalnością”. Nie czyniono już rozróżnienia między ludźmi, którzy walczą, i cywilami. Stąd rozkaz Himmlera do Reinefartha

» **W czasie masowych egzekucji w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. to Reinefarth ponosił główną odpowiedzialność za to, co działo się w Warszawie. Nie ma poszlak, że choćby w niewielkim stopniu próbował zatrzymać masowe zbrodnie.** »

i innych pacyfikatorów Powstania Warszawskiego nakazujący zabić wszystkich mieszkańców, o ile nie są

Niemcami. Odpowiedzialność Reinefartha polega na tym, że 5 i 6 sierpnia systematycznie wykonywał ten rozkaz i przekazywał go dalej. Interesujące, że Erich von dem Bach-Zelewski, jeden z najokrutniejszych niemieckich dowódców na ziemiach okupowanych, ograniczył ten powszechny rozkaz rozstrzeliwania. Widział bowiem, że w tej formie rozkaz jest szkodliwy, gdyż opóźnia walki. Von dem Bach-Zelewski zjawił się w Warszawie krótko po Reinefarcie i objął kierownictwo nad wojskami niemieckimi. Od tego momentu rozstrzeliwanie cywilów zdarzało się dużo rzadziej.

Reinefarth 5 sierpnia 1944 r. w rozmowie telefonicznej z gen. Nikolausem von Vormannem wypowiedział słynne dziś słowa: „Co mam robić z cywilami? Mam mniej amunicji niż jeńców”.

Rozmowa z Vormannem to tylko jeden z przykładów – akurat najbardziej znany opinii publicznej. Z punktu widzenia historyka o winie Reinefartha przesądza okoliczność, że w czasie masowych egzekucji to on ponosił główną odpowiedzialność za to, co działo się w Warszawie. Nie ma poszlak, że choćby w niewielkim stopniu próbował zatrzymać masowe zbrodnie.

Jak to możliwe, że po wojnie Reinefarth pomyślnie przeszedł denazyfikację i znów był aktywny zawodowo?

Początkowo chodziło mu tylko o to, żeby przeżyć. Trafił do amerykańskiej niewoli. Miał szczęście, że Amerykanie widzieli w nim dowódcę wojskowego, a nie funkcjonariusza aparatu okupacyjnego. Reinefarth przedstawiał się jako człowiek honoru, jako dowódca wojskowy, a nie nazista. Był elokwentny, na pierwszy rzut oka nie odpowiadał typowemu wizerunkowi zbrodniarza narodowo-socjalistycznego. Początkowo Amerykanie nie wiedzieli zresztą o wszystkim.

Ostatnim zadaniem Reinefartha w czasie wojny była obrona twierdzy Kostrzyn. Na tej podstawie sfabrykował potem swoją legendę. Z częścią żołnierzy opuścił bo-

Heinz Reinefarth jako komendant
twierdzy Kostrzyn, 1945 r.
Fot. PAP/DPA



wiem twierdzą, wbrew rozkazowi Hitlera. Początkowo nie chciał tego zrobić, ale dał się przekonać swoim oficerom. Później prezentował się jako ktoś, kto zignorował rozkaz Führera, a więc działał bardzo odpowiedzialnie. Bardzo wyolbrzymiał ten rzekomy opór. Twierdził również, że nie wstąpił do SS celowo, tylko jako funkcjonariusz policji został przyjęty automatycznie. W obliczu zaczynającej się zimnej wojny amerykański kontrwywiad wojskowy CIC interesował się wówczas czołowymi postaciami Rzeszy Niemieckiej mającymi doświadczenie z terenów wschodnich. Reinefarth został w ten sposób pozyskany jako informator i był chroniony, gdy wkrótce – na przełomie lat 1946/1947 – okazało się, że po pierwsze, nie ma zbyt wielu informacji cennych dla CIC, a po drugie, jest w dużej mierze odpowiedzialny za zbrodnie podczas tłumienia Powstania Warszawskiego. Zapadła wtedy decyzja, że z powodów politycznych jest za późno, by wydać go Polsce.

Jak została uzasadniona odmowa ekstradycji?

Względami bezpieczeństwa, a więc bardzo ogólnikowym frazesem. Wiadomo już było, że z Reinefarthem jest problem. Amerykanie próbowali jednak przeczeekać, aż sprawa ucichnie. Reinefarth był przetrzymywany w obozach internowania. Zeznawał nawet jako świadek w Norymberdze. W 1948 r. został zwolniony i osiadł na wyspie Sylt w brytyjskiej strefie okupacyjnej, gdzie rodzina jego żony miała domek letniskowy. Czekają go jeszcze postępowanie przed sądem orzekającym, badającym przynależność do organizacji nazistowskich uznanych za zbrodnicze. Reinefarthowi udało się jednak przekonać sąd, że jako generał policji wstąpił do SS

przymusowo. Przedstawiał się jako wyjątek wśród wysokich funkcjonariuszy SS – jako ktoś, kto pod koniec wojny działał chwalebnie w twierdzy Kostrzyn.

Dlaczego sąd nie był w stanie zweryfikować tej opowieści?

Sądy orzekające pracowały wyraźnie pod presją czasu. Nie miały też oczywiście wszystkich informacji, choćby dostępu do akt znajdujących się w Polsce. Po drugie, z czasem denazyfikacja była coraz mniej akceptowana w niemieckim społeczeństwie. Na przełomie lat 1945/1946 uznawano jeszcze potrzebę oczyszczenia społeczeństwa przez aliantów. Gdy w 1948 r. Reinefarth stał przed sądem, nastroje były już inne. Brytyjskie urzędy okupacyjne chciały możliwie szybko skończyć z denazyfikacją. Trzeba dodać, że sądy orzekające były kierowane przez niemieckich urzędników wymiaru sprawiedliwości, a Brytyjczycy sprawowali jedynie nadzór zwierzchni. Reinefarth został uniewinniony. Czekalo go jeszcze postępowanie denazyfikacyjne. Osoby nim objęte były przyporządkowywane do jednej z pięciu kategorii: „główni winowajcy”, „obciążeni”, „obciążeni w mniejszym stopniu”, „bierni uczestnicy” i „uwolnieni od zarzutów”. Z uwagi na uniewinnienie przed sądem i jego uzasadnienie, podkreślające rzekome honorowe postępowanie Reinefartha, miał on od początku duże szanse, by zostać zakwalifikowanym do jednej z niższych kategorii. W roku 1948 nie przydzielano już kategorii pierwszej i drugiej. Reinefarth nie został nawet zaszeregowany do trzeciej, lecz początkowo do czwartej, tzn. do „biernych uczestników”. Odwołał się od tego i ostatecznie został zakwalifikowany do piątej, najniższej, kategorii. W tym czasie w brytyjskiej strefie okupacyjnej denazyfikacja była już prowadzona zupełnie absurdalnie. Nawet Hinrich Lohse, gauleiter Szlezwiku-Holsztyna, trafił do środkowej kategorii. Te postępowania straciły już jakiegokolwiek znaczenie. Ale formalnie Reinefarth został uwolniony od zarzutów. Mógł więc wrócić do pracy jako adwokat i zaangażować się w życie polityczne.

Wstąpił do Związku Wypędzonych ze Stron Ojczystych i Pozbawionych Praw (BHE). Został wybrany na burmistrza Westerlandu, a później deputowanego do regionalnego parlamentu. W jaki sposób udało mu się tak szybko zyskać popularność w Szlezwiku-Holsztynie, landzie, w którym przecież nie dorastał? Szlezwik-Holsztyn był wówczas landem z najwyższym odsetkiem uchodźców z dawnych terenów wschodnich Rzeszy. W niektórych gminach uchodźcy

Protokół z przesłuchania świadka.

przy urz. 27
 ODPIS
 18

Warszawa, dnia 11 lutego 1946 r. p.o. Sędzia Okręgowy śledczy II rejonu Sądu Okręgowego w Warszawie Alicja Germasz delegowana do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie, oraz o znaczeniu przysięgi, Sędzia odebrał od niego przysięgę na zasadzie art. 109 k.p.k. poczem świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko	Seliga Helena
Imiona rodziców	Adam i Marianna
Data urodzenia	6/VI.1901 r.
Zajęcie	robotnica kolejowa
Wykształcenie	-
Miejsce zamieszkania	Armatnia 3 bud 52
Wyznanie	rzym.-kat.
Karalność	niekarana

Mieszkałam wraz z rodziną przy ul. Wolskiej 123. W pierwszych dniach Powstania w dzielnicy naszej było spokojnie. Słychać było tylko z daleka strzały. Dom nasz był stale zamknięty, siedzieliśmy wszyscy lokatorzy w mieszkaniach, nie wychodząc. Dn. 5/VIII o g. 9 r. dozorca zawołał z podwórza, że mamy wszyscy opuścić dom. Zeszłam wraz z córką na dół. Wyszliśmy wszyscy przed bramę (mężczyźni, kobiety, dzieci) około 300 osób. Tu z dwóch stron stał szpaler z żołnierzy niemieckich z karabinami. Między tym szpalerem przeszliśmy na drugą stronę ul. Wolskiej. Tu już leżało parę trupów mężczyzn i dzieci. Nam kazano wszystkim położyć się na ziemi. Następnie wprowadzano coraz to nowe grupy osób z sąsiednich domów, wszyscy się kładli na ziemię, było nas kilkadziesiąt osób. Żołnierze niemieccy chodzili między nami i strzelali do poszczególnych osób. Na ulicy stał karabin maszynowy i jeździł tam i z powrotem czołg, czy z czołgu tego strzelano nie wiem. Ja leżałam na ziemi bokiem i przez palto którym byłam przykryta widziałam, co się dzieje. Widziałam jak żołnierze strzelili do leżącej przedemną sąsiadki, a następnie do maleńkiego jej dziecka leżącego w wózku. Poza tym kolejno żołnierze szli od strony ulicy i zabijali leżących. Gdy podszedł do mnie żołnierz, strzelił i zranił mnie w rękę. Na nogach moich leżała jakaś zabita kobieta. Około godz. 7-ej, gdy prawie wszyscy zostali zabici, strzelanina ustała. Wtedy Polacy, którzy przyszli sprzątać zabitych, powiedzieli, by zostali ci, co żyją. Wtedy się podniosłam, córki mojej nie było koło mnie, widać ciało jej zostało już zabrane. Ciała zabitych były zabierane na sąsiednią posesję, gdzie układane były w stos i podpalone. Robili to Polacy popędzani, by się śpieszyli, przez Ukraińców. Żołnierze Niemieccy zaprowadzili mnie na jezdnię, gdzie stało już kilkanaście osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkich nas wprowadzono do kościoła św. Wawrzyńca na Woli, skąd do Fruszkowa do obozu.

O d c z y t a n o .

/-/Seliga Helena/

/-/ p.o. Sędzia Alicja Germasz



Za zgodność

Sędzia
HALINA WEREJKA

Powojenne zeznanie Heleny Seligi, ocalałej z rzezi Woli w sierpniu 1944 r. Fot. AIPN

» Po wojnie Reinefarth przedstawiał się jako człowiek honoru, jako dowódca wojskowy, a nie nazista. »

stanowili nawet większość mieszkańców. Na wyspie Sylt również było ich wielu. Docho-
dziło do napięć między miej-

scową ludnością a przybyszami ze wschodu. Reinefarth, który od lat dwudziestych co roku spędzał urlop na Sylcie, był znany miejscowym. Cieszył się również uznaniem uchodźców. Był więc w idealnej sytuacji, by występować jako pośrednik. Robił to bardzo zręcznie. Starał się nawiązywać kontakty. Udzielał uchodźcom bezpłatnych porad prawnych. Angażował niesamowicie dużo energii, żeby zdobyć uznanie uchodźców i miejscowych. Był to czas naznaczony przez poważne trudności gospodarcze. Niewielu wówczas mocno interesowało się tym, co dokładnie wydarzyło się w trakcie wojny. Ludzie chcieli patrzeć do przodu. Chodziło o to, by zwalczać biedę i jakoś radzić sobie z życiem. Reinefarth był postrzegany jako ktoś, kto bierze się do pracy i pomaga innym; jako były dowódca wojskowy, a nie zbrodniarz z terenów okupowanych. Jego Krzyż Rycerski dodatkowo zapewniał mu respekt. Owszem, krążyły pogłoski, że „było coś z Powstaniem Warszawskim”, ale postrzegano je wówczas jako nielegalny akt oporu, który niemieckie wojsko musiało stłumić. Wierzono, że Reinefarth jedynie wykonywał rozkazy.

Kiedy w Niemczech zmienił się publiczny wizerunek Reinefartha? Czy przełomowy okazał się eberdowski film *Urlop na Sylcie z 1957 r.*?

W bardzo dużym stopniu, chociaż początkowo film w zasadzie został zaszufiadkowany w RFN jako materiał propagandowy. Po kilku miesiącach znów zawrzało w tej sprawie, gdy niemiecki profesor Hans Thieme, historyk prawa, napisał list do tygodnika „Der Spiegel”, największego magazynu politycznego w Niemczech. Thieme oskarżył Reinefartha i właściwie potwierdził zarzuty postawione w filmie. To miało już w RFN dużo większą wagę. Ten profesor z Fryburga sam był w Warszawie jako oficer. Był adiutantem oficera sztabowego i na własne uszy słyszał, jak Reinefarth powiedział, że nie ma wystarczająco dużo amunicji, by rozstrzelać wszystkich jeńców. Wiarygodność profesora sprawiła, że wybuchł skandal. Mimo to Reinefarth, który od siedmiu lat był już burmistrzem, zgodził się kandydować do regionalnego parlamentu Szlezewiku-Holsztyna. Wywołało to wielkie wzburzenie. Chociaż jesienią 1958 r. Reinefarth dostał się do landtagu, był to początek końca jego kariery politycznej.

Przez lata w RFN toczyło się w jego sprawie postępowanie. Dziś trudno zrozumieć, dlaczego nie został nawet wniesiony akt oskarżenia. Przecież także wówczas udawało się postawić w stan oskarżenia, a niekiedy również skazać, rozmaitych zbrodniarzy z NSDAP i SS.

W latach sześćdziesiątych stłumienie Powstania Warszawskiego oceniano w RFN jako wydarzenie wojskowe. Duża część społeczeństwa, ale również prawników, uważała walkę z partyzantami za coś zupełnie innego niż zbrodnie narodowosocjalistyczne, np. w obozach koncentracyjnych. Owszem, w sprawie Reinefartha istniały konkretne zarzuty i poszlaki, że doszło do zbrodni wojennych. Prawnicy byli jednak zakładnikami kodeksu postępowania karnego. Przewidywał on, że Reinefarthowi trzeba przypisać konkretne zbrodnie. Do dziś nie jest znany pisemny rozkaz Himmlera w sprawie rozstrzeliwania cywilów, wydany Reinefarthowi lub komuś innemu. Pozostawały więc zeznania świadków. Ci z kolei w ogromnej większości mówili, że nie mogą sobie przypomnieć, by Reinefarth przekazał rozkaz rozstrzeliwania. To rozumiało, bo wielu świadków też było potencjalnymi sprawcami. Jeśli zdarzały się wyjątki i ktoś mówił, że coś sobie przypomina, przywiązywano do jego słów mniejszą wagę niż do zeznań korzystnych dla burmistrza. Zbrodnie, które trzeba było przypisać Reinefarthowi, były rozpatrywane w oderwaniu od siebie. Teren, na którym zwalczano powstanie, został na potrzeby postępowania podzielony na mniejsze obszary, na których walczyły poszczególne jednostki. Następnie badano, czy te jednostki działały na konkretny rozkaz Reinefartha. Powstanie Warszawskie zostało też podzielone na różne okresy. Prawnicy niekoniecznie wykonywali swoją pracę niesumiennie. Byli to jednak ludzie назначeni przez czas, w którym żyli: trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięciolatkowie, którzy w większości sami przeżyli wojnę jako żołnierze, częściowo nawet oficerowie. Niekoniecznie aprobowali zbrodnie wojenne, ale wychodzili z ówczesnego założenia, że w czasie wojny czasem trzeba wykonywać rozkazy. Kryteria były wtedy inne niż dzisiaj.

Czy w tym czasie Reinefarth wypowiadał się publicznie na temat swojej działalności podczas tłumienia Powstania Warszawskiego?

Tylko wówczas, gdy został do tego zmuszony, i nawet wtedy bardzo ogólnikowo. Podkreślał, że był to czas, gdy wykonywało się swój obowiązek. O szczegółach mówił tylko podczas dochodzenia, przy czym, jeśli tylko mógł, twierdził, że rozmaitych rzeczy już sobie nie przypomina.

W 2011 r. sąd w Monachium skazał na pięć lat więzienia Johna Demianiuka. Uznano go za winnego współudziału w zagładzie Żydów w Sobiborze. Gdyby dzisiaj obowiązywały podobne kryteria jak w czasach Reinefartha, nie byłoby szans na taki wyrok.

Prawdopodobnie nie. Ważne jest także to, jakie wrażenie Reinefarth sprawiał na innych. W ówczesnej powszechnej opinii zbrodniarzem nazistowskim był członek SA, który w latach walki o władzę w Niemczech bił komunistów, albo nadzorca z obozu koncentracyjnego – a więc jakiś podejrzany typ. Pewien niemiecki naukowiec napisał kiedyś, że zbrodniarz nazistowski to obozowy strażnik, którego zna się z procesu oglądanego w telewizji, ale z pewnością nie nauczyciel, uprzejmy sąsiad, wykształcony prawnik. Tego wielu ludzi nie potrafi sobie wyobrazić. Patrzą na cechy zewnętrzne.

Czy w latach sześćdziesiątych zachodnioniemiecka prokuratura była zainteresowana tym, by znaleźć świadków również w Polsce?

Niektóre prokuratury robiły tak w innych postępowaniach. Prokuratura we Flensburgu, zajmująca się postępowaniem w sprawie Reinefartha, była bardzo wstrzemięźliwa. Analizowała polskie akta, które znajdowały się w Centrali Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu, zlecała tłumaczenie polskich artykułów prasowych i współpracowała z historykiem Hannsem von Krannhalsem, wówczas w RFN jednym z najbardziej znanych ekspertów w sprawach polskich. Von Krannhals utrzymywał kontakty z Polską, jeździł do PRL i analizował akta dochodzeniowe w Warszawie. Nie było jednak bezpośredniej współpracy urzędów wymiaru sprawiedliwości w RFN i Polsce. Co więcej, we Flensburgu polskim dokumentom i relacjom prasowym przypisywano dużo mniejsze znaczenie niż aktom dochodzenia toczącego się w RFN.

Po przeczytaniu Pana książki można odnieść wrażenie, że w latach sześćdziesiątych również strona polska nie była szczególnie zainteresowana międzynarodową współpracą w sprawie Reinefartha.

Strona polska domyślała się wówczas, że Reinefarth prawdopodobnie tak czy inaczej nie zostanie prawomocnie skazany w RFN. W tej sytuacji korzystne było

dla niej propagandowe wykorzystanie tego faktu, nie zaś przesadne pomaganie stronie zachodnioniemieckiej.

Po odejściu ze stanowiska burmistrza Reinefarth znów praktykował jako adwokat, nie został jednak dopuszczony do zawodu notariusza.

Mówimy o pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Urząd kanclerza RFN piastował Willy Brandt, prowadzący nową politykę wschodnią. Atmosfera polityczna była już w tym czasie inna niż w poprzedniej dekadzie. Tłumaczono, że wprawdzie Reinefarth został uniewinniony, ale odegrał historyczną rolę, za którą musi wziąć odpowiedzialność i dlatego nie może zostać notariuszem. Rozróżniano przy tym rolę adwokata od roli notariusza, bo jako notariusz – mający dostęp do akt administracyjnych – Reinefarth nie pracowałby w wolnym zawodzie, lecz wykonywałby uprawnienia władzy państwowej.

Reinefarth nie stracił jednak uprawnień emerytalnych.

To prawda, przy czym była to przede wszystkim emerytura burmistrza. Ścieżka wojskowa Reinefartha biegła regularnie tylko do stopnia porucznika. Emerytura porucznika była dość niska, ale jako były burmistrz i adwokat był on w bardzo dobrej sytuacji finansowej.

Pańska książka przyczyniła się do tego, że trzy lata temu na ścianie ratusza w Westerlandzie odsłonięto tablicę pamiątkową z wymownymi słowami: „Zawstydzeni pochylamy się nad ofiarami z nadzieją na pojednanie”. Dla największych niemieckich mediów nie był to temat kontrowersyjny. Inaczej patrzyła na to lokalna społeczność.

Na poziomie lokalnym utworzono komisję, która w roku 2013 i w pierwszej połowie 2014 debatowała, co należy zrobić z pamięcią o Heinzu Reinefarcie. Wydanie niemieckie mojej książki było zapowiedziane na kwiecień 2014 r., a 1 sierpnia przypadała siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Zapytałem władze gminy, czy częściowo sfinansowałyby książkę. Zgodziły się, ale sprawa upamiętnienia pozostawała otwarta. Wiem z drugiej ręki, że za kulisami toczyła się bardzo emocjonalna dyskusja. Szerokie kręgi centroprawicowe niekoniecznie były za tym, żeby tablica znalazła się na ścianie ratusza. Początkowo mówiono o odsłonięciu



Philippe Marti z polskim i niemieckim wydaniem swojej książki. Fot. Maciej Foks

pamiątkowego kamienia na cmentarzu w pobliżu Westerlandu. Owszem, są tam pochowani polscy robotnicy przymusowi, ale byłoby to miejsce, gdzie nikt by nie przechodził. Po długich przepychankach zdecydowano się na tablicę pamiątkową. Pozostawało pytanie, czy pojawi się na niej nazwisko Reinefartha, czy tylko wspomni się o ofiarach Powstania Warszawskiego. Liderzy opinii publicznej postawili na swoim, tłumacząc, że nie można pominąć Reinefartha i trzeba mieć na uwadze, co wówczas napiszą media. „Jeśli na tablicy nie będzie nazwiska Reinefartha, dojdzie do skandalu” – przekonywano.

Jak Pana książka została przyjęta w Niemczech?

Jeśli chodzi o media i opinię publiczną, dotarły do mnie prawie wyłącznie pozytywne reakcje. Wiem, że na wyspie Sylt pojawiły się również krytyczne oceny. Niektórzy byli przekonani, że minęło już dużo czasu i w gruncie rzeczy nie jestem uprawniony, by oceniać Reinefartha, bo w ogóle go nie znałem. Ogólna reakcja była jednak bardzo pozytywna. Mówiono też, że to interesujące, że tę książkę napisał Szwajcar.

Czy w Szwajcarii również śledzono tę debatę z zainteresowaniem?

Raczej w niewielkim stopniu. To nie jest szwajcarski temat.

Na ile II wojna światowa jest obecna w szwajcarskich podręcznikach szkolnych?**Co się w nich akcentuje?**

Generalnie II wojna światowa jest naznaczona europejską perspektywą. Najczęściej pojawia się po rozdziale poświęconym narodowemu socjalizmowi. Na pierwszy plan w podręcznikach szkolnych z pewnością nie jest już dziś wysuwana historia działań wojennych. Bardziej akcentuje się Holocaust i narodowy socjalizm. Pojawia się również, ale raczej jako wątek poboczny, rola Szwajcarii w II wojnie światowej, oceniana obecnie dużo krytyczniej niż jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

A jak Pan ocenia tę rolę?

Tu akurat w pewnym stopniu mogę się przyłączyć do mainstreamu, zwłaszcza że nie jest to obszar naukowy, w którym się specjalizuję. Od lat dziewięćdziesiątych mocniej podkreśla się, że Szwajcaria ponosi moralną winę za to, że współpracowała nie tylko z aliantami, lecz również z nazistowskimi Niemcami, że nie przyjmowała uchodźców na granicy. Z drugiej strony jest jasne, że był to dla Szwajcarii trudny czas i nie wiadomo, co się wydarzyło. Ale narracja, w myśl której Szwajcaria bohatersko się broniła i odegrała pozytywną rolę, została już przełamana. W latach dziewięćdziesiątych silna presja zagranicy – mediów, ale też żydowskich grup interesu – doprowadziła do tego, że powołano komisję historyków, która całościowo i w sposób dużo bardziej krytyczny niż do tej pory – według niektórych, zbyt krytyczny – opisała rolę Szwajcarii w II wojnie światowej.

W czasie wizyty w Warszawie w sierpniu 2014 r. rozmawiał Pan z ludźmi, którzy przeżyli rzeź Woli.

Uważali, że książka, którą napisałem, jest ważna. Bezpośrednie spotkania z tymi, którzy ocalili, robią, rzecz jasna, wrażenie i są dla mnie wzruszającym przeżyciem.

Jak to się stało, że Pan, szwajcarski historyk, zainteresował się historią polsko-niemiecką?

Pracę magisterską poświęciłem walkom o Berlin w 1945 r. Na obrzeżach tego tematu pojawił się Heinz Reinefarth, wówczas komendant twierdzy Kostrzyn. Kilka lat później, gdy zabierałem się do doktoratu, zajmowałem się badaniami nad sprawcami nazistowskimi i planowałem pisać na ten temat.

W pewnym momencie pomyślałem znów o Reinefarcie. Zdałem sobie sprawę z tego, że chociaż jego kariera była tak niezwykła, nie ma o nim żadnej pracy naukowej. Bardzo mnie to zafascynowało i zacząłem nad tym pracować. Udałem się do archiwum w Szlezwiku-Holsztynie, w którym są przechowywane akta postępowania przygotowawczego w sprawie Reinefartha. Zrozumiałem, że ze względu na charakter dostępnych źródeł punktem ciężkości pracy będą rozliczenia prawne Powstania Warszawskiego na przykładzie Heinza Reinefartha. Nie napisałem zatem klasycznej biografii. Reinefarth stał się dla mnie pretekstem do szerszych rozważań.

Z jakich źródeł Pan korzystał?

Zdecydowanie najważniejsze były dla mnie materiały dochodzenia z Archiwum Landu Szlezwik-Holsztyn w Szlezwiku. W mniejszym stopniu korzystałem z dokumentów przechowywanych w Westerlandzie. Tam zapoznałem się przede wszystkim z lokalnymi gazetami z lat pięćdziesiątych, żeby przedstawić karierę Reinefartha w tym okresie. Urzędowe protokoły pokazujące politykę lokalną w RFN w latach pięćdziesiątych są bardzo skąpe. Za to w lokalnych gazetach z tego czasu można znaleźć bardzo barwne relacje pokazujące ówczesne nastroje, decyzje polityczne i osoby związane z Reinefarthem.

Ponad dziesięć lat temu szwedzki autor Niclas Sennerteg opublikował książkę o Reinefarcie (2003, wyd. polskie 2009 pod tytułem *Kat Warszawy*). Czy można ją porównywać z Pańską pracą?

Zaletą książki Sennertega jest to, że autorowi udało się nawiązać kontakt z rodziną Reinefartha. Jest to ważne źródło, jeśli chce się naświetlić życie rodzinne Heinza Reinefartha – lata trzydzieste, gdy jako młody adwokat pracował w Cottbus, ale też okres po roku 1945, gdy rodzina uciekła i osiedliła się na wyspie Sylt. Te wydarzenia zostały tam opowiedziane dość szczegółowo. Moje źródła nie pozwoliłyby na to w takim stopniu. Książka Sennertega nie jest jednak pracą naukową. Jej perspektywa została naznaczona przez wypowiedzi rodziny Reinefartha. W myśl tej narracji Heinz Reinefarth doświadczył tragicznego losu i został niesprawiedliwie potraktowany. Książka jest więc w tym sensie problematyczna.

Pan również próbował nawiązać kontakt z rodziną. Jak przebiegały te starania?

Bardzo osobliwie. Znalazłem w internecie numer telefonu wnuka Heinza Reinefartha. Jest to człowiek dziś mniej więcej pięćdziesięcioletni. Napisałem do niego maila i skontaktowałem się z nim telefonicznie. Umówiliśmy się na wywiad. Nie doszedł on do skutku, bo mój pociąg został odwołany. Zadzwoniłem i przeprosiłem za zaistniałą sytuację. Wnuk Reinefartha odpowiedział: „Nie ma problemu, umówimy się na inny dzień”. Później jednak przekonywał, że nie ma czasu, aż w końcu w ogóle stracił zainteresowanie spotkaniem.

Próbował się Pan skontaktować z innymi członkami rodziny?

Zrezygnowałem z tego. Myślę, że jeśli wnuk zmienił zdanie, to rodzina musiała się porozumieć w tej sprawie. W tej sytuacji prawdopodobnie nie miałyby sensu zwracanie się do innych krewnych.

Czy w ostatnich latach rodzina Heinza Reinefartha wypowiadała się publicznie?

Publicznie nie. Wiem jednak, że jej członkowie zostali zaproszeni na posiedzenie wspomnianej przeze mnie komisji, która obradowała w Westerlandzie, i wypowiedzieli się zdecydowanie przeciwko umieszczeniu nazwiska Heinza Reinefartha na tablicy pamiątkowej. Nie zdołali jednak postawić na swoim. ■



Philipp Marti (ur. 1979) – historyk, dr, pracownik Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Aarau i nauczyciel w gimnazjum w Burgdorfie. Autor książki *Sprawa Reinefartha. Kat Powstania Warszawskiego czy szacowny obywatel* (2016).



Filip Gańczak (ur. 1981) – dziennikarz, dr nauk politycznych, redaktor „Biuletynu IPN”. Autor książek *Erika Steinbach. Piękna czy bestia?* (2008) i *Filmowcy w matni bezpieki* (2011) oraz rozprawy doktorskiej *Władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej wobec wydarzeń w PRL w latach 1980–1981* (2016).



Maciej Foks (ur. 1975) – redaktor portalu edukacyjnego IPN Pamięć.pl, autor wywiadów i notacji ze świadkami historii, w szczególności więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady.

Ś P
Zbigniew Nawrocki
(1959–2017)



Historyk,
doktor nauk humanistycznych,
wykładowca w Państwowej
Wyzszej Szkole
Wschodnioeuropejskiej
w Przemysłu,
dyrektor Biura Udostępniania
i Archiwizacji Dokumentów IPN
w Warszawie
(Archiwum IPN).

Studiował historię w Wyzszej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie (1981–1987). Od 1981 r. członek NZS. W listopadzie i grudniu 1981 r. członek Komitetu Strajkowego w WSP w Rzeszowie, kolporter drugiego obiegu.

Rozprawę doktorską na temat działalności organów bezpieczeństwa publicznego w województwie rzeszowskim w latach 1944–1949, napisaną pod kierunkiem prof. dr. hab. Jana Drausa, obronił w 1998 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim.

We wrześniu 2000 r. dr Zbigniew Nawrocki objął stanowisko dyrektora Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie. W styczniu 2006 r. został powołany przez ówczesnego Prezesa Instytutu dr. hab. Janusza Kurtykę na stanowisko dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie. Funkcję sprawował do jesieni 2010 r. Po odejściu z IPN pełnił służbę w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Autor i współautor ponad 40 publikacji naukowych, w tym książek: „Zamiast wolności. UB na Rzeszowszczyźnie 1944–1949”; „Przeciw Solidarności 1980–1989. Rzeszowska opozycja w tajnych archiwach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”; „Rozpracowanie i likwidacja Rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”; „Rok pierwszy: powstanie i działalność aparatu bezpieczeństwa publicznego na Rzeszowszczyźnie (sierpień 1944–lipiec 1945)”.

Sekretarz redakcji pisma naukowego „Studia Rzeszowskie”; twórca i pierwszy redaktor naczelny „Aparatu Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”; redaktor naczelny „Przeglądu Bezpieczeństwa Wewnętrznego”.

W latach 2006–2010 przewodniczący polsko-ukraińskiej grupy roboczej historyków i archiwistów, prowadzących badania naukowe i przygotowujących publikacje źródłowe w ramach serii „Polska i Ukraina w latach 30. i 40. XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych”.

Wiceprzewodniczący Kapituły Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”.

Laureat Nagrody im. Jerzego Łojka (Warszawa 2000). W 2009 r. odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zbyszek pisywał w „Biuletynie IPN”. Pamiętamy Go jako wiernego Przyjaciela.

Zbyszku, żegnamy Cię z nadzieją na spotkanie.



Natalia Gofinger-Buhajczyk, *Osieroczone gniazdo*. Praca na konkurs w Dolbyszu „Maluję aby przypomnieć...”

W następnym numerach:

Początki województwa śląskiego w II Rzeczypospolitej

Zdrada czy mimikra? Folklista na Górnym Śląsku

Podziemie poakowskie i narodowe w województwie śląskim

Matecznik komunistów czy region buntu?

O Jarosławie Marku Rymkiewiczu – arcy polskie

„Rozmowy polskie”

Politechnika Lwowska – kuźnia kadr II RP

